







RZEŹ GALICYJSKA

1846 r.

CZYLI

SZCZEGÓŁOWY OPIS

DOKONANYCH MORDERSTW, ROZBOJÓW I ŁUPIEZTW,

WRAZ Z WAŻNIEJSZEMI WYPADKAMI,

JAKIE TYM OKROPNYM SCENOM TOWARZYSZYŁY W ZWIĄZKU

Z INTRYGAMI BIÓROKRACJI.

Wydawca

A. Cessańczyk.

KRAKÓW

W Drukarni Stanisława Gieszkowskiego

1848.

Miejski Biblioteka Publiczna

Im. ... w ... 30

91

7-28870 5.987

PRZEMOWA.

Niesłuszne czynią zarzuty Galicyanom, że w r. 1846 zrobili powstanie, które zaraz w samym początku upaść musiało, jako nie oparte na żadnym wyrachowaniu, bezrozumnie przedsięwzięte i niekorzystnie téż dla całej Polski ukończyć się musiało.

Ażeby zbić tak nieprzychylny sąd świata i sławę polskiej narodowości ocalić, postanowiłem skreślić pojedyncze *Facta* zaszyli wtedy scen tragicznych i dokonanej rzezi na obywatelach tej prowincyi; a opisując je i rozbiierając wyświecić przed publicznością intrygi, jakich Biórokracya, partya kontr-rewolucyjna, zbrodniczo i pokątnie użyła, aby zniweczyć Galicyjskie powstanie w samym zawiązku, w sposób tak okrutny i nigdy niepraktykowany.

Wszystkie te popełnione morderstwa mają źródło swoje w ludu niemoralności; bo przy nieskażonych obyczajach, nawet na rozkaz zwierzchniczej władzy i pobudzania do rzezi, nigdy by takowa nastąpić nie powinna była. — Uczucia czytelników przejmia się zgrozą na niegodziwości ze strony Biórokracyi, która była przyczyną tylu nieszczęsnych ofiar poświęconych wolności i społeczeństwu — tylu wiernych synów Polski, niewinnie zamordowanych przez własnych braci zaślepionych, którym Biórokracya pałkę Kaina na bratobójstwo podała. Poległy ofiary za wolność i miłość ojczyzny! — reakcyja cel swój osiągnęła. Ale sprawa Polski nie przepadła, owszem nieprzewidzianie

Opatrność zseła wolność wszystkim Europy ludom, równie jak i Polakom. Już bliską jest jutrenka ich zmartwychwstania, a co 1846 roku nie było zbrodnią otrzymując nagrodę z Metternichowskićj ręki, dziś jest potępione i na wieki strącone do piekieł. Dziś wam ziomkowie cześć oddajemy i wiecznćj pamięci przekazujemy, jako ofiary despotyzmu i zdrady. — Cześć wam na wieki obrońcy ojczyzny i męczennicy wolności — dziś wam ją publicznie składamy, bo runęła niewola tyranii i despotyzmu — prawda i cnota zajęły ich miejsce, — prawda, co wszystkim każe swobodnie się głosić. Skruszone więzy naszego serca i myśli, wynurzamy więc nasze uczucia dla was, męczennicy wolności, i myśli nasze wolno objawiamy. — Rozbiła się przekłeta despotyzmu Cenzura — która brata zamordowanego pozdrowić, nawet modlitwy na jego grobie zmówić nie dozwalała.

Okropne wypadki rzezi galicyjskićj w miesiącu Lutym 1846 r. dokonane, gdzie krwią tylu niewinnych ofiar ziemia przesiąkła, — gdzie tylu morderców pastwiło się za poduszczeniem władz na niewinnych, piśma zagraniczne tylko pokrótce wspominając, za przesadzone i niepodobne do prawdy przedstawiały. W opisie tych wypadków ściślej wierzytelności i prawdy historycznćj trzymać się będziemy i podajemy je sądowi całego świata, dla uwiecznienia pamięci poległych synów za wolność i miłość ojczyzny.

OPIS MORDERSTWA

DOKONANEGO NA

HRABI DOMINIKU REJU,

w mieście Dembicy, w obwodzie Tarnowskim.

Któż w Galicyi nie zna familii tego starożytnego rodu szlachty czeskiej, podpory tronu czeskiego przed 4 jeszcze wiekami? W czasie panujących zaburzeń w Polsce i Czechach rozmaici członkowie téj szlachełnej familii ulegli jak i inni duchowi falky, historia opowiada nam smutne przykłady o ich upadkach i wznoszeniu się, ale żaden zaiste z nich nie zginął tak okrutną śmiercią za wolność i miłość ojczyzny, jak męczennik Dominik w roku 1846 jako ofiara zjadłości ludu w mieście Dembicy, w okręgu Tarnowskim.

Był on jednym z tych mężów, co najrozkoszniejsze chwile swego życia znajdują w towarzystwie ukształconych i uczonych ludzi, a smakując sam w naukach, dni swoje najczęściej na ich pielęgnowaniu przepędzał. Obok tego lubiąc myśliwstwo obrał sobie za mieszkanie włość Przyborowo w okręgu Tarnowskim. Dom jego był zawsze otwarty dla gości i przyjaciół, a jego zacna małżonka z domu hrabiów Ankiewicz zdobiła go swoją uprzejmością. Dni ś. p. Dominika płynęły w zaciśzu spokojnie, nie szczęścia jego nieprzerywało, na łonie rodziny i domowników powszechnie kochany, od sąsiadów szanowany, całą myśl swoją zwracał na lube dzieci, pielęgnując je i wychowując na przyszłych obywateli użytecznych ludzkości i krajowi.

Hrabia Rej mieszkał w czasie galicyjskiego powstania na wsi, czekając wypadków, które już burzą tę krainę groziły.

W mieszkaniu jego wszystko było w największym zamieszaniu i trwodze, obiegały bowiem zatrważające pogłoski, że ze strony ludu ma być kontr-rewolucya, że lud pobudzony, przez komunistowskich emissaryuszów przygotowany, czeka tylko na rozpoczęcie grabieży i mordów. Wszystkie te okoliczności i echa kazały się lękać nieszczęścia. I rzeczywiście już brzemienna chmura pękać zaczęła, a przepowiednie sprawdzały się! W dniu 18 Lutego chłopci uderzyli na sąsiedni zamek, będący własnością obywatela Onufrego Wolskiego. Hasło już dane, piekielne jędze wystąpiły! Chłopci szturmowali zamek z całą wściekłością, ale mężny odpór znaleźli, bez rozlewu krwi nie obeszło się, zamek od grabieży i łupieztwa ochroniony. Niestety tu jeszcze nie koniec!

Gdy tłumy chłopów ze wszystkich stron coraz bardziej się gromadziły, i tu i owdzie już sceny okrucieństw i dzikości słyszeć się dały, hr. Rej przewidując naprzód nieszczęście, zaczął sprawdzać własne swoje przeczucia, uważał po tych groźnych przepowiedniach okropną burzę, chciał przed jej gromem unieść swoje życie, a przynajmniej zabezpieczyć dzieci i żonę. Dla tego też postanowił opuścić mieszkanie w Przyborowie, jako pozbawione wszelkiej obrony i w rzeczy samej, zaraz na drugi dzień 19 Lutego, t. j. w dzień piątkowy przed ostatkami, z całą swoją rodziną wyjechał. Już w gminie Latoszyn, pół mili odległej, miał hrabia silną utarczkę z uzbrojonymi chłopami, którzy w liczbie około trzystu na niego napadli. W tym natarciu poległ jego wierny guwerner dzieci, rodem francuz; lud wściekły nie nie oszczędzając wydarł mu je i jako zakładników do kareznicy wiejskiej uprowadził, wszystkie zaś pakunki rozrucił, zrabował i zniszczył. Cudem prawie udało się Rejowi przez łuszcze tę przedrzeć. Przybył nareszcie z niebezpieczeństwem życia własnego i swojej małżonki do niansta Dembicy, gdzie chciał wziąć konie pocztowe i dalej jechać. Ale miłość do dzieci przemaga w sercu obojga. To było powodem, że spieszniej nie wyjechali. Wtedy tłum chłopów z widłami i cepami napada na niego, wywłóczy go z po-

jazdu i tak okrutnie morduje, dopóki, jak się zdawało, nie oddał ducha. Szlachetna małżonka rzuciła się na ciało męża, chcąc jego życie ocalić, — ale na próżno niosła swoje w ofierze. Porwano ją omdlałą a męża jęj ta dzika horda, jako ofiarę swoją na śmierć przeznaczyła, — uważany za umarłego zaniesionym został przez obywateli miejscowych do domu urzędowego, hrabina zaś ratowała się ucieczką do oberży Langer. Złożywszy porąbanego w wspomnionym domu, jeszcze znaki życia postrzeżono. Posłano więc śpiesznie po lekarza, a ten zdołał go przez swoje starania do życia przywołać.

Ale inaczej w księdze losów ludzkich zapisaném było! Obiega pogłoska, która aż zgrozą przejmuje i o zemstę woła, że ten sam lekarz, który tak wiele dobrodziejstw od hrabiego odbierał, zamiast ukryć i w tajemnicy zachować powrót jego do życia, sam poszedł do téj zgrai łotrów i ogłosił, że zabity odżył. Natychmiast rzuciła się zjadła tłuszcza do izby nieszczęśliwej ofiary, która na kanapie leżąc, zaledwie nowém życiem cieszyć się zaczęła, — jeden z chciwych krwi morderców przebił szlachetną pierś jego widłami a potem jeszcze strzał z pistoletu z drugiej ręki wymierzony jego życiu koniec położył.

Ocalenie cudowne szlachetnego starca P. Lesieckiego *w téj samój epoce.*

Już na samym początku 1846 r. tak opowiada P. Lesiecki, brzemienne chmury politycznej burzy zbierały się w obwodzie Tarnowskim, szczególnież od północnej strony. Mówiono nawet o komunistycznych dążnościach, mających na celu całą masę polskiej ludności rozjrzeć, a pogłoski niespokoiły umysły. Nikt nie wiedział co rzeczywiście się dzieje, wszyscy oczekiwali powstania, a każdy do jego tajemnic był przypuszczony, wyjawsz osoby nie myślące o niczém więcej jak o gospodarstwie lub rozrywkach polowania. Ja podobnież przepędzałem czas na zabawach karnawału 1846 roku, lub uganiając się za zwierzyną po kniejach, nieprzewidywałem bynajmniej jakie mi groziło nieszczęście. Zaiste! gdy ówczesny stan rzeczy z dzisiejszym porównyвам, zdaje mi

się, że matuzalowe lata przeżyłem, albo raczej mówiąc wierzę w wędrówkę dusz ludzkich. Za nader szczęśliwych muszą się ci poczytać, których Opatrzność wybrała i którzy potrafili okropne wypadki Lutego 1846 r. przeżyć.

W dniu 19 Lutego wieczór zapaliwszy ogień na kominku usiadłem w gronie moich krewnych, spokojny bez żadnego przecucia (noc była burzliwa) o niczem więcej nie myślałem jak: czy jutro szczęśliwy dzień będzie do polowania na zające.

Pan domu chodził po pokoju, smutny, w myślach pogrążony, gdy w tém służący nagle i bez tchu do izby wpada z przestraszającą wiadomością, że już w sąsiedniej wsi, tylko ćwierć mili od naszej odległej, chłopci na dwór napadli i wszystkich tam zebranych kosami i cepami wymordowali. Położyłem rękę na ustach, jak gdybym się chciał o coś zapytać, ale przestрах odjął mi mowę, oniemiałem i stanąłem jak martwa statua. Jak długo ten stan trwał nie wiem, dosyć, że gdy w osłupieniu tak wielkiem zostałem, wszyscy będący w domu ucieczką się ratowali i mnie samego jednego zostawili, abym uratowany cudem Opatrzności, świadectwo mógł dać prawdzie i do opisu owych dni krwawych posłużyć.

Położenie moje było okropne, wszystkie mię zmysły prawie odstąpiły, wybiegłem na podworec, lecz z jednej strony trwoga, co wszystkie moje członki wskrós przeszyla, z drugiej strony uwaga, że cały dom bez żadnej obrony zostawiam, skłoniły mię do powrotu, by losowi się oddając na wypadki czekać. Wziąłem się do silnego zabarykadowania głównych drzwi, poznosiłem w tym celu meble ze wszystkich pokoi, aby przynajmniej być w stanie pierwszy napad szturmującego tłumu wytrzymać.

Północ już była, gdy wszystkie moje przygotowania do walcznego oporu ukończone zostały, nabiłem dwie dubeltówki i czekałem z bijącym sercem przy oknie tłumu z swojemi narzędziami nadciągającego. Głucha cisza panowała wszędzie, tylko kiedy niekiedy wicher burzliwy łoskotał, zwiastując okropne sceny, które już w sąsiedztwie w téj na zawsze pamiętnej nocy karnawału nastąpiły. Czekałem prawie 4 godziny bez przerwy, można

sobie wystawić, w jakiej niepewności i w jakim stanie umysłu, bo już wiek mój 7my dziesiątek liczył, i zapal ogarniający człowieka w pierwszej chwili niebezpieczeństwa ostygł, zimną rozwagę zostawując po sobie. Pomyślałem zrazu, że może nie potrzeba tyle sobie robić trwogi z tych wszystkich zastraszających wieści, nareszcie usiadłem na krześle i pogrążony w myślach, zasnąłem! Ale jakież okropne przebudzenie! Gwałtowne łomotanie przy drzwiach.... oto je już odbito.... hurra! krzyczą przeraźliwie chłopci z siekierami, kosami i cepami. Gdzież moje wczorajsze postanowienia, gdzie moja odwaga, która mnie przez całą noc ożywia! Zapomniałem teraz i o barykadach, o dubeltówkach... głowę straciłem, biegałem pomiędzy z jednego kąta do drugiego schronienia szukając, aż nareszcie wpadałem do kuchni. Gdy teraz wszystkie myśli w jedno ognisko trwogi się skupiły, musiałem więc starać się o ratunek; i upatrzyłem go w kominie. Na ognisko skoczyć i w komin się wdrapać było dziełem jednej chwili, bo strach ma wielkie oczy. Dosyć na tém, wdrapałem się aż do samej góry, pokaleczywszy sobie dobrze łokcie i kolana, ale na szczęście moje, bo czas nagił, a barrikiady już były zdobyte; cała ta horda chciwa łupów i krwi ludzkiej, plondrowała już po przyległych pokojach. Nastąpiło zupełne zniszczenie całego domu, tak że tylko gołe mury i dach z kominem z mojej siedziby zostały. Horda rabusiów wpadła do kuchni, z niesłychaną chciwością wywłócząc wszystkie rzeczy, rzuciła papiery na ognisko komina by je spalić. — Już po mnie, myślałem sobie. Tymczasem hersztowie naradzali się ostatecznie co z aktami zrobić. Większa część była tego zdania, aby cały dom spalić i zburzyć, a to z powodu że w nim żadnej dla siebie ofiary nie znaleźli, bo o mnie na szczęście nikt dotąd jeszcze nie wiedział. Sędzia ich przeciwnie zawyrokował i orzekł: że do spalenia domu jeszcze dosyć czasu będzie, kiedy i z innych stron do tego sygnały odbiorą. „My tylko robimy to, co drudzy i basta na tém“ foliały papierów zostały znowu z ogniska zrzucone, i potargane. Nareszcie rozeszła się zwolna ta straszna zgraja, zostawując tylko po sobie ślady okropnego zniszczenia.

Morderstwo dokonane na Onufrym Wolskim i jego małżonce.

Jak nierozumny jest sąd niższych klas ludu, gdy bagactw i dobrego bytu mającym i szlachcie zazdrości! zamożność sprowadza w prawdzie przyjemności życia. W dzisiejszych jednak czasach bogactwo jest tą skałą, o którą się po większej części okręty szczęścia rozbijają, gdy zaledwo dobrami temi obciążone do bezpieczeństwa portu zawinęły. Pan Wolski był, jak to mówią w uciskach szczęścia; wszystkie jego przedsięwzięcia i gospodarskie spekulacje udawały mu się, a że jako człowiek rzetelny zaufanie u wszystkich kapitalistów posiadał, zatem jego sąsiedzi zazdrosnym nań spoglądali okiem. Był on także szczęśliwym ojcem rodziny aż do pamiętnego 19 Lutego 1846 roku, i jak bogini szczęścia w czasach jego pomyślności, zawsze mile do niego się uśmiechała, tak znowu w tym samym stopniu nieszczęście ujęło go w swoje ramiona zgubą mu grożąc, gdy zawistna parka dni jego życia przeciąć postanowiła.

We wsi P. Wolskiego wywołali i przedsięwzięli chłopcy początek rzezi. Pewien członek związku galicyjskiego, który interesa P. Wolskiego prowadził, i powierzone sobie sprawy z gorliwością popierał, stał się u ludu wiejskiego podejrzanym o jakieś zamiary. Pałający lud chciwością grabieży, czekał tylko na pierwszą do tego sposobność, i właśnie mu się nadarzyła. Kommissarz opuścił swój dom z kilkoma jeszcze uzbrojonymi buntownikami. Wyjazd jego był hasłem napadu. Owa zgraja zgromadziła się wieczorem tegoż samego dnia jeszcze 18 lut. w broń zaopatrzona, napadła na Wolskiego, który pomimo że był słabym jednak się do ostatniego bronić usiłował. Małżonka jego broń mu nabijała, i po około godzinnej dopiero walce odstąpili mordercy.

Ze strony rabusiów padło kilku i kilku było ranionych, ale i sam obrońca domu został ugodzony w lewą nogę. Służąca, dziewczyna 18letnia, zbliżywszy się z ciekawości do okna, padła od kuli. Przez tak mężny odpór ze strony właściciela w najwyższym stopniu rozdrażniona horda uzbroiła się teraz lepiej

i wzmocniona jeszcze przybyłemi z całego sąsiedztwa tłumami, zapowiadała śmierć i zniszczenie wszystkim. Wspomniony właściciel z żadnej strony pomocy dla siebie nie widział, ani wsparcia we własnej obronie. Zguba jego była nieuchronną, którą już na-przód przewidzieć można było; nie pozostało mu więc nic innego, jak spieszna ucieczka. Tę zamierzył i uskutecznił w nocy. Wziął z sobą żonę i pieniędzy w gotówce trochę, w wexlach zaś dość znaczną summę, bo od 6 do 7000 Złr. Wybrali się oboje pieszo w drogę, poruczywszy opiece Boga swoje dzieci, których ocalić nie mogli. Noc była burzliwa, mróz przejmujący a oni po głębokich śniegach brnęli przez las ku miastu obwodowemu. Małżonka, Wolskiego wczorajszemi wypadkami śmiertelną trwogą przejęta, dziś zupełnie wycieńczona, opadła na siłach, gdy do lasu weszli. Tu już niepodobnym było o dalszej myśleć ucieczec, a tém samém na jaki środek ocalenia rachować. Wolski sądził jednak, że dostawszy się do miasta, ztamtąd swój żonie spieszną pomoc pošle. Nieszczęśliwa drżąc od zimna i cała prawie skośniała, została w lesie bez żadnej pomocy i opieki, gdy tymczasem Onufry Wolski walcząc z burzą i ciemnościami nocy, w ostatnich wysileniach postanowił przedrzeć się przez las i dojść do miasta Cyrkułowego, o dwie mile jeszcze odległego.

W klęczącej postawie, o sosnę opartą, z wyciągnionemi do modlitwy rękami, znalazła ją teraz zgraja krążących złoczyńców, blizką śmierci, i powlekła do domu za lasem.

Opatrzność tak chciała, aby ta nieszczęśliwa wszystkie stopnie męczeństwa przeżyła, by na przyszłość przekazać całemu światu przykład barbarzyństwa obłąkanego ludu i brak energicznego działania ze strony władz rządowych.

Wtedy to ocuciła się nieszczęśliwa z swego osłupienia, aby tym lepiej uczuła śmierć męczeńską, która ją czekała. Odebrano jej znaczną ilość pieniędzy i kosztowności, które przy sobie miała, zdarto z niej suknie i obnażoną powrozami pokrępowaną, rzuciono na ziemię. W tym stanie zostawała znaczny przeciąg czasu, wystawiona na najochydliejsze najgrawania, śniechy i szyderstwa. Po czém kłuli jej ciało widłami i osøkami, póki wśród takich mę-

czarni życia nie zakończyła. Na te okrutne morderstwa aż dreszcz człowieka przejmuje.

I téj zbrodni ci się dopuścili, którym ta dobra pani największe dobrodziejstwa świadczyła, rozdawała im dwa dni przedtém chléb i drzewo, pielęgnowała ich w chorobach jako własne dzieci!

Opuszczamy teraz z najboleśniejším uczuciem zamordowaną a wracamy do jój towarzysza równych cierpień i śmierci. I on w tym samym czasie nie był już więcej między żyjącymi. Przedarłszy się bowiem szczęśliwie przez las wśród największego wy-czerpnięcia sił, uszedł jeszcze jedną milę, nie widząc nigdzie żadnej bandy rozbójników.

Alié świt dzienny zaczął przebijać ciemności nocy, już był blizkim swego celu, gdy w tém nagle banda łotrów otacza go i chwytą.

Nieszczęśliwy małżonek nawet nie pomyślał, aby jego żonę jakieś męczeństwa spotkać miały, gdy tym czasem sam porwany, wystawiony na tysiąc obelg, widząc że już nie podobna się bronić, uległ zażartéj hordzie, która się nad nim bez litości pastwiąc, gnała go prawie milę drogi napowrót do karczmy machowskiej.

Przybywszy na miejsce swego przeznaczenia, cały krwią zbaczony, w potarganych na kawałki sukniach, dostał od nich chwilę wypoczynku. Za pieniądze, jakie mu zabrano, popili się rozbójnicy do woli, zatém nadzieja zostania przy życiu jeszcze go nieodstępowała bo myślał, że go chyba tylko do urzędu dostawią. Lecz rozpasana namiętność toruje drogę do wszystkich zbrodni, i pieniądze jego własne skazały go na śmierć.

Było to pod lasem naprzeciw kuźni kowala, między Tarnowem i Pilznem, gdzie bity pięściami, tłuczony cepami, kłuty widłami, splwany i spoliczkowany wśród okropnych męczarni życie zakończył. Oboje więc przestali żyć w tejże samej godzinie i jednaką zginęli śmiercią, nie wiedząc nic o wzajemnym okrutnym losie.

Konfederatka,

*czyli osobliwsze przygody losu pewnego tak zwanego Niemca, który mimowolnie do niespokojności r. 1846 wplątany został *)*.

Mieszkiałem w pobliżu miasta Krakowa, w pewnym miasteczku wadowskiego cyrkułu, na łonie licznój rodziny; mój dochód był bardzo szczupły, tak dalece, że na odzież samą wystarczyć nie mogłem i przez oszczędność kupiłem sobie czapkę polską zwyczajną. Wszyscy moi sąsiedzi śmiali się ze mnie mówiąc: „Niemiec nosi konfederatkę“ — tymczasem ta czapka z grubej wełnianej materyi była mi na zimę bardzo wygodnym nakryciem głowy. —

Wśród smutnych widoków moich nadszedł karnawał 1846 r. a wieści o wybuchu powstania szérzyły się codziennie, powiększane dodatkami niezawierającemi najmniejszej prawdy. Wtedy nagle d. 17 Lutego austriackie wojsko zajęło miasto Kraków, i tym sposobem, jak się zdaje, ów pod zarzewiem ukryty płomień wybuchnął słupem okropnej łuny. Odwrot Austryaków z Krakowa, zajęcie Podgórza i Wieliczki przez powstańców są aż nadto dobrze wiadome, dla tego nie widzę tutaj potrzeby, choćby najmniejsze w tym względzie czynić wyjaśnienia. Byłem sam naocznyim tego wszystkiego świadkiem, chociaż ani pomyślałem, że mnie moja konfederatka wystawi na niebezpieczeństwo życia. W miasteczku gdzie mieszkiałem obstawano więcej za Polakami niż za Niemcami, i dopiero gdy dość późno o tem między moimi współobywatelami posłyszałem, trwoga ujęła me serce a to tem więcej, że Niemcy z okolic uciekali szukając przytułku na Szlązku.

Więc na całą okolicę ja tylko jeden z Niemców, z moją familią pozostałem, oczekując okropnego losu zniszczenia, i można sobie wyobrazić moje położenie, gdzie bez pieniędzy, bez

*) W Galicyi, każdego Morawiaka i Czecha, choćby ani słowa po niemiecku nie umiał, nazywają Szwabem, a te biedne Szwaby miały w roku 1846 bardzo gorący karnawał.

wszelkić żywności z tak liczną gromadą dzieciak o ucieczce ani myśleć mogłem. Jak się rzucę na kolana, jak zacząć załamywać ręce!! płacząc rzewnie błagałem gorąco Boga, aby przyspieszył nadciągnięcie austriackiego wojska. Ach! jakże często każdego dnia nie wybiegałem na przyległe wzgórza za miastem, by usłyszeć choćby tylko najmniejszy odgłos bębnow. Żaden mieszkaniec Austrii nie mógł być lepszym w sercu Austryakiem, a przecież chciało nieszczęście, że mnie przyaresztowano, tego samego wieczora, właśnie gdy usłyszał pierwsze uderzenie bębnow nadchodzącego wojska, i cieszył moją do rozpacz przywidziona, nieszczęśliwą małżonkę.

Tak więc ów pierwszy radosny wieczór, po tylu bezsennych nocach, zmienił się niestety dla mnie i mojej rodziny w przeciagu dwóch godzin w noc najokropniejszą, bo właśnie gdy o 8mej godzinie na słodki spoczynek iść chciałem, wpadło wielu jeńców do mojego mieszkania i pojmali mnie nie wiedzieć z jakiego powodu jako buntownika polskiego. Można sobie wystawić moje osłupienie, mą boleść wewnętrzną i sieroctwo méj biednej rodziny.

Na dworze lał deszcz strumieniami, zaledwie dopadł staro płaszcza i konfederatki, a już od 10ciu jeńców i 15 żołnierzy otoczony, wrzucony zostałem na wóz, i wyrzekłszy méj biednej rodzinie ostatnie pożegnania słowo „*bądźcie zdrowi na wieki*“ powieziono mnie na miejsce przeznaczenia — myślałem że już na śmierć idę.

Przybywszy na miejsce oddany zostałem pod straż oddziałowi wojska austriackiego, a stroskany, wśród największej walki z niepewnością o mój los, musiałem obkładać jeszcze całą noc oficerowi nogi, napuchłe od marszu, by przecież choć jedną isierkę łaski z jego oka wywołać. Szynkownia była pełna chłopów, którzy żażarcie na mnie spoglądając, najobelżywsze wyrazy na mnie miotali, dla tego że ich na straży przy mnie postawiono.

Drugiego dnia poprowadzono nas trzech pod mocną eskortą do miasta obwodowego, gdzieśmy jako zdrajcy stanu odstawieni być mieli; wszędzie po drogach stali chłopci i najgrawali się z nas.

Myślałem sobie w duszy, teraz prowadzą cię na śmierć jak niewinnego baranka. — Nakoniec ucieszyłem się, że mnie do lochu wsadzono, przynajmniej nie słyszałem już brutalskich wyroków chłopstwa. Wszyscy moi towarzysze dziwili się nadzwyczajnie, że mnie Niemca jako buntownika do więzienia wsadzono. Jedną tylko okoliczność przypominam sobie, że nam w więzieniu patent odczytano, podług którego każdy stawał się zdrady kraju winnym, jeżeli dawał pomoc Polakom, n. p. przez dostarczanie żywności i t. p. Wstrząśłem się wtedy jakby piorunem uderzony, przypominając sobie, że żona moja na kilka dni przed mojem uwięzieniem, dała szynkę na wieś pewnemu Polakowi do uwędzenia, i tenże znajdował się także jako podejrzany ze mną w więzieniu. Dla tego myślałem sobie; pewnie już wiedzą, że ta szynka ode mnie. Boże! zginąłem! Że jedynie moja konfederatka powodem uwięzienia była, nigdy mi przez myśl nie przeszło.

Trzy dni całe siedziałem w polityczném więzieniu, ale ich nigdy w życiu nie zapomnę. Zaraz pierwszego wieczora wniesiono tak wielu rannych i na pół zabitych (po większej części ze szlachty) do naszej izby, że nam zdrowym ani kąciką nie pozostało, gdziebyśmy omdlałe od głodu członki w spokojności położyć mogli. O spaniu ani myśleć, opatrywałem więc rannych po kolei. Drugiego dnia było jeszcze gorzej, ale zresztą wesoło, bo każdy z przybywających opowiadał swoje wypadki. Lecz za to każdy z nich trwożył nas smutną przyszłością i wnosił, że jeżeli nie szubienica to topór nas czeka.

Wreszcie nadszedł dzień trzeci, czyli mój dzień wybawienia, w którym mnie na dwór wyrzucono, jako niepotrzebny sprzęt, którego w areszcie napróżno trzymać nie chciano. O błogosiawiony dniu mojej wolności!... to gwałtowne, nagłe przejście z boleści do rozkoszy wywarło tak zgubny skutek na mój umysł, że mój rozum prawie utracił, oblawszy się strumieniem łez wśród gwałtownego łkania, z certyfikatem w rękę, z konfederatką na głowie, gnałem po największém błocie za miasto najbliższą drogą do rodziny mojej. Każdy stawał i dziwnie mi się przyglądał, ale moja dusza nie była na tym świecie, całą mą myślą było zupełne

zniszczenie Krakowa i osieroćność mojej rodziny. Nie przeczuwałem bynajmniej, że mnie oczekuje już za godzinę ten okropny wyrok śmierci, którym sobie przy pierwszym uwięzieniu przedstawiał. Uszedłszy małą milę, wstąpiłem do chatki wieśniaczej, chcąc się tylko dowiedzieć, jak wiele wojska pod Krakowem stoi. Lecz ludzie spojrzeli po mnie podejrzliwie i z pogardą nie dając na to żadnej odpowiedzi. Opuściłem więc ten dom, wszedłem do innego, a z tamąd do żyda, pytając cingle: jak wiele wojska w pobliżu się znajduje.“

Naturalnym skutkiem moich dopytywań było uznanie mnie za szpiega polskiego i w przódę nim się spostrzegłem obkoczyla mnie banda chłopów z kosami i cepami. Wtedy wrócił mi rozum do głowy, na miejsce rozrzewnienia nastąpiła zimna rozważa, tak iż potrafiłem pojąć okropność mego położenia. Trzeci dzień oswobodzenia, był dla mnie zarazem dniem sądu.

Ta straszna zgraja porwała mnie w pośród siebie, — sąd inkwizycyjny zadawał mi pytania, a tymczasem dwaj ceklarze, jeden z prawej, drugi z lewej strony, tak zwinnie i zgrabnie przeszukali moje kieszenie i suknie, że ani jeden szew w całości nie został.

Pokazanie karty bezpieczeństwa — powoływanie się na patent wzbraniający już więcej zabijania osób, wszystko to z rąk moich oprawców wyrwać mi nie zdołało, moja konfederatka była godłem śmierci!! — Że zaś nie znaleźli przy mnie ani krajcara, zatem skazano mnie na śmierć, wyrok w pobliskim gaju wypełnić zamierzając. Dwaj siepacze wlekli mię gwałtem na miejsce mego przeznaczenia, — wtedy dopiero obudziło się we mnie przywiązanie do życia i rozpaczając błagałem miłosierdzia, błagałem litości nieczułego ludu, a im bliżej gaju się znajdowałem, tém więcej słabłem na siłach — mdlałem i nareszcie traciłem przytomność.

Jeszcze dotąd nie umiem z pewnością powiedzieć, czy owi barbarzyńcy mnie na prawdę zamordować, czy też tylko strachu nabawić chcieli. Bądź co bądź, byłbym niechybnie śmierć poniósł, gdyby nagle duch opiekuńczy nie wyrwał mię z téj toni. Trzeba było, że moja dawna służąca, powracając z lasu z więzką

chróstu na plecach, poznała mię na drodze, przemówiła za mną do ludu i na jęj zaręczenie natychmiast mnie puszczono. Zbierałem więc wszystkie swoje siły, i nie chcąc więcej w ich ręce się dostać, umykałem co tchu, zgłodniały i strwożony nazad do miasta obwodowego, gdzie nie dostawszy noclegu, za miastem na kamieniach przenocować musiałem.

Szóstego dnia dopiero dostałem się do moich krewnych, których przy najlepszym zastałem zdrowiu.

Przygody dziedzica z Zakluczyna,

przez niego samego opowiadane w więzieniu w Wadowicach.

Że mnie tu jeszcze żyjącego widzicie panowie, to jedynie cudem bożkim się stało! Okropności doczekałem się w tych trzech dniach ostatnich, Boże! ja żyję... ale... co się tam teraz dzieje z moją biedną małżonką?... z moimi dziećmi?... może ich już więcej na tym świecie nie ma?... o zgrozo!... o okrutne barbarzyństwo!!..

Znacie mnie panowie, niezawodnie wszyscy, ze strony liberalnej. Nie skałałem nigdy sumienia mego zdradą wolności, ale też zawsze daleki byłem od stronnictw tworzących się w ostatnich czasach. Miłość drogiej ojczyzny — miłość polskiej ziemi, wyzywa mnie tak samo do szlachetnych wolności czynów, jak i wszystkich innych galicyan, oddaliwszy się zaś w zacisze wiejskie od zawiei światowych zaburzeń, nie uchybiłem w niczym rządowi, przez coby na mnie jakieś podejrzenie spadało — a przecież niestety!.. mimo to kielich goryczy aż do samego dna wypróżnić musiałem!!.. Słuchajcie:

17 Lutego zajechawszy w odwiedziny do mojego sąsiada i przyjaciela, usłyszałem dopiero po pierwszy raz o strasznych uzbrojeniach chłopów. Doniesienia z tarnowskiego cyrkułu zapowiadały coś okropnego — bojaźń i trwoga ogarnęły zarówno wszystkich umysły — ja zaś tém nader zrażony, co tchu ku domowi śpieszyłem. Wszyscy chłopci z mojej gminy kochają mnie jak ojca. Dla tego też kilku z nich posłyszawszy o niebezpieczeństwie, ja-

kie mojemu domowi i mojej rodzinie groziło, wybiegli przedemnie z tą smutną wiadomością, że z pobliskich okolic liczne rozbójników tłumy nadeciągają, by mnie zamordować i dom mój zrabować. Cóż tu robić?... czasu tracić nie można, posłałam więc woźnicę z bryczką do domu, powierzwszy mu najważniejsze rozkazy dla mojej małżonki co do jej postępowania wśród takich okoliczności, sam zaś manowcami nocą do sołtysa wsi mojej dostać się zamierzyłem, by życie moje i cały mój dobytek jego poruczyć opiece.

Lecz moi prześladowcy, widząc bryczkę próżno wracającą, roztoczyli się kołem w stronie gdzieś pierwszy uczynił kroki. Szczęściem, zoczyłem w tej okolicy gęsto krzakami zarosłe pastwiska — tam pomyślałem, moje schronienie, tam jedyne miejsce ratunku; bo zaprawdę, gdybym był tym łotrom wpadł w ręce, jużbym się był więcej nie cieszył tym światem!... Pędziłem więc, ile mi tylko siły wystarczyć mogły, do tego zarośla; jakoż w sam czas jeszcze zdążyłem. Oblany potem z trwogi i zmęczenia — nogi drżały podemną — serce biło gwałtownie, unysztu wszystkie władze odbiegać się zdawały — oczy zbłąkane wryły się w głębią zarośli, szukając tam czémprędzej nóry, która by mnie przed ścigającą okropnością zasłonić mogła, — w takim stanie do pierwszój dobiegłem krzewiny. Lecz któż się temu jeszcze dziwić może?... Tu miałem śmierć przed oczami — tam mi już przebiegały krwią zbroczone postacie małżonki i dzieci — tu dom mój widziałem w płomieniach — tam dobytek cały rzucony na łup rozbastwionój tłuszczy, to przecież tylko myśli ojca, pana i gospodarza, które mi w tej okropnej towarzyszyły drodze. Lecz idźmy dalej:

Dobiegłszy do tego schronienia miejsca, wytelnąć postanowiłem. Ukryty w krzewinach bezpiecznie, czekałem nocy. Ta też nadeszła, ale tak ciemna, że nie blisko siebie widzieć nie można było. „Boże wielki! na klęczkach wyrzekłem, ta noc, to oczywiście środek mojego ratunku — jeszcze mnie widać opuścić nie chciałeś!“ Poczém zerwałem się z ziemi — i wymierzwszy sobie kierunek ku mojej włości — przedarłem się przez gęste krzaki, słysząc w dali za sobą prześladowców moich, tu i owdzie jak psy

gończe po zaroślu wietrzących. Seigali mnie z tropu w trop — a często nawet tuż przy sobie mieli. Słyszałem także ich stąpania, często a nawet ich hasło. Gonitwa trwała aż do północy — wtedy dopiero z tego miejsca wszyscy ustąpili, albo z niecierpliwości, że się na próżno za mną uganiali, albowi też, co najpewniej, że już do domu się dostał. Lecz mniejsza o to, dla czego?.. dość na tém, że ich już tam więcej nie było. Wtedy widząc wolną całą okolicę, nabrałem ducha, tak że potrafiłem z siłą i ostrożnością zdążyć wreszcie do mieszkania mojego sołtysa. — Było już po północy, gdy mi w jego zasztukał okno. Drzwi rozwarły się czémprędzej, wpuszczono mnie z uciechą, bo sołtys wiedział już o moich przygodach, dla tego rozstawił chłopów koło dworu na straży i nakazał im bronić własności mojej, — ja zaś tymczasem oddawszy mu się na łaskę zupełnie, byłem u niego bezpieczny. Z wielką jednak niespokojnością oczekiwałem wypadków dnia następnego, będąc gotowy w ostatnim razie przez własnych poddanych dać się odprowadzić do miasta obwodowego.

Ale zaledwie pierwsze światła promienie zalały ciemności nocy, a już przeszło tysiąc chłopów z kosami i cepami w ręku, krzycząc groźnie przed domem sołtysa: „dawaj nam tu tego ciaracha natychmiast!..“

Poznałem więc, że mnie zdradzono, i jakby Zbawiciela za 30 srebrników zaprzedanego, na mękę powiodą, bo wyczytywałem także z twarzy moich kilku wiernych obrońców, że się mnie dłużej u siebie zatrzymać lękali. Cóż tu więc począć?... padam na kolana i w gorących modłach sposobie się na śmierć, polecając swego ducha w ręce litościwego stwórcy, dom zaś i moją rodzinę Jego najświętszej opiece. Jednakże tymczasem inaczej wypadło — sołtys po tysiąc razy zachodził w głowę, jakby mi jeszcze uratować życie. Powoli nabrał odwagi i wreszcie postanowił zainponować tej zażartej zgrai — i jak z początku był bojaźliwym, tak teraz wystąpił jako bohaterski obrońca niewinności. Donośnym głosem odezwał się do licznej przed jego domem stojącej tłuszczy, wykładając jej zasady moich politycznych myśli, z dziwną dobitnością i nadzwyczajnym zapamię — w końcu zaś za-

wolał: „jeżeli kto z was do niego dostać się zamysła, niech więc mnie tutaj w progu własnego domu ubije na miejscu, i tak po trupie moim przejdziecie do celu waszych przeklętych zamysłów.— Ja swego pana u siebie zatrzymywać nie chcę — broń Boże! to nie jest mym zamiarem — lecz go też niewinnego na zabicie podawać nie myślę. Znacie już moją wolę — dajcie kilku z pomiędzy siebie, ja także dam niektórych z méj strony, i ci go tylko do cyrkułu dostawią, nie czyniąc mu nic złego, a biada temu, kto by się na niego targnąć poważył! Tu nastąpiła między chłopami cisza grobowa, potem wrzawa, a nareszcie kłótnie. Lecz postanowiono usłuchać rady mojego sołtysa — kazano mi natychmiast po konie i po koczyc do dworu posłać, a wkrótce, bez pożegnania nawet z rodziną, ujrzałem się przywiązany do powozu i pod eskortą 4ch uzbrojonych chłopów tudzież mojego sołtysa, który mi aż do głównego traktu towarzyszyć przyrzekł, opuściłem wieś, w kierunku jak się zdaje ku Bochni.

Droga była haniebna, a powietrze jeszcze gorsze. Słońce zaszło — trzeba było koniecznie gdzieś na nocleg zająć, postanowiono więc jeszcze dwie mile zboczyć, by stanąć na noc w oberży u pewnego Żyda. Niestety!... na nowe nieszczęście mi się zanosilo. Lud w owym czasie podszeptami biórokratów i rozporządzeniami ówczesnego rządu rozochocony pragnął tylko rabunku — zatem nie dziwnego, że w każdej prawie karczynie lub oberży, bandy rozbójników obozowały. Okropny strach przeniknął mię, gdyśmy przed zamierzoną gospodą stanęli. Wiedziałem co mnie tam czekało, gdyż pod strażą moich czterech drabów, którzy wyjąwszy sołtysa, szubienicy byli warci, jakieżże opieki lub obrony spodziewać się mogłem, przeciwko tak rozhukanój złoczyńców gromadzie?... Com sobie w drodze wystawiał, to też nastąpiło. Bo zaledwie pierwszy krok w szynkowni zrobiłem, a nuż mię tu na przywitanie szturkać i wyzywać poczęto. Szczęściem udało mi się zaledwie w kąt schronić, przez co śmiertelnych uniknąłem ciosów. Wszystko to musiałem znieść z pokorą ciérpliwie — na wszelkie obelgi ani słowa pisać — bo inaczej dałbym był powód tym wierutnym bandytom na moją zagładę.

Oj panowie! téj nocy nie zapoinnę nigdy w méim życiu. Zgłodniały, bo od wczoraj jeszcze nie w ustach nie miałem, prosiłem choć o kawałek chleba, kilka kropel wódki, aby skołatałe siły i zdrowie choć nieco pokrzepić — lecz w miejsce tego podano mi szklankę brudnej wody. — Wśród tak okropnego położenia, wspominałem sobie na naszego Zbawiciela Pana, który także srogie męki niewinnie wycierpiał, i to jedynie wzmocniło mnie na duszy i siłach, żem jeszcze był w stanie dnia 3go dalej odbywać podróż.

Tego to dnia po południu, wjechaliśmy szczęśliwie na trakt bity. Tu dopiero uwijały się wozy ze skatowanymi, na pół żyjącymi, albo téż nawet zabitymi ludźmi. Okropny był to widok!... Lecz nagle stanęliśmy przed domem zajezdnym na trakcie, tam udzielono mi przecie posiłku i wytchnąć pozwolono chwilkę. Późem żegnając mojego sołtysa złożyłem mu najczulsze podziękia za jego gorliwą obronę, w niebezpieczeństwach które mi groziły. Potém miałem tylko dwóch dozorców (urlopników) przy sobie, i trzeciego woźnicę. Lecz mię to najbardziej zastanawiało, żeśmy zamiast do Bochui, jechali do Wadowie; zarzutów zaś czynić nie mogłem, będąc do wozu jak złoczyńca przykuty i zresztą towarzysze moi mogli ze mną robić co chcieli.

Do tego wlekliśmy się powoli, — prawie krok za krokiem, bo moi ceklarze mieli coś innego na myśli. Zjechaliśmy więc z traktu na nocleg do oberży w Barwald, pomiędzy dwoma gęstemi lasami. Chciałem chociaż do Wadowie dojechać, lecz to się z planem moich towarzyszy nie zgadzało bynajmniej. Gospodarz tego zajazdu, Żyd, powitał mnie grzecznie, spoglądając po mnie litościwym wzrokiem. Dano mi tu wszystkiego, czegom tylko pragnął, a rzuciwszy się po tyłu przygodach w pościel, usnąłem natychmiast, abym rano do nowych mąk i udręczeń wzmocniony znów powstał.

Zaledwie dzień zaczęło a już przebudził mię Żyd, i prosząc o sekret oświadczył: „Wielmożny panie! ci towarzysze, co tak bardzo chrapią, zamysławia coś złego!„ — Że mi nowe nieszczeście z owym rankiem świta, poznałem zaraz po zapłakanych

oczach kaczmarki. Dziwne dopuszczenie bozkie! W karczmie téj spało przeszło 10 nieznanych mi osób i żadna z tych nie miała udziału w niespokojnościach. Dwóch nędznych chłopów, podług świadectw Żyda, zainówiło się otwarcie na moją zagładę. I któż się tu teraz miał ująć za mną?... któż oprzeć się przynajmniej?... kto ratować od śmierci?!... Jakże łatwo można było tych dwóch złoczyńców we śnie powiązać i jako morderców do więzienia odstawić! Lecz niestety!... wyklęty przez rząd z społeczeństwa... opuszczony... wygnany... wyrzutek, sam jeden jak ptak, nie miałem w nikim pociechy... w nikim żadnej ratunku nadziei... byłem zgubiony!

Tymczasem obudzili się moi dozorecy, rozkazując mi zaraz gotować się w drogę. Już ani śniadać nie miałem ochoty, lecz zebrawszy się co tchu, ruszyłem w podróż. Jechaliśmy wśród lasu, aż tu naraz zboczywszy nieco z drogi, nagle wstrzymano konie.

O Boże wielki! (zawołałem) tak blizkim będąc celu mego oswobodzenia *), miałabym teraz tutaj umierać!!! Lecz już na śmierć byłem przygotowany, gdyż jęj co chwila spodziewać się musiałem. Zrzucono mię z pojazdu i z rezygnacją postępowałem obok moich oprawców w gęstwinę, gdzie mi życie odjąć postanowili. Był to płac wyborny do takiego czynu — ukryty przed okiem ludzkim — niedostępny ze wszystkich stron — i tam mi się rozebrać kazali. Zabrawszy wszystko, co przy mnie znaleźli, jako to: 19 Reńsk. ewanegyierami, złoty sygnet, i złoty zegarek, chcieli jeszcze koniecznie coś więcej pozyskać, mniemając, że wielkie pieniądze przy sobie mieć muszą. Miałem ja wprawdzie 70 Reńskich banknotami, przy sobie, którem z przezorności, dostawszy się w nocy do domu mojego sołtysa, bardzo zgrabnie w napierśniku zaszył. Lecz na szczęście nie znaleziono ich przy mnie, bohym za to był życiem przyplacić musiał. Złoczyńcy bowiem, przeszukawszy do niteczki me suknie, uznali nakoniec, że żadnej większej gotowizny przy sobie nie miał. Opuściła

*) Więzienie było wtedy dla Panów galicyjskich jedynym bezpiecznem miejscem, przed katuszami i śmiercią.

ich nareszcie mordercza myśl i układy w następny sposób ze mną rozpoczęto. — „Życie twoje (rzekł jeden z nich) jest w naszym ręku — i w tej chwili jak zająca udusić cię możemy. Jednak poznaj naszą wspaniałomyślność, że twojej śmierci nie pragniemy bynajmniej. Wyznacz nam tylko za to sowitą nagrodę, bo nam ta znaleziona drobnostka jest niczem“ — Zapewniłem ich żądanie natychmiast słowem honoru, obiecując każdemu podarunek po 200 reńsk., jeżeli tylko szczęśliwie do domu powrócę. Byłbym im nawet pół kuli ziemskiej w owęj zaprzysiągł chwili, lecz tym czasem i na to przystali. Zabiwszy mnie, nie by byli więcćj prócz sukni nie uzyskali, a starając się o utrzymanie mojego życia, zapewnili sobie sumę dostateczną do polepszenia losu. Tym więc sposobem ominęło mnie niebezpieczeństwo życia a oto jestem tu wśród was panowie, jak nowo narodzony człowiek; tylko jeszcze czarne obrazy przeszłych scen okropnych, przesuwają mi się jakby mara nocna.

Kłęska Powstańców krakowskich

pod Gdowem w Bocheńskim Cyrkule w d. 24 Lutego.

Z rozrzuwioném uczuciem serca skréślić tu mi wypada zdarzenie, które się najwięćj przyłożyło do zupełnego przytłumienia powstania galicyjskiego w r. 1846. — Tym zdarzeniem jest kłęska krakowskich powstańców pod Gdowem, spieszących w pomoc uciśnionym rodakom w Galicyi. Była to młodzież dziarska — z obliczem tchnącym odwagą i pomstą — parta wzniosłém uczuciem wolności, pędziła w krwawe swych ojców zawody. Niepohamowana chęć walki uniosła ich za daleko i prędzęj niż się spodziewali zaskoczyła ich kłęska — ów cios okrutny dla rozwijającej się siły narodowej polskiej. Lecz *nie ma złego, co by na dobre nie wyszło*, powiada przysłowie. Kto wie na jak okropne nieszczęścia byłby kraj wystawiony, a jaka nędza ucisłaby mieszkańców, gdyby to, jak się zdaje, niewczesne powstanie, w samym zarodku stłumioném nie było?... Osoby w tarnowskim i bocheńskim cyrkule, na ofiarę rzucone, byłżby się utrzymały przy życiu?...

a któż nam wreszcie za to zaręczyć potrafi, że te okrutne mordstwa — te zgrozą przejmujące sceny, co nam teraz tak boleśnie rozdzierają serca, zatamowałyby się w swym zapędzie pożerającym?... Lecz ta klęska posunęła wypadki zupełnie inną koleją, pierwsze haniebne zabezpieczenia środki ze strony rządu, stały się zbyt liczne i tysiące krwawych ofiar zdołano jeszcze wyrwać z jadowitej paszczy rozbestwionego mordercy.

Było to w ostatnim tygodniu karnawału 1846 r. gdy wojsko austriackie uciekły z Krakowa w Wadowicach stanęło. Wypadek ten zalał powszechną radością wszystkie zakątki dawniej polskiej ziemi.

Powstańcy krakowscy oswobodzeni z pętów przemocy i gwałtu, zaczęli czynnie i z całym zapałem rozwijać swe siły. Wkrótce słyhać było, że na Bochnię napadła która tym czasem bardzo słabą załogę miała. I rzeczywiście oddział polski złożony z 160 pieszych i 120 krakusów dobrze uzbrojonych, udał się w tym celu natychmiast w pochód. O 9tej godz. rano 24 Lutego nie doznawszy nigdzie najmniejszego oporu przybył do Gdowa. Miasteczko to, właściwie wioska, leży przy połączeniu się dwóch traktów głównych, tylko o jedną stacją pocztową od Bochni w nader miłej dolinie Raby, która, często jak gwałtowny potok, przedziwnie krętymi drogami, bogate w zboże i owoce przerywa niwy. W Bochni panowała wówczas największa, jednak radosna trwoga i powiedziawszy prawdę wszyscy mieszkańcy byli gotowi powstańców z otwartymi rękami powitać. Poniżej Gdowa płynie Raba, mająca jedyny tylko przechód, to jest most silnie zbudowany. Rozniosła się wieść wtedy, że powstańcy ów most po przejściu ze szczerem spalić postanowili. Co za płochy zamiar! — jak nierozważne postępowanie. Przez to byliby sobie drogę do Krakowa i wszelką z nim komunikację odcięli, na czém imi przecież wiele wtedy zależeć musiało. By więc przed zniszczeniem ów most zabezpieczyć, wojsko cesarskie w bliskości tegoż zarzuciło szaniec, obsadzając je licznemi bandami zbiegających się chłopów. Żaden chłop jeszcze dotąd nie odważył się zaczepiać powstańców — taki postrach — taka trwoga ich opanowała. Ci zaś, sama młodzież,

bez doświadczenia i znajomości wojennych obrotów, myśląc że wszystko przed nimi, jak dotąd, korzyć się musi, puścili się w ślepym zapędlu na zgubę. Bo gdyby chcieli byli postępować rozsądnie, powinni byli wywiedzieć się sekretnie o liczbie chłopów za wałami ukrytych, a poznawszy należycie swoje stanowisko, byłiby niezawodnie o ratunku i własnym bezpieczeństwie pomyśleli.

W jakim położeniu się znajdowali, dowodzi następująca okoliczność. Major Benedeck przybywszy nagle do Bochni ze Lwowa i widząc wojsko w największym popłochu do wymarszu gotowe, potrafił w jednej chwili wymową i mocą swego charakteru w strwożonych żołnierzach zapalić odwagę i męstwo. Wszyscy naraz jednogłośnie postanowili zamiast uciekać przed powstańcami, iść teraz na ich przywitanie. Tak więc jedna tylko chwila odmięła szczęście Krakowiakom, gotując im za kilka minut nieszczęśliwy koniec.

Benedeck objąwszy dowództwo nad wojskiem, wyruszył z Bochni z dwiema kompaniami piechoty i dwoma szwadronami kawaleryi w najprędszym pochodzie ku Gdowu. Pokazanie się wojska ściągnęło zaraz niezliczone gromady chłopów, tak dalece, że na jednego żołnierza stu ich przypadało w posiłku. Podług tego więc nie 160 ale 2000 mocno uzbrojonych powstańców takiej przemocy uleddy musiało. Żołnierze byli teraz pewni wygranej i z miną wesołą, ochoczo jakby do zabawki jakiegóż a nie do bitwy naprzód wciąż spieszyli.

Przyszedłszy pod Gdów, wysłał Benedeck szpiegów na zwiaady, gdzie i jakie stanowisko powstańcy zajęli. Nasi zaś o 12 w południe rozgościli się w oberży wygodnie, nie przeczuwając żadnej zdrady lub jakiego nieszczęścia. Ale zaledwie tylko Benedeck dowiedział się że powstańcy w Gdowie obozem stoją, a już ich z licznym wojskiem obkoczył do koła. 150 Krakusów zdążyło jeszcze prędką ucieczką uratować się, — lecz reszta, 160 młodych bohaterów legło, jak niegdyś 300 walecznych Spartanów pod Termopilami. Każdy się pewnie domyśla, że tu zaszły sceny najsamowolniejszych okrucieństw; gdyż wojsko bez wystrzału, miało tych 160 młodzieńców w swą moc — którzy z pokorą i rzewne-

ni łzami miłosierdzia błagali. *Oddaj każdemu swoje woła znane prawo!* Tego i powstańcy bezbronni domagali się tą razą.

Lecz niestety kazał ich wydać Benedeck na pastwę zażartemu chłopstwu, i w tych rękach znaleźli nieszczęśliwi śmierć najokropniejszą. — Jako dowódzca wypełnił on tylko swoją powinność — jako bohater mógł się zasłużyć odwagą i mężstwem — ale jako człowiek, zdeptał tym postępkim najświętsze prawo ludzkości, nie szanował i nie oszczędzał bezbronnego, nieszkodliwego nieprzyjaciela, a w rocznikach dziejów świata, zbrodnia ta ciążyć będzie na nim, jak wiecznie nieczyszczona plama. Z jeńcami rozbrojonymi, postępuje się zawsze łaskawie, a jeżeli w jakiej twierdzy załogę wyciąć wypada, przecież nie umiera żaden z *żołnierzy* tak okrutną śmiercią, jak to naszych wojowników wolności spotkało. Pokój ich popiołom! Dzisiaj śmierć tych 160, którzy już nie buntowników ale bohaterów wolności imię pozyskali, jest nowym tryumfem narodowości polskiej — nowym wieńcem na grobie poległych ofiar za swobody swych przodków.

Sądzę, że w Gdowie pomnik ku ich pamiętce stanie, lecz lepszy jeszcze wystawi im historyk, uwieczniwszy ich w dziejach narodów, jako ofiarę tej krwi szlachetnej polskiej, która już w samym poczęciu za wolność poświęconą była, by najpóźniejszym pokoleniom rodaków przekazać, że krew tylu ofiar zgubionych padła na zabójców ramię, za którą się wieki mścić będą.

Zamordowanie p. Żurawskiego,

właściciela dóbr w Tarnowskim Cyrkule.

Odwróćmy teraz oczy od owiej klęski w Gdowie, a skierujmy ku okrucieństwu zaszłemu wśród tego w tarnowskim cyrkule, i przeczytajmy o męczarniach szlachcica Żurawskiego, ojca siedmiu małoletnich dzieci, i o niebezpieczeństwie jego żonki. Żyli oni podczas terroryzmu r. 1846 zupełnie oddaleni od zgiełku światowego, nie troszcząc się o wypadki polityczne; żyli w swoich dobrach, kochani i poważani od wszystkich sąsiadów i wiernych przyjaciół a od własnych poddanych prawie ubóstwiani.

Ale też p. Żórawski był bardzo litościwy, miłosierny hojnie wspierał nieszczęśliwych i biednych.

Gdy go dwóznaczna wiadomość o buntowaniu się chłopów doszła, która wszystkich trwogą ogarnęła, postanowił wyjechać z małżonką w sąsiedztwo do swoich krewnych, aby z ich ust otrzymać wyraźniejsze i dokładniejsze wyjaśnienia w tym względzie. Powierzywszy więc nadzór domu tymczasem jednemu z najwierniejszych sług swoich, pojechał d. 18 Lutego po południu do zamierzonego miejsca, prawie dwie dobre mile od swojej wsi, nie będąc na drodze od nikogo zaczepionym. Przybywszy tamże, został z wielką radością od krewnych przyjęty i po pierwszym zwyczajnym przywitaniu, uczynił natychmiast p. Żórawski pytanie: „Bracie, coś tu słyhać z twoimi chłopami? w Wiewiórcie już się podobno zbuntowali i zburzyli zamek? okropne dopuszczenie!! zginęliśmy wszyscy, jeśli się ta wiadomość potwierdzi; jego przyjaciel odpowiedział na to: „Niestety zanosi się nam na okropne niebezpieczeństwa i co się mych poddanych dotyczy, nie ufam im bynajmniej. Lecz nie tracimy serca, życia naszego, choćby i najdrożej, brońmy do ostatka, a ponieważ okoliczności tak spieszny obrót biorą, weźmy się więc za ręce aby wspólnie zwyciężyć albo umrzeć razem.“ Tu zaczęli mężowie i małżonki tworzyć różne plany, co trwało aż do samego wieczora, poczem udano się do kolacyi. Przenawiając tymczasem słowami pociechy, podając zarazem przyczyny zaspokojenia, zniknęła powoli wzniecana obawa. Pierwsza trwoga ustąpiła zimnej rozwadze i wkrótce nikt z nich nie przeczuwał, że tak, jak teraz razem przy stole siedzieli, nikt z nich w tym domu śniadania jutro jeść niebędzie.

Tymczasem chłopci dostali w tej wsi, o zrabowaniu zamku w Wiewiórcie pewną wiadomość przez ich własną sztafetę, którą ciągle utrzymywali, a wnet ujęła ich chęć i z własnym panem tak samo postąpić. Wielu z nich porwało ostro nabite strzelby, drudzy zaś w cepy i kosy uzbrojeni wyciągnęli pod dwór cichaczem, zaraz z nadejściem nocy, nie zgodziwszy się nawet na jedno, podobnie jak ów złodziej, który po pierwszy raz bojaźli-

wie na kradzież się wymyka, nie wiedząc czy mu się szczęście uśmiechnie lub nie. Zamek był oświetlonym, przez co się chłopci dorozumieli łatwo że goście przybyli. Niektórzy podsunęli się aż pod sam płot ogrodu zamkowego, nie daleko oświetlonej izby, a najodważniejszy z téj bandy wycelował ku oknu — ogień błysnął i odkrył naraz wszystkie zbrodniarzy zbójckie oblicza. — Szyby z okien z dźwiękiem wypadły, i rozległ się krzyk przerażenia ze strony gości, którzy w największym pomieszczeniu odskoczyli od stołu, szukając w pierwszym lepszym kąciku zasłony przed morderczemi kulami, jakich się teraz spodziewano. Paf! padł znowu powtórny strzał w okno, tak mocny, że aż ćwiertnia ze ściany na podłogę spadła; poczem nastąpiła cisza grobowa — żadnego głosu nie było słyhać, ani najinniejszego hałasu! — P. Żurawski podsunął się ostrożnie pod drugie okno, aby się w ciemnościach rozpatrzeć, ale na dziedzińcu było pusto i głucho, tylko za ogrodem spostrzegł kilka postaci tu i ówdzie się przesuwających. — To przywiodło panów do przytomności umysłu — śludzy się pozbiegali — broń nabijano, jeden strzał za drugim raził nieprzyjaciół.

Ale ponieważ sobie zamierzyłem tylko cierpienia i męczarnie Pana Żurawskiego i jego małżonki opisać, zatem opuszczam walkę rozpoczętą, dodając, iż tenże uznał za słusne nie czekać końca, lecz z małżonką natychmiast w pobliżu lasie wśród ciemnej nocy szukać schronienia.

Nieszczęśliwy Żurawski nie zwrócił uwagi na mrozy panujące w tym czasie, nie uważał na głęboki śnieg zalegający pola, ni na słabość swą już nieco podeszłą małżonki. Szybkim krokiem zmierzał do lasu, zostawiając ją daleko za sobą, która go też wkrótce, śmiertelną trwogą przejęta i pozbawiona prawie przytomności umysłu, z oczu utraciła; i gdy strętwiała od zimna do pewnego pod lasem domu dochodziła, wycieńczona zupełnie na siłach padła bez zmysłów na ziemię. Tym czasem pan Żurawski dostał się wprawdzie do lasu, tego mniemanego miejsca ratunku ale człowiek niebezpieczeństwem miotany nie wie często co ma z sobą począć, pomija takie środki, któreby go uratować mogły, wybierając inne w przepaść zguby go wtrącające.

Zamiast więc pod zasłoną nocy do najbliższego udać się miasta, ukrywał się ten nieszczęśliwy w lesie, oczekując stroskany zarania, chyba tylko w téj myśli, aby go małżonka znalazła. Ale niestety dzień nadszedł i byłby znów przeminął, nimby się kto do pomocy zjawił. W największej niepewności o los swój małżonki, zmarznięty, zmorzony głodem, musiał nakoniec opuścić las zwracając się ku stronie Tarnowa. — Biedny, nieszczęśliwy człowiek! Wydał się sam swoim katom w ręce, bo już po wszystkich drogach i ścieżkach stały hordy krwi chciwego ludu; obsadzono wszystkie knieje, wszystkie wyjścia z lasu, aby im żadna ofiara ujsć nie zdołała!

Zaledwie wychylił się z lasu, aż tu wałęsające się rozbójniki, ze wsi Czarna, wracając z rabunku od pobliskich zamków, zoczyli go zaraz, i dopadłszy między siebie porwali. Suknie mu z ciała zedrzeć i cepami stłuc było dziełem jednego momentu. Można sobie łatwo wystawić, jaką śmiercią zginął, skoro od niezliczonych razów nawet tabakierka, w kamizelce na drobne kawałki potłuczona, ani jedna kość w ciele nie została cała; złoty zegarek w proch rozsypany, suknie potargane ze szczerem, ofiara zaś barbarzyństwa XIX. stulecia na owém miejscu opuszczona i jak strawa jaka dla psów przeznaczona, dopiero w kilka dni znalezioną i plebanowi do pogrzebania oddana.

Szczęśliwszy los spotkał jego małżonkę. Opuściliśmy ją skrzepłą od zimna przed domem leśniczego na ziemi pod lasem. Tam leżała bez przytomności aż do drugiego dnia. Gospodyni domu znalazłszy ją bez najmniejszego znaku życia, była tyle litościwą, że ją do izby zaraz wnieść kazała, i powoli znowu przywołała do życia.

Lecz nieszczęśliwa przyszła do siebie tylko dla tego, aby w śmiertelną obawę o los swego męża nowym utrapieniem i boleściami uległa.

Tylko szlachetne przeświadczenie, że była matką 7 małoletnich dzieci, ratowało ją od zupełnej rozpaczyny nakłaniając do dalszego myślenia o własnym ratunku.

Trzy dni musiała za prostą wieśniaczkę przebrana ukrywać się w owęj nędznej chacie, polecając się miłosierdziu leśniczego. W jakiej zaś obawie ten czas przeżyła, niepodobna nawet słowami wyrazić. Dopiero 4go dnia opuściła swoje dotychczasowe miejsce przytułku i w wiejskim ubiorze, w towarzystwie żony leśniczego dostała się nakoniec niepoznana do miasta, wynagrodziwszy hojnie szlachetność téj biednej kobiety, o której z wdzięcznością do dzisiaj wspomina jeszcze.—

MORDERSTWO,

jakiego się dopuszczono w dobrach Hr. Reja na rządcy

Józefie Ziátkowskim,

w Przyborowie, Tarnowskim Cyrkule.

Już opisałem poprzednio śmierć męczeńską hr. Dominika Reja. W związku z nią jako ustęp, będzie wystawienie ostatnich chwil życia rządcy Ziátkowskiego, który w szczególnych łaskach u niego zostawał. Będąc jeszcze dzieckiem, okazywał w sobie osobliwsze zdolności, dla tego hr. Rej, wziął go na swoją opiekę, dał mu należyte wychowanie, i usposobiwszy go na uzdatnionego męża do zarządzania dobrami, zrobił go później swoim powiernikiem.— Lecz serce młodzieńca pałało niewygasłą wdzięcznością ku swemu dobroczyńcy; i nadzwyczajną pilnością, jakoteż gorliwością w obowiązkach swoich otworzył źródło tysiącznych korzyści w dobrach swego pana, które z każdym dniem widocznie wzrastały.

Ziátkowski był nieodstępnym towarzyszem hr. Reja nie tylko w szczęściu ale nawet i w owych pełnych dopuszczenia chwilach t. j. w Lutyń. Padł ofiarą okrucieństw owego czasu, podobnie jak Irlabia, lecz zupełnie inną była śmierć jego. Zamordowanie tego rządcy jest mi dokładnie, ze wszystkiemi szczegółami znane. Sam wyprowadziłem proces kryminalny co do tego wypadku, i tylko czystą, wierzytelną prawdę, przez świadków zaprzysiężoną na jaw tu wydaję.

Pewnego poranku zimnych dni Lutego, wyjechał hr. Rej konno do miasta Dębicy, wzięwszy sobie za towarzysza swego u-

lubieńca Ziątkowskiego. W Dębicy padł hirabia od morderczej ręki zażartej zgrai chłopów, Ziątkowski zaś, świadek tego nieszczęścia, uniknął na chwilę śmierci, zawdzięczając ocalenie swoje tą razą jedynie szybkości konia.

Lecz na otwartym polu, sam jeden, zewsząd zagrożony, nie wiedział co począć i bez namysłu wrócił się do domu.

Przybył w nocy do swego mieszkania, ukrył się w spichrzu na strychu, między stóсами siana i słomy, gdy tymczasem niezliczone zgraje rahusiów już cały pałac i wszystkie przyległości zrabowawszy, zrujnowały ze szczerem. — Tam leżał aż do południa dnia następnego. Ale zmorzony głodem, pragnął posiłku; a że właśnie koło jego ukrycia służąca przechodziła, postanowił więc zawołać na nią, by jej powierzyć swe życie, żądając odrobiny chleba. Biedny nie przewidywał w tym nieszczęścia swego; nie przypuszczał nawet, że oddał swój los w ręce nieczemnej zdrajczynie, bo służąca zawiadomiła natychmiast gromadę o przybyciu swojego pana, poczem przybyła zaraz zgraja po niego, by go do wsi Chłotowy odstawić.

Nieszczęśliwy rządcą!... jakże się zląkł gdy zamiast pokarmu, ujrzał chłopów wdzierających się na strych do jego ukrycia! Stracił prawie przytomność, wyskoczył bez namysłu przez okno ze strychu, i jedną nogę zupełnie sobie strzaskał. Tak leżącego na ziemi dopadli siepacze, cieszyli się, że im znów nowa zdobycz do rąk się dostała, która by swoją zapalczywość ugasić, swą zemstę nasycić mogli.

Wśród największych boleści, które mu strzaskana noga zadawała, nie mógł rządcą podnieść się na żądanie chłopów. Przywiązawszy go więc na koniu, poprowadzono do karczmy, aby tam o jego rozstrzygnąć losie. Jako rządcą miał on przyjaciół i nieprzyjaciół w swą gminie. Niektórzy radzili, aby go tylko do cyrkułu odstawić, inni znowu wołali: „zabij! zabij!“ Większa część, domagała się pierwszego, i już byłby może przy życiu pozostał, gdyby nowa zgraja łotrów, nie była nadbiegła, pod dowództwem jakiegoś złoczyńcy, który niegdyś ukarany przez Ziątkowskiego jak najsprawiedliwiej, widząc teraz zdaleka pojmanego przez

chłopów, spieszył co tchu z równemi sobie okrutnikami, by na nim zemstą palające ugasić pragnienie.

Wtedy to ani myśleć można było o ratunku jego. Ukryto go wprowadzie w bocznej izdebce w karczmie, lecz ów herszt zacięty wpadłszy szturmem do domu, wybił wszystkie drzwi kilofem a znalazłszy nieszczęśliwego krzyknął: „*ha! tuśmi nędzniku!*“ i rozplątał mu głowę.

Właściciel karczmy, żyd, był świadkiem tego okrucieństwa, którego sprawca później jako prosty morderca, do inkwizycyj połączony został.

Ciało zamordowanego wywleczono przed dom, i obdarłszy je z sukien za wieś wyrzucono, gdzie dwa dni opuszczone leżało. Dopiero Żyd karczmarz ulitował się nad nim, wykopał grób pod figurą na otwartém polu, kazał je pochować tamże, gdzie jeszcze po dziśdzień w tej niepoświęconej ziemi pogrzebane zostaje.

Przecież podług mnie, zwłoki jego na właściwe miejsce t. j. na smętarz przeniesiećby należało.

Zamordowanie P. Morskiego,

Dziedzica wsi Latoszyna w Cyrkule tarnowskim, 19 Lutego.

W długim szlafroku zimowym, z narodową czapką na głowie, z fajką na długim cybuchu w ustach, siedział Pan Morski w krześle, jakby dla rozpędzenia czarnych myśli tłoczących jego głowę, wypuszczał gęste kłęby dymu, wpatrując się w różnokształtne ich kręgi znikające w obszernej przestrzeni pokoju. Wieczór już był zapadł — straszny wichur zapowiadał swém wyciem i łukiem okropne jakieś burze, wkrótce mające roznosić zagładę nieszczęśliwej części rodzaju ludzkiego. Oparty na poręczy krzesła — pogrążony w swych myślach, siedział jak posąg z kamienia wykuty — tylko niezwykle jakieś rysy na jego twarzy malowały czarny chmur ogrom, zasępiający lubą spokojność jego serca, wyświecając zarazem srogie w duszy cierpienia. Żyjąc samotnie jako kawaler, nie miał nikogo kto by mu posępne życia jego chwile osłodzić potrafił. Nie widział małżonki przy

przy swoim boku, ni wesółych w koło siebie igrających dzieci, które jedynie czasem ponure stroskanych rodziców oblicze wy pogodzić mogą; lecz mino to serce jego pieściło w sobie obraz dro gich przedmiotów, jakie zazwyczaj uczciwego i ludzkość kochają cego obywatela zajmują. —

Dostawszy po ojcu majątek w spuściźnie w bardzo zaniedba nym stanie, postanowił gospodarstwo ulepszyć, do czego już swém staraniem i pracą znaczny krok uczynił. Zeszłej jesieni miał ma teryał w zapasie do odnowienia dworu i innych przyległych go spodarczych budowli, a po długich zabiegach ujrzał z rozkoszą owoce swój pracy — zapełnił nimi przybytek wygody i dostatków, jak to zazwyczaj u rządnych gospodarzy widzieć się daje. Cho ciał w stanie bezzennym, tchnęło jednak dla niego życie tysiącem powabów i przyjemności; ciągle jego zatrudnienia i prace były dlań pasmem wesółych rozrywek, słodzących gorycze przeciwności. Ale teraz po kilkoletnich zabiegach i trudach, wydzwignawszy się z krytycznego położenia — w dostatku i pomyślności — niezwykle ja kieś uczucia miotaly jego sercem, jakąś zgubę, jakieś okropne nieszczęście mu przepowiadając. Słowem, przecucia wyższego świata napępiały jego duszę w téj chwili, szeptając mu ciągle: „*Twój koniec już blizki.*“

Tak zaiste! — gdyż albo jako zwycięzca razem z braćmi swy mi miał wywalczyć wolność dla swojej ojczyzny, albo téż z nimi zginąć jak ulegać ochydnój niewoli! Urósł on w rozum i cnotę piękném wychowaniem — pieścił w sobie ten drogi klejnot staropolskiego zabytku — lecz był to czas, gdzie Polaka słodkiej swobody oddech tłumiły rozpostarte drapieżców wyroki — gdzie dziecię polskie wydane na grobie powszechnój matki ojczyzny, nie uczyło się stapać już na wolnej ziemi — ani się nazywać śmiało swego narodu imieniem, bo mu w przódzy przemoc pęta ukowa ła, nim zdołało poznać piérwszy swój posag nieba, godło świętej wolności, zaś roje hord nieprzyjacielskich w około nasze niwy o blegały — twarde plemiona najeźdźników puściły drapieżne orły na tę ziemię świętą, by w szpony ująć naszych ojców własność, a niesytą paszczką łupieży pastwić się w krwi niewinnej ich szla-

chetych synów, gdzie tylko rzucić było okiem, wszędy przekleństwa, płacz i narzekanie!!..

Nie dziw więc że wśród takich trosk i biędy na polskiej ziemi, Morski nie mógł znieść więcej téj krzywdy i hańby, jaką nam wyrządzali obcy, gdy wprzód wzięwszy naszych ojców niby bezbronnych pod swój płaszcz opieki, obdarli ich z wszystkiego, a potem jeszcze bratnie Polaków w sieroctwie potomstwo zapragnęli dognębić ze szczętem.

Lecz niestety! — nie przeszło nawet Morskiemu przez myśl, że nie pójdzie jak wolny rycerz potykać się za wolność, ale że właśni poddani, którym on tyle dobrodziejstw wyświadczył, na nim okrutną zbrodnię morderstwa popełnią, nasycając tą zgrozą jakąś podłą zemstę. —

Do pokoju Morskiego, wśród owego burzliwego wieczora, wszedł mieszkaniec jego wsi, Żyd Abraham stanął przy piecu, a poruszenia jego i wyraźna niespokojność dowodziły, że coś ważnego miał do powiedzenia, czekał jednak, aż p. Morski naprzód sam zacznie. — Chodziło tu właśnie o pewien punkt warunków kontraktu, — o wypłatę półrocznej raty. Żyd namyślał się, czy ma uczynić zadość żądaniu pana swego, czy się téż rzucić z kontraktu... Oba rozmyślali, наконец po długim milczeniu następującą zaczęto rozmowę:

— „Abraham! wszak byłeś wczoraj w Tarnowie, jakże tam stoją nasze interesa — czy spokojność trwa ciągle? — powiedz wszystko, tylko bez zmyślenia“ —

→ Proszę Wielm. Pana, źle słyhać w Tarnowie... zupełnie źle... mówią, że przyjdą Polacy z Krakowa, z Warszawy i z Francyi, a nawet i z Ameryki. — Przywieziono wiele szlachty z Łysiej góry — hm — na co się to wszystko przyda... chłopci będą szlachtę... mordować! — Ja sam życzę Wielm. Panu z tego miejsca ujechać, — bo w Łatoszynie Wielm. Pan nie jest zupełnie bezpieczny! —

Głupiś! — jakto niebezpieczny?.. przecież moi poczciwi chłopci nie mi nie uczynią złego, — a co do obcych... i tych się nie lękam. Lecz cóż to mówiłeś o Polakach z Warszawy i z Krako-

wa?... czy rzeczywiście mają przyjść... a może już idą... dałby Bóg! (tu westchnął głęboko) aby nam tylko co dobrego przynieśli!

— Dobrego przynieśli?... hm... oni nie przyjdą aż do Tarnowa... wierz mi Wielm. Pan... Jestem stary Żyd... za moje życie niktby może ani grosza nie dał... ale jeżeli Polacy z Krakowa do Tarnowa przyjdą, dam sobie głowę uciąć. Chłopi... są teraz bardzo rozjątrzeni na panów. I Wielm. Pan nie jest tutaj bynajmniej bezpieczny!... może już jutro... a kto wie, może jeszcze i dzisiaj.

Na te słowa zerwał się Morski z krzesła — przeszedł zmieszany po pokoju kilka razy... potem wyjąwszy jakiś list z kieszeni, wpatrywał się weni z osłupieniem — i lekki uśmiech przesunął się nieznacznie po jego obliczu. Rozmowa z Abrahamem o chłopach wywarła na jego umysł okropne wrażenie.

Potem prowadząc dalej rozmowę rzekł:

— Abrahamie — co do pieniędzy — niech się już stanie podług twojej woli — lecz co do chłopów: proszę cię na wszystko, śledź ich kroki — uważaj ich pilnie, a jeżelibyś coś nadzwyczajnego widział lub usłyszał, donieś mi natychmiast — bo ja Łatoszyna opuścić nie myślę... nie pytaj mnie dla czego, ale są pewne święte obowiązki, które mnie do tego zniewalają — muszę więc tutaj czekać, co się dalej dzieć będzie. Ale mój Boże! moi własni poddani, którym tyle dobrodziejstw świadczyłem, miałiby jeszcze przeciwko mnie być?... miałiby targnąć się na moją osobę i własność?... nie!.. to niepodobna do prawdy!.. Bądźże przynajmniej ty dla mnie przychylny i wierny... błagam cię... zaklinam cię pocziwy, Abrahamie!..

Żyd ukłoniwszy się wyszedł, a Pan Morski przechadzając się jeszcze chwilę po pokoju, zamknął drzwi na klucz i wziął się do ukończenia swoich rachunków. Już było po północy a on jeszcze pisał listy, które drugiego dnia we wszystkie strony miał rozesłać. Nareszcie ukończywszy swą pracę, udał się na spoczynek.

Usnął — a jego sen był ostatnim snem śmiertelnika na ziemi, wzmacniającym jego członki do cierpień męczeństwa, jakie mu nieszczęśny los ojczyzny przeznaczył. Tymczasem sroga zemsta

uzbrajała dłonie chłopów chciwych krwi jego; musiał paść ofiarą okrucieństwa, bo jego imię w księdze losów ludzkich było zapisane.

Rano, rychło w świt, wstał Morski z łóżka, i zaraz podług swego zwyczaju chciał się udać do zatrudnień gospodarskich — gdy nagle, bez tchu prawie, wpada Abraham, mówiąc w przerywanych słowach: „Wielmożny Panie!... chłopci napadli téj nocy na dwór sąsiedzki... pomordowali w nim wszystkich... i zrabowali zupełnie... tu zaś wszyscy poddani uzbroili się już w kosy i cepy... gromadzą się tłumnie... lecz nie mogłem się od nich dowiedzieć dla czego?... Ah!.. jednak nie myślą oni nie uczciwego... W. Panie ratuj się... dopóki czas jeszcze... lepiej wyjechać zaraz do Dembicy lub Tarnowa... ale na wsi nie życzę zostawać dłużej.., bo tu grozi największe niebezpieczeństwo.

Najmężniejszy nawet, w położeniu Morskiego, straciłby był odwagę; bo każdy, człowiek, choćby uważał jakie nieszczęście za niepodobne, jednak wśród takich okoliczności musiałby je wziąć przecie za rzeczywistość. P. Morski téż dowiedziawszy się, że własni jego poddani ostrzą nań śmierci narzędzia, przestał żyć moralnie. Wpadł w zamieszanie, stracił przytomność umysłu, a w końcu opuścił go wpływ siły moralnej, i nie mając już własnej woli, postanowił poddać się ślepo losowi. Ostupiały, rzucał do koła zbłąkanyin wżrokiem jakby jakiejś pociechy szukał, lży nakoniec stanęły mu w oczach — westchnął głęboko w ostateczném o sobie zwątpieniu — i minowolnie, chwyciwszy Abrahama za rękę, krzyknął: „uchodźmy.“ Już był we drzwiach domu, gdy w tém „stój“ podwójna straż przed domem zawoła. — Przerażony Morski cofa się do swego pokoju i zamiast poczynić przygotowania do obrony życia, lub ukryć się w jakim zakątku, staje z rezygnacją na środku izby, mówiąc temi słowy: „Chodźcie mordercy!... czekam was!... utopcie żelaza mordercze w téj piersi, która dla was biła! zasilcie się tą krwią niewinną na wieczne przekleństwo i potępienie!... ach!.. bijże już śmierci godzino!!“

Tak niestety... wybiła wkrótce piérwój niżli się spodziewał. — Trzeba było, że w tedy hr. Rej przez jego wieś Latoszyn

przejeżdżał. Chłopi napadli nań z zapalczywością, lecz im się przecież z rąk wymknąć potrafił, uciekając czemprowadź do miasta Dembicy. Rozjąttrzeni tym wypadkiem chłopi, szukają zemsty. Postradawszy jedną zdobycz, nie chcieli utracić drugiej t. j. własnego pana, i tłumnie przypuszczają szturm do domu P. Morskiego, który w tej chwili od najwierniejszych sług opuszczony i od Abrahama, zostawał sam jeden w pokoju, gotując się na śmierć.

Dzicz ta wyłamawszy drzwi domu wpada do P. Morskiego — on zaś powstawszy z krzesła, postąpił kilka kroków i rzekł rozpaczliwym głosem: „Kogóż szukacie?... cóż to znaczy... wy z kosami i siekierami u mnie?... cóż więc żądacie?”

— Ciebie! krzyknął jeden z tłumu.

— A więc jestem — wyrzekł nieszczęśliwy — i zaraz zadano mu kosą cios śmiertelny w głowę. Stracił przytomność, krew uderzyła strumieniem z głębokiej rany — pada na ziemię i toczy jeszcze okropną walkę z śmiercią. Lecz wywleczony przed dwór, skonał po męczeńsku pod razami kos i cepów.

Drugim aktem tego dramatu było zupełne zrabowanie i zniszczenie dworu, podług zwyczaju w owym czasie rozpowszechnionego.

Dwóch Żydów jako powstańców.

Ponieważ podczas powstania w r. 1846 miałem sposobność słyszeć o wielu okolicznościach w związku z niem będących, a nawet sam byłem ich naocznym świadkiem, zatem będzie tu nie od rzeczy przytoczyć zdarzenie, wprawdzie mało znaczące, ale które nam poda bliższe szczegóły ówczesnych wypadków.

Powstańcy Krakowscy, po zajęciu Podgórza, postanowili powiększyć swoje oddziały i na Gdów się wyprawić. W pewnej wsi nie daleko Podgórza, nieszukał majątny żyd, propinator, trzymający zarazem i rogatkowe. Miał on dwóch dorosłych synów, którzy się wyłącznie zajmowali poborem myta drogowego. Życie takiego poborcy bywa czasami na tysiączne wystawione nieprzyjemności, i nie zawsze jest pewnym odebrania summy za dzier-

żawę zapłaconej. Ow propinator jednak uzbierał przytém znaczny majątek, co każdemu w téj okolicy było wiadome.

Pewien z powstańców, którego nazwiska tu nie wymieniam, postanowił dwóch wzmiankowanych synów propinatora zaciągnąć do wojska polskiego, i w tym celu wzięwszy z sobą kilku kolegów, udał się do jego mieszkania. Strach nadzwyczajny ogarnął żyda, gdy ich ujrzał z bronią, krzyczących po drodze *hurra!!.. hurra!! do żyda!!* Stanąwszy przed domem, zaczęli pałaszami kołatać do drzwi, co żydom odjęło zupełnie przytomność. — Nakoniec powstańcy weszli — rekrutów zabrali, których ani pieniędzy na ich wykupienie ofiarowane, ani najczulsze błagania i prośby uratować nie zdołały.

Przybywszy do koszar w Podgórzu, odebrano żydom tłumoczek z towarami, które od rodziców na drogę dostali, złożono je w magazynie wojskowym, a natomiast dano im broń palną z pewną ilością ładunków. Całe to postępowanie z żydami wyprowadziło podług opowiadań naocznych świadków, sceny najpocieszniesze.

Drugiego dnia maszerowali żydkowie w małym korpusie powstańców pod Gdów. Przeszedłszy Wieliczkę, zboczyli powstańcy do pewnego dworu na nocleg, gdzie ich jak najlepiej przyjęto i traktowano. Każdy żyd, widząc swego syna w niebezpieczeństwie, na wszystko się naraża, byleby go tylko wyrwać z nieszczęścia, choćby mu i własne życie poświęcić wypadało. Tak téż zrobił nasz propinator. Szedł wciąż z daleka za orszakiem powstańców, nie spuszczał z oka swych synów i wieczór, gdy po trudach dziennych posilać się zaczęli, dostał się przecie do nich, a ubrawszy ich w suknie kobiece, uciekli natychmiast.

Tym więc sposobem w zaszklę na drugi dzień katastrofie, nie mieli udziału, uszedłszy zdradziecko z szeregów braci, z których każdy swe powieki wiecznym snem zamknął.

ZAMORDOWANIE

Konstantego Lel. Słotwińskiego.

Konstanty Leliwa Słotwiński urodził się w Dąbrowce, obwodzie Tarnowskim, Galicyi austryackiej d. 30 Stycznia 1793. Szkoły początkowe odbył w Tarnowie w 13, filozoficzne zaś i prawne w Krakowie w 17 roku życia. W r. 1811 a w 18 wieku swego, po odbytym ścisłym popisie otrzymał stopień podporucznika w szkole aplikacyjnej artylleryi inżynierów w Warszawie, a w dziewięć miesięcy potem został umieszczony jako porucznik drugiej klasy w półku artylleryi pieszej Księstwa Warszawskiego. W wyprawie do Rossyi r. 1812 ranny pod Smoleńskiem, odwieziony do lazaretu w Mohilowie a później do Szklowa, zostawał tam ciężką chorobą złożony aż do czasu, w którym wojsko X. W. z innemi do odwrotu przymuszone, do ojczyzny powracało. Nieodzyskawszy jeszcze zdrowia, ale wierny obowiązkom, połączył się z wojskiem cofającym w Litwie pod Bobrem, przyprowadziwszy z ubocza po krwawych utarczках magazyn żywności na dwóchset wozach, za co ozdoby wojskowe miał przyobiecane; bo jako oficer artylleryi, a do tego rekonwalescent, transportem magazynu zajmować się obowiązany nie był. Po bitwie pod Beresiną przybył do Warszawy, ale głód i mróz sprowadziwszy dawną niemoc, wtrąciły go znowu trzeciego dnia do lazaretu w Ujazdowie, zkąd przed wojskiem zwyciężkiem Rossyi uwieczony, przybył do Krakowa. Tam widząc stargane na usługach krajowych siły, i niemając nadziei odzyskania ich w czasie wojny r. 1813 prosił o dymissyą, otrzymał ją i wrócił na łono familii do Galicyi Austryackiej. Pociągnięty do odpowiedzialności za wstąpienie do służby zagranicznej musiał dowodzić, że będąc w ów czas obywatelem dwukrajowym miał prawo i obowiązek przyjęcia tej służby, i uwolnionym został od kary. W r. 1814 udawał się S. do jenerała Redel o wstąpienie napowrót do organizującego się na nowo wojska Polskiego. Nie otrzymawszy jednak żadnej odpowiedzi i dla tego sądząc, że usługi jego wzgardzone zostały, przyjął służbę cywilną w Galicyi.

1816 r. został S. praktykantem cyrkularnym w Tarnowie. 1818 praktykantem konceptowym przy gubernium Lwowskiem. 1819 praktykantem konceptowym przy kancelaryi nadwornej w Wiedniu. We Lwowie jeszcze poznał Józefa Jekla: *Polens Staats veränderungen und letzte Verfassung*. Dzieło to czasu swojego w świecie literackim wiele narobiło hałasu. Zagraniczne pisma literackie rzesiste sypały mu oklaski i wprowadziły autora do królewskiego towarzystwa naukowego w Getyndze i do towarzystwa przyjaciół nauk w Warszawie. Nawet król Stanisław August, rozwodził się z pochwałami nad wstępem, który za życia jego drukiem ogłoszony został. Dzieło to przełożył w Wiedniu S. na język ojczysty. Ponieważ jednak p. Jekel nieprzyjazny Polakom, często-kroć, świadomie i nieświadomie, fałszował i koławił fakta historyczne narodu, o którego posłannictwie nie miał jasnego pojęcia, i li z stanowiska niemieckiego swojego czasu zapatrywał się na jego rozwój historyczny, przeto tłumacz w licznych przypisach sprostował jego usterki i całe dzieło w duchu czystonarodowym ziomkom przedstawił. Podniósł nadto wartość jego przez dołączenie pasma genealogicznego, przez poprawy w samém dziele poczynione, przez doprowadzenie dziejów aż do r. 1818 i przez dodanie dwóch wcześniejszych konstytucyi krain Polskich. Żądać nicomyślności lub poglądu filozoficznego na całość dziejową w czasie, gdy krytyka historyczna była jeszcze w powiciu, a dzieje pierwotne narodu niezbadane, trąciłoby niedorzecznością. Ma jednak dzieło to istotne zasługi, jak n. p. zgłębienie i dokładne a prawdziwe przedstawienie i ocenienie ducha konstytucyi 3 Maja, osobliwie artykułu piątego o rządzie, czyli oznaczenie władz publicznych, praca oryginalna tłumacza, i ciekawy zbiór materyałów do przyszłej historii Polski, pod berłem austriackim w czasie przejścia narodu z żywota oligarchiczno-arystokratycznego pod rząd ściśle monarchiczny. Dzieło to zjednało S. zaszczytne uznanie towarzystwa naukowego Krakowskiego, którego członkiem i korespondentem w r. 1819 mianowanym został.

W r. 1823 otrzymał stopień komisarza obwodowego w Jaśle w Galicyi. Przeniesiony później do Wadowic zajął się skrzętnie

zbieraniem i umiejętném zestawieniem praw poddańczych w Galicyi, i wydał je pod tytułem: *Systematische Darstellung der Unterthansgesetzen in Galizien*. Prawa te rozrzucone po niezliczonych okólnikach, rozporządzeniach gubernjalnych, patentach krajowych i dekreтах nadwornych przedstawiały dotąd chaotyczny zamęt i utrudniały nadzwyczajnie ich naukę tak niezbędnie potrzebną władzom politycznym w Austrii. We wstępie przedstawił autor rys krótki dawnych praw Polskich w celu przekonania zawistnych cudzoziemców, że one nie były tak barbarzyńskimi i krwiożerczemi, jak się w ich ciężko uczonych głowach roilo, a częstokroć szlachetnością, wspaniałomyślnością, ścisłym wymiarem sprawiedliwości i ludzkością prawdziwie chrześciańską przewyższały o wiele ustawy równoczesne państw sąsiednich.

W krótkce przekonał się jednak S. że jego duch czynny a żywot treściwy nie da się wśrubować w ciasne formy biurokracyzmu. Porzucił przeto służbę urzędową, aby w zaścianku ojczystym oddalony od zgiełku świata i jego brudów oddać się pracom umiejętnym. Owocem tych prac był: Katechizm poddanych galicyjskich o prawach i powinnościach ich względem rządu, dworu i siebie samych. Dziełko to przeznaczone dla klasy mniej oświeconej, napisane jest w stylu prostym i łatwym do pojęcia, nie zawiera żadnych urojeń, ale przepisy istniejące. Później zajął się wypracowaniem dziejów Księstw Oświęcimskiego i Zatorskiego. Jest to jedno z pierwszych usiłowań zgnębienia życia słowiańszczyzny. Zgodnie z Lelewelern popiera tu S. zdanie o rzeczywistém i niepodległym istnieniu państwa Białej Chrobacyi. Wartoby zostawić jego dowody w tym względzie z dowodami Augusta Bielowskiego utrzymującego zdanie wprost przeciwne.

W r. 1831 wezwanym został na dyrektora zakładu naukowego imienia Ossolińskich. Z niechęcią przyjmował ten urząd. Jedyne święty obowiązek służenia wedle sił możności krajowi i ciągłe nalogania przyjaciół i krewnych przemogły w nim występowidoczny. Z boleścią serca opuszczał swoje wiejskie ustronie. We Lwowie zastał cały zakład w największym nieładzie. Natychmiast po przyjściu otworzył czytelnia, nie chcąc skarbów w księ-

gozbiorze Osolińskich zawartych, zatrzymywać dłużej narodowi. On pierwszy zajął się sporządzeniem dokładnego katalogu kartkowego, uklassyfikował gabinet numizmatyczny, utworzył mineralogiczny i starożytności krajowych, założył drukarnię i litografią zakładowe. Zgarbiony nad zapyłoniemi foliarami dnie i nocy ślecał przy stoliku. Olbrzymie te prace zniszczyły do szczętu słabowity organizm jego. Ciągłe siedzenie przyprawiło go o zatwardzenie wątroby, a lekarze rokowali mu śmierć nieochybną, jeżeli dłużej przy dotychczasowych zatrudnieniach pozostanie. Atoli S. wierny powołaniu swemu postępował śmiało w rozpoczętym tak chlubnie zawodzie. Ostatnie wypadki rozbudziły pojedyncze symptomata ocucającego się ducha narodowego. Skupić te żywioły różnorodne, częstokroć niesforne i sprzeczne z sobą w jedno ognisko, podnieść piśmiennictwo krajowe na stopień, jaki zajmowała ówczesna literatura angielska, francuzka i niemiecka, stało się odtąd głównem zadaniem jego żywota. W tym to celu rozpoczął r. 1831 wydawanie pisma peryodycznego pod tytułem: *Czasopismo naukowe zakładu narodowego imienia Osolińskich* — w miesięcznych poszytach. Ale sam jeden, bez wsparcia, opieki, zachęty, w nieustannój walce z oziębłością publiczności i literatów, w ciągłym łamaniu się z przeciwnościami, których całkowite pokonanie przechodziło nie raz siły człowiecze, czyż mógł wydawać co miesiąc same arcydzieła? Pismo to jednak nie jest bez zalet. Rozprawy Opalińskiego, Siarczyńskiego, Batowskiego, Michała Popiela i Kaczkowskiego, poezye: Pola, Bielowskiego, Siemienińskiego, Oliżarowskiego i Podoleckiego zdobią go szacownie. Z oryginalnych prac wydawcy napotykamy tu między innemi: Wiadomości zagraniczne o Koperniku — O życiu Xawerego Szaniawskiego — Wiadomość o Zborowie — Wiadomość o Janie Kazimierzu i jego pobycie we Francyi po złożeniu korony, tudzież poezye: do tulacza, przekład początku Farsalji Lukana i wyimek z Ziemiaństwa Wirgiliusza.

Tuszcza niezgrabnych pisniaków, bez prawdziwego powołania i talentu, a nie raz bez loiki i zdrowego rozsądku zapelniała w ówczas ramotami swemi pulki księgarskie, łudziła opinią pu-

bliczną i środkami częstokroć najnieszlachetniejszemi zyskiwała wziętość, oklaski i pieniądze. Wystąpić z odwagą przeciw tym oznakom zemdlenia duchowego w imieniu znieważonego narodu, poczytywał sobie S. za obowiązek moralny. Wystąpienie to narabiło mu wiele nieprzyjaciół. Charakter jego silny, nieugięty, nawet gwałtowny, kiedy chodziło o dobro kraju, powiększył znacznie ich liczbę. Nieprzyjaciele jego mieli znaczenie, majątki i wpływy. Łatwo im się udało, oczernić go przed rządem, i szlachetne usiłowania jego w najfałszywszém wystawić świetle. Oskarżono go o drukowanie i rozszérrzanie dzieł zakazanych i związku z Zaliwskim, (który właśnie w tym czasie odbył swą szaloną do Galicyi wyprawę 1833—1834). S. nie miał nigdy najmniejszej z Zaliwskim styczności, nie znał go nawet osobiście, a sądząc po czynach i pismach tego człowieka litował się nad jego moralną i umysłową nędzotą. Pomimo tego i choć żadna zbrodnia dowiedziona mu nie została, skazano go na ośm lat ciężkiego więzienia w twierdzy kufsteińskiej w Tyrolu. W samotności więzienia oddał się cały czytaniu pisma Sgo. Z tego niezgłębionego morza łaski i zbawienia czerpał pociechę, siłę, natchnienie. A podczas gdy filozofia niemiecka z kagańcem rozumu odbywszy pielgrzymkę po krainie istnienia i zbadawszy jego najskrytsze tajniki, cały Boży świat w wielkie przezrocze ulotniła—nie znękany więzieniem nasz w wierze i w miłości szukał kardynalnych calców żywota i głębokie pomysły swe odrodzenia ludzkości w tym duchu przedstawił w licznych dziełach ułożonych w kaźni. Po dziewięcioletniej niebytności powrócił do kraju, na łono osiérociatęj rodziny. Więzienie głębokie na nim zostawiło ślady. Dawna wesołość opuściła go, jakaś niewypowiedziana tęsknota opanowała żywot cały. Śnać za życia cieleśnego jeszcze uniósł się duch jego w apoteozę krainę. Opatrzność dozwoliła mu wreszcie dostąpić korony męczeńskiej i zostać Aniołem stróżem narodu, którego był dawniej obrońcą i chluba. Z krzyżem w ręku, modlitwą na ustach, i wżrokiem ku niebu wzniesionym padł pod cepami rozjuszonego chłopstwa podczas rzezi szlachty galicyjskiej dnia 21 Lutego 1845 r. a w 53 życia.

Wypracował dzieła następujące:

1) O Polsce, jój dziejach i konstytucyi, dzieło w języku niemieckim przez F. J. Jekla ułożone, a przez Konstantego Słotwińskiego spolszczone, poprawione i przypisaniami pomnożone, tomów 2. Lwów 1819.

2) O Polsce, jój dziejach i konstytucyi Tom. 2. Część 2. przez K. z Scigniew Słotwińskiego C. T. N. w K. Lwów 1823.

3) Katechizm poddanych galicyjskich o prawach i powinnościach ich względem dworu, rządu i samych siebie, przez Konstantego Leliwa Słotwińskiego. Lwów 1832.

4) *Sistematische Darstellung der Unterthansgesetze in Galizien, ein Versuch v. K. R. v. Słotwiński* Brünn 1827 3. Tomy.

5) Rysy projektu, uwagi nad tymi rysami i nowe myśli do utworzenia towarzystwa kredytowego w Galicyi 1833, we Lwowie.

6) *Lelum Polellum*, komedia bez oddziałów. Lwów 1833.

7) *Świątnik Lwowski* czyli kalendarzyk na r. P. 1834. Lwów 1834.

Pozostawił zaś w rękopismach:

8) *Zbawienie świata*, poema oryginalne w 21 pieśniach, podczas rzezi galicyjskiej znacznie uszkodzone.

9) *Sonety Katolickie* na wszystkie słowa *Zbawiciela*, toż samo w wielkiej części zniszczone.

10) *Ofiary poranne i wieczorne* podług niemieckiego dzieła: *Witschel's Morgen und Abendopfer*.

11) *Dymitr*, tragedia oryginalna w 5 Aktach wierszem.

12) *Kochany Braciszek*, komedia oryginalna w 1 Akcie.

13) *Toporeczyki*, dramat oryg. wier. przez kilka scen zupełnie zniszczone.

14) *Juliusz Cezar*, tragedia w 5 Akt. z angielskiego Schakspeara.

15) *Oblężenie Koryntu*, z angielskiego, Byrona, do szczętu zniszczone.

16) *Sonety więźnia*, znacznie uszkodzone.

17) *Dzieje zachodnio-południowej Polski* w pierwszych 10 wiekach ery chrześcijańskiej, znacznie uszkodzone, bez końca.

18) Systematische Darstellung der Unterthansgesetze in Galizien, wydanie drugie. Czasopismo Ossolińskich wydawał od roku 1831 do 1834. — Konfederatki, pisma politycznej treści wyszło 6 zeszytów.

Wysoki sędzie karny!

Podczas okropnej rzezi Galicyjskiej, która morzem krwi niewinnej zboczyła naszą nieszczęsną krainę, pomiędzy tysiącem ofiar po szatańsku rozjuszonego chłopstwa i t. p. ojciec mój Konstanty Leliwa Słotwiński był c. k. kommissarz cyrkulowy, później dyrektor zakładu narodowego imieniem Ossolińskich, członek czynny towarzystwa naukowego Krakowskiego, we wsi swój Głębikowy dolnej, poniósł śmierć męczeńską. Dnia 21 lutego 1846 o godzinie 10 rano, niezliczona tłuszcza rozbestwionych katów, nabechtana krwiożerczemi zasadami, wściekłego potworu, nazwiskiem Jakób Szela, z przeraźliwem wyciem i przekleństwem na ustach obiegła dziedziniec i wtoczyła się w sić dworu. Długo jednakże wahali się rabusie położyć rękę zbrodniczą na siwą głowę bogobojnego starca, którego wszędzie w okolicy za świętego uważano, i który swym przykładnym żywotem i dobrodziejstwem, któremi obsypywał swoich morderców, na tę nazwę zasłużył. Pierwszy dopiero Szymon Siwiński poddany sąsiedniej wsi Głębiczyny, ogromnym drągiem wywalil drzwi pokojowe, i nim tak silnie uderzył w głowę swoją ofiarę, że uderzony natychmiast upadł na ziemię i przytomność utracił. Gdy tymczasem inni rabunkiem pieniędzy, książek i kosztowności się zatrudniali, okna tłukli, podłogi niszczyli i cały dworzec z ziemią równali, Paweł Szczepanik i Wojciech Wielgus, obydwaj poddani z Południka, wioski do hrabstwa Dębickiego należąc, Tomasz Niens poddany z Głębiczyny, cepami, pałkami i kosami tak bić i siekać nieszczęśliwego zaczęli, że w całym słowa znaczeniu we krwi swój strumieniach pływać począł. Ale te męczarnie zdawały się za łagodne jego opawcom. Dla tego Tomasz Ryba, herszt szatańskiej wyprawy, żelaznemi widłami przebił bok męczennikowi, a gdy tenże ręce zemdłone do modlitwy, i błagalnymi ku niebu wzniesionymi

głosem polecał Bogu ducha swojego, Mikołaj Polański poddany wsi Globikowy dólnój, pałką zadał mu cios śmiertelny.

Tak zakończył jeden z najgodniejszych obywateli, najgorliwszych chrześcian, najuczeńszych mężów, jakich wydała Galiacya, a krew jego dotąd nie pomszczona, woła o zemstę do nieba.

Uprasza przeto niżej podpisany, aby Wysoki Sąd stósownie do przepisów praw bozkich i ludzkich towarzystwo i ludzkość uwolnić raczył od wyż wymienionych zbrodniarzy, którzy ośmieleni powodzeniem pierwszego zabójstwa nie przestają do morderów i rzezi podniecać swoich współbraci i w oczywiste niebezpieczeństwo podają głowy i majątki spokojnych obywateli. —

Świadkowie.

Na Świńskiego Szymona, Wojciech Sikora i Raś Antoni.

Na Wojciecha Wielgusa, Paweł Bęben.

Na Tomasza Niensia, Wojciech Sikora i Antoni Raś.

Na Pawła Szczepanika, Wojciech Sikora.

Na Tomasza Rybę, W. Sikora, A. Raś, i Fabjanik.

Na Polańskiego Mikołaja, W. Sikora, A. Raś, Józef Wrona i Aba Stern.

LIST

Juliana Goslara do siostry, pisany z więzienia.

Wdzięczny ci jestem, kochana siostro, żeś mię pocieszyła wiadomością o sobie, o naszej najukochańszej matce, o Cl. i Cl... Tylko mię wiadomość o J... zasmuciła, o ile przy tak wielkich klęskach kraju, coś osobistego zasmucić nas może. Gdy vice prezydent Leżański odwiedzał więzienia, pytał mię między innemi, czy nie wiem gdzie się mój brat obraca; sądziłem więc że już wolny, a ty mi piszesz że dotąd uwięziony w Tarnowie. O mnie dawnoście nic nie wiedzieli. Opiszę więc co można z mego ostatniego życia, póki obszerniej, a jeżeli Bóg da, ustnie nie pomówimy wzajemnie o naszych przygodach.

Po uwięzieniu J... wysłano mię na Węgry; przykro mi to było, bo do ostatniej chwili nie chciałem opuszczać Mazurów, ale musiałem słuchać władzy, której się poddałem. Dopiero w

Lutym mogłem wrócić do Galicyi. Nie było już czasu dostać się w Tarnowskie. Otrzymałem rozkaz udać się do Haczowa wsi 3 mile od Sanoka i tam rozpoczynać działania, bo ta gromada H... jak mię zapewniano, najlepiej miała być do powstania usposobioną. Przybyłem tam w Piątek około 20 Lutego. Ksiądz tamtejszy okazywał się gotowym do odczytania ludowi proklamacyi. — W tém dochodzi wiadomość, że chłopci obawiają się rzezi od Polaków i rozesłali posłańców do Sanoka i pobliskich miasteczek, by prosić Rządu o pomoc i radę. Ksiądz struchlał. Ja chciałem wiedzieć co robią inne gromady, kiedy najlepiej do powstania usposobiona tak się spisuje. Do jednej wsi posłałem list z zapytaniem, do drugiej sam pojechałem. W Kombornie we dworze zastałem kilkunastu uzbrojonych, a gromadę spokojną. Nie tracili tam wiary w lud, mniemając, że w kościele da się przekonać. Było już blisko jedenastój w nocy. Pokładliśny się. Ja usnąłem zaraz, moi towarzysze oka nie zmrużyli. Świeca się paliła. Obudziłem się. Scienny zegar uderzył pierwszą godzinę. Uczułem radość nadzwyczajną. Zebrałem się i ścisnąłem kogom spotkał. Nie przyszło mi wtedy na myśl, że nasz ojciec przed swoją śmiercią także się bardzo radował. Z całej duszy witałem sobotę. Przededniem wróciłem do H... Tam słyszę, że chłopci postanowili tego dnia nie być w kościele. Jednak rano koło godziny 8 idę do Księdza, by się z nim naradzić, co robić w takim przypadku. Idąc przez wieś napotykam po drodze grupy Haczowianów. Wszyscy patrzyli na mnie z osłupieniem, żaden mnie nie zaczepił. Wchodzę do Księdza. Nad spodziewanie moje, nie sprzeciwia się ogłoszeniu proklamacyi, a gdy mu powiedział, że się lud grupami zbiera, chce wyjść do nich i namawiać ich, by przyszli do kościoła. Podejrzane mi to było, pominąć wczorajsze jego przerażenie, sprzeciwiałem się jego wyjściu; ale że po kilka razy o to nalegał, że nie mogłem go ograniczać w jego domu, i że niewiedziałem co innego robić, pozwoliłem nareszcie chociaż zdradę przeczuwałem. Wyszedł i zostawił mnie samego. Nie minęło 10 minut a już sunie się gromada z cepami, widłami, kołami od płotów, siekierami, prosto na plebania. Obszedłem

pokoje, widzę cały dom otoczony. Staję więc w pierwszym pokoju na środku, czekając co z tego będzie. Miałem przy sobie dwa dubeltowe pistolety nabite, ale te nie miały przeznaczenia przeciwko ludowi. Nagle otwierają się drzwi z łoskotem i widzę sięć napelnioną uzbrojoném chłopstwem. Nigdy mi się przed tem tak okropny widok nie przedstawił. Gdym widział na mnie zbliżające się cepy, widły, sickiery, nie ulakłem się, ale gdy mi oczy chłopów dzikim, jadowitym, wściekłym żarem zabłyśły, zadrżałem — nie mogłem pojąć, jaka siła nagle tych ludzi w zaciekle bestye zamieniła. Stałem sam jeden bezbronny, chłopci naokoło domu i w sieni przy otwartych drzwiach rzucali na mnie dzikie spojrzenia, jakby na jaką potworę, która się pierwszy raz na świecie zjawiała, i żaden z nich nie przestąpił progu. Zacząłem mówić, pytać czego chcą?.. lecz sam nie usłyszałem mego głosu, zagłuszyły mnie krzyki, z których tylko zrozumiałem te słowa „bierz go! zabić!“ pchał się jeden na drugiego, a nikt nie ważył się pierwszy przystąpić do mnie. Nie mogłem dłużej patrzeć na tę scenę. Chcąc ją zakończyć — przystępuję do progu. Co najbliżej stali, chcieli ustąpić, ale tłum ludu cisnął ich naprzód. Podaję im ręce, porywają mnie i zaczynają szarpać, bić na wszystkie strony. Potargali na mnie suknie, bóty ściągnęli, i pół nago wlekli po śniegu. Po kilka kołów padało na plecy, a gdym upadł wstrzymywały mnie drągi rzucane na piersi. Tak biciem ze wszystkich stron wstrzymywali równowagę ciała mego. Nie mogli mię przecie zawsze od upadku wstrzymać. Raz podnosił mię ktoś ze ziemi powrozem, okręciwszy go koło mój szyi. Tak delikatnie podnosił że mi się miło zrobiło i nie czułem jak mię bili. Zawcześnie mię popieścił, bo znowu czułem i widziałem, jak mię cepowali, kopali, targali, płwali i tak do karczmy zawlekli. Tam mieli już więźnia, przykuli mnie do niego, moję rękę z jego nogą, on był jeszcze cały nie bity, więc się i do niego wzięli. Posadzili nas obu na wysokim stole. Po kilku nowych uderzeniach przewiesiłem się za stół, i mego towarzysza kilka kołów powaliły o ziemię, spadł ze stołu po przeciwnéj stronie i szarpał się w bólach zawieszony żelazem za nogę na moję rękę, którą cepami

okładali chłopię. Byłem pewny że moja ręka dziesięć razy połamana i nie myślałem że tą samą ręką będę kiedy pisał do ciebie. Podczas bicia nie brakło szyderstw i przekleństw. Zarzucali żeśmy chcieli wszystkich chłopów wyrznać, i że ja chciałem księdza zastrzelić dla tego, że nie chciał przystać do Polaków i z nimi lud wyrznać, i że ten ksiądz ledwie przedemną uciekł do gromady, oddając się jój w opiekę. Kobiety z płaczem wołały. „My na was pracujemy a wyście nas chcieli wyrznać“ był to dzień targowy, gdyż H... miewa targi co sobotę, więc nie tylko Haczowianie ale wszyscy co na targ przybyli wstępowali do karczmy. Każdy pragnął widzieć i pałką przywitać zbója, co chciał ludzi wyrznać i księdza zastrzelić. Tak nas bez ustanku coraz świeże ręce biły, blisko do południa — wkrótce zebrali do sześciu Polaków i wszystkich bili, jednak nikogo tak jak mnie, bo mnie uważali za najgłówniejszego w H... i nikogo o to nie obwiniali co mnie. Nie odstępiała mnie przytomność, ale leżałem jak nieżywy, nie mówiąc ni słowa, bo by mnie nie słyszeli i nie ruszając się pod ich razami, bo by to nie nie pomogło. Mieli mnie już za nieżywego, i przestali bić, sami rozpowiedzieli o mnie w sąsiednich wsiach, że m zabity i wszystkie kości mam pogruchothane. Na południe porozchodzili się, zostało tylko przy nas kilkunastu na straży. Gdym widział że ci ochłódli już z pićrwszój wściekłości, dałem znak życia, i pytałem czy mi pozwolą mówić. Zbliżyli się do mnie zadziwieni że jeszcze żyję, i słuchali mię z tak natężoną uwagą, jak dzieci kiedy im kto najdziwniejsze cuda opowiada. Gdym skończył stali osłupieni. Po chwili zaczęli odzywać się, nie wszyscy wierzyli temu com mówił, ale wszyscy przyrzekli, że mię więcj bić nie będą. Wnet wpadła nowa czereda z okrzykiem: „To żyje jeszcze ta bestya!“ rzucili się na mnie. Niektórzy przemawiali za mną, jeden mnie sobą zastaniał; lecz gdy dostał za to kilka pałek od swoich, żaden już nie odważył się słowa za mną przemówić. Ktoś odezwał się „Żebyście wy wiedzieli co on tu nagadał“ — Co nagadał? „Spytajcie go!“ Przestali bić, kazali mi mówić — tego chciałem. Wy słuchali, i z tych żaden mię już nie bił. Tak się działo przez

dwa dni i dwie nocy. Snu tam nie było. Chłopi z kobietami i dziećmi w nocy pilniej czuwali niż we dnie, bo się bali Polaków. Z karczmy przeprowadzili nas do kostnicy. I tam nadechodzili z różnych stron nowe grupy chłopstwa, a każda z nich najprzód biła, potem mię słuchała. Nie wiem zkądem tyle sił nabierał. Bez snu — o jedzeniu ani myśleć — karmiony tylko dragami i kijmi, tak już osłabłem, że gdym zaczął mówić, ledwie mogłem ruszać językiem. W ciągu mowy rosły mi siły aż zapomniałem o bólach, o niebezpieczeństwie, i mowa mi szła jak w najswobodniejszém natchnieniu. Z tych wszystkich co mię wysłuchali — a uzbierało się ich przez dwa dni kilkanaście razy po kilkunastu, jeden tylko po wysłuchaniu kopnął mię w piersi, lecz się wszyscy przytomni na niego obruszyli, a nie jeden powiedział z westchnieniem: „Czemuście to pierwój tak do nas nie gadali?“ Z niedzieli na poniedziałek w nocy ledwie już oddychałem; wpadła nowa czereda do kostnicy, wstrzymałem dech i anim drgnął pod kijami. Chcąc się przekonać, czy znowu nie udaję nieżywego, położyli mi zapaloną hupkę na nogę, zetlała do ostatniej iskry, nie dałem znaku bóleści, i przez resztę nocy byłem wolny od bicia. Ku dniowi wpadł jeden chłop z téj gromady, a widząc mię żywego (bo wszędzie zbolały nie mogłem długo leżeć na jednym boku, musiałem się więc ruszać) rozgniewany żem ich wściekłość zawiódł, przystąpił do mnie w zamiarze by mi ręce połamać — i łamał je, lewa ręka trzasnęła, palce chrupnęły, doszły blisko łokcia. Odszedł, pozostali z politowaniem chcą oglądać połamaną rękę — ręka cała! — trzeciego dnia w poniedziałek rano mają nas wywieźć do Sanoka. Memi sukniami podzielili się chłopi, o cholewę dwóch się nie mogło zgodzić i rozdarli ją na dwoje. Jeden z miłosierdzia odział mię płachtą, drugi kocem, nogi owinął słomą, abym nie umarł. Powsadzali nas na wozy i wyruszyli z nami, ale śnieg był wielki, koła się zapadały. Stanęliśmy jeszcze we wsi, by nas przełożyć na sanki. Zeszła się na pożegnanie nas cała gromada. Mogłem jeszcze stać o własnej sile, czekając na sporządzenie sanek. Nikt nas już nie bił ani nie wyszydział. Jakiś Żyd tylko plunął mi w twarz, chłop otarł

mię płócienicą swoją. Wsadzili nas z lekka na sanki i niezadługo wyjechaliśmy w pole. Dzień był spokojny, niebo pogodne, słońce wspaniale jaśniało, na śniegu białym odbijały się złote promienie. Leżałem na saniach, twarzą ku niebu. Nie zapomnę i nie opiszę nigdy uczuć jakie w ten czas w mych piersiach pływały. Nie spodziewałem się już być z tej ziemi patrzeć na tak piękne niebo, owa chwila i dziecinne czasy mego życia w jedno spłynęły. Było mi jakby nowo stworzone powietrze zmieszane ze słonecznym światłem słońca nowego pierwszego raz w me członki wsiąkało. Czułem wyraźnie jakim rósł na nowo, i patrzyłem na me nowe życie. Rodziłem się i przypatrywałem się memu rodzeniu. Matka, ojciec, nieboszczyk, całe rodzeństwo, przyjaciele — cały naród stanął mi przed oczyma, i dziwnie rzewno mi się zrobiło. Nie uszedłem jeszcze niebezpieczeństwa. Nowych cudów miałem doświadczać nad sobą: we wszystkich wsiach przez któreśmy jechali stało chłopstwo po drodze, witało nas drągami. Wartnicy nie ważyli się bronić. Jechaliśmy przez drągi i cepy jak żołnierz idzie przez różgi. Dwa razy szczególnie tak silne uderzenia dostałem w piersi, że mię mimo wstrzymywania się jak węża zwinęły. Już myślałem że me piersi dwa razy złamane, tym czasem ani kropla krwi z ust mi nie wyszła i piersi zdrowe jak były. Już tyle razy świat żegnalem, już tak często polecałem ducha Bogu, a jeszcze na ziemi zostaje. Czy dla tego nie mogli mię zabić zem mego przeznaczenia na ziemi niedopełnić jeszcze. Przez wieś Milecze drągami wybijali mi oczy, chcieli je gwałtem wyłupić, a nawet wzroku nie osłabili. Stanęliśmy w Bezku, dwie mile od Sanoka. Tam byli żołnierze, i już nie chłopcy tylko pijani żołnierze bili kolbami, mimo surowego zakazu. Do mnie ze złościwym szyderstwem przystąpił kapral „Dobrze wam tak zbóje — powiedział, coście wy to chcieli robić?” Odpowiedziałem mu szczerze, kupił mi szklankę piwa, zniewolił do picia i nie dał bić nikogo. Ztamąd wioził nas inny furman, poznał mię zaraz i przypomniał mi, że mię przed kilkoma dniami wioził do Haczowa. Przy nim nikt mię już nie trącił. Co karczma chciał mi kupować wódki,

ledwie się wyprosił, i dał mi chleba bochenek, chociaż jeść nie mogłem. Gdyśmy wjeżdżali do miasta, ulice, ganki i okna zastawione były widzami. Patrzyłem po twarzach. W kilku tylko spostrzegłem wyraz współczucia, wszędzie malowało się gapiowate przerażenie, albo tryumfujące szyderstwo. Wprowadzono nas do sklepu, z którego wybierali dopiero owies i anyż. Jedno okno dawało światło do niego, wilgoć ciekła po ścianach. Napchano do tego sklepu przeszło 60 osób. Mało kto nie był zbity, niektórzy z bólu jęczeli. Na noc to jedno okno zamykano żelazną okienicą. Nie było zdziebła słomy. Jeden przy drugim jak śledzie ściśnieni, na gołej ziemi kładli członki zholale. W nocy pluli po sobie. Dano nam świecę ale palić się nie mogła, zduszone powietrze gasiło ją zaraz. Dozorca który nam co rano drzwi otwierał, otworzywszy drzwi uciekał czémprędzej przed wybuchającym z naszego mieszkania powietrzem. Tak było przez kilkanaście dni, aż rząd cyrkularny wolne mając ręce od pierwszego zamieszania porządek z nami porobił, i potrzebnymi wygodami zaopatrzył. Ja byłem wesół, cały zczerniały, ale żadnej kosteczki nie miałem naruszonej. Miałem dobry apetyt, bielełem i widocznie przychodziłem do zdrowia. Myślałem, że największe przebyłem niebezpieczeństwo, że więcéj uciérpieć nie mogę. Jakżem się omylił! Myślałem że najgorzej stało się w Sanockiem. Nagle przyszła wiadomość, że w Tarnowskiem wszystkich wymordowali chłopci i tylko ósmiu obywateli przy życiu zostało. Nigdy nie życzyłem sobie śmierci, nawet w H.... gdzie przez dwa dni na śmierć jak na wybawicielkę patrzyłem — nie wzywałem jéj przecieź, ale wtedy złorzeczyłem władzy, która mię oddaliła z Tarnowskiego, żał mi było żem nie zginął razem z rodakami, kiedym ich od mordów nie mógł ochronić. Przez kilka tygodni byłem jak zatruty. Nicżem męki Haczowian. Każda nowa wiadomość okrucieństwa Mazurów targała mi serce i rany jadem napuszczała. W tedy mego dekretu na szubienicę słuchałbym jak najmilszej muzyki, a plunąłbym w oczy temu, ktoby mię chciał być uwolnić z więzienia. Najmilszém życzeniem mojem było, żeby mię ziemia albo piekło zakryło przed oczyma i pamięcią rodaków,

kiedy należałem do tych co takie nieszczęście na kraj sprowadzili. Później pocieszyła mnie chociaż niepewna wiadomość, że okolice K..... miejsce mego trzechletniego pobytu wolne były od mordów. O potwierdź to jeżeli możesz siostró kochana, i co tylko wiesz donieś mi z Hadykówka, Komborna, Niwiska i tych miejsc gdzie w ostatnich czasach częściej przebywał, jeżeli to prawda, że tam chłopci nie mordowali nikogo, to uwierzę w szczególniejszą łaskę Opatrzności nademną. — Radbym ci wiele jeszcze pisać, ale dla więźnia i to za wiele. Bądź dobrej myśli, i jak możesz pocieszaj matkę i rodzeństwo młodsze. Może wkrótce pojedę do Lwowa. Radbym jeszcze na tej ziemi ucałować matkę najdroższą i ciebie J... A.... i A... i pożyć jeszcze z memi współziomkami. Bóg wie jak to będzie; niech się jego wola stanie. Jednak bądźcie dobrej myśli. Tu czy tam nie zapomnę o was.

Nekrolog rodziny Boguszów.

Rodzina Boguszów z Ziemblie od 7miej przeszło wieków odznaczała się licznymi zasługami tak w wojnie jak w pokoju i wydawała wielu znakomitych mężów, jak o tém świadczą liczne ślady w kronikach krajowych, pomnikach i aktach publicznych. Połączona związkami pokrewieństwa z pierwszemi domami w Polsce, a mianowicie z starożytnym domem Rejów z Nagłowic, szeregiem lat wielu odradzała się w potomkach najczystsza miłością i poświęceniem dla ojczyzny. — Była potężna i zamożna, dopiero z powodu prześladowań religijnych, za wpływem Jezuitów około r. 1658 pod panowaniem Jana Kazimierza, gdy wiele znakomitych rodzin polskich przeszło do sekty Aryanów, uległa wygnaniu wraz z innemi, których inajtki na rzecz kościołów i klasztorów skonfiskowane zostały. Ztąd to ta rodzina rozpierchła się po obcych krajach i tam imienia tego nowe powstały dzielnice, jakoto w Czechach, Danii, Multanach i Węgrzech, jedyna gałąź z tego rodzimego szczepu z Ziemblie Boguszów pozostała w Polsce nad Wisłą w Winnicy, ale rozdrobniona i w zamożności uszczuplona. Po rozbiórce kraju posiadłości tej rodziny przeszły pod panowanie Austrii w Galicyi. Potomkowie tej rodziny w

prostéj linii, w ostatnich czasach byli: Stanisław Bogusz z Siedlisk, Xawery Bogusz z Lubasza, Krzysztof Bogusz z Olszowój; Antoni i Wojciech bracia rodzeni, z których trzój pierwsi w Galicyi, dwaj zaś ostatni w Rossyi osiedli.

Stanisław Bogusz, ostatni patryarcha téj rodziny urodzony w Żelechowie nad Wisłą r. 1760 przepędził młodość w szkołach XX. Pijarów, później w praktyce sądowój przy grodzie pilźniejskim, zkąd wzięty przez podkomorzego koronnego Rogalińskiego na dwór króla Stanisława Poniatowskiego do Warszawy, przez znakomite zdolności i odznaczające się prowadzenie, pozyskał osobistą przychyłność tego monarchy i w czasie odradzających się nrządzeń i nauk w kraju, został zamianowany sekretarzem przybocznym kancelaryi królewskiej; później członkiem rady nieustającej, a nakoniec Szambelanem dworu i został ozdobiony orderem Św. Stanisława. W czasie pamiętnego w dziejach 4letniego sejmu pod laską Stanisława Malachowskiego, pracował wraz z Ignacym Potockim, Kołłątajem, Wybickim i innymi znakomitemi téj epoki ludźmi, z któremi przyjaźnią i zaufaniem był złączony, nad układem pamiętnego w dziejach aktu konstytucyi 3 Maja. Świadek czynny insurekcyi Kościuszki używany był przez tegoż do ważnych czynności w czasie powstania narodu. Po upadku kraju i abdykacyi Stanisława Augusta widząc stracone nadzieje możności służenia dłużej ojczyźnie w zawodzie publicznym, za wstawieniem się osobistém i własnoręczném poleceniem króla do burgrabiego krakowskiego, Stojowskiego, ożenił się z córką jego Apolonią i osiadł w Galicyi, poświęcając się życiu obywatelskiemu i patryarchalnemu w swéj rodzinie. Dla cnót, powagi, doświadczonej nauki i zdania przezwany Nestorem, szanowany i kochany powszechnie w kraju, był żyjącą kroniką ostatnich wypadków nieszczęśliwéj ojczyzny. Dom zaś jego był przykładem staropolskich cnót i życia. Biegły w językach i nauce prawa, nieprzestawał i w tém położeniu pod obcym rządem być użytecznym swemu krajowi, czyniąc liczne wypracowane wnioski i przedstawienia do sejmów galicyjskich w przedmiocie prawodawstwa i administracyi kraju, proponowanych sobie dostojenstw i tytułów nie przyjmo-

wał. Wielbiony przez swych poddanych, których był prawdziwym ojcem, zajmował się ciągle polepszaniem ich bytu, tak iż w okolicy nie było lepszego położenia włościan, jak w dobrach do téj rodziny należących. Z domu tego Stanisława i Apolonii Boguszów pozostało potomstwo 5 synów i jedna córka, jako to: Felix, Stanisław, Wiktoryn, Henryk, Nikodem i Ludwika zamężna Gorajska; wszyscy odziedziczyli po rodzicach i przodkach ich cnoty i z odznaczeniem w obywatelstwie żyli między sobą w patryarchalnej miłości i zgodzie, oddając się życiu rolniczemu, jeden tylko z nich Henryk Bogusz (ów oskarżyciel przed Europą mordów swój familii) ukończywszy nauki w uniwersytecie Jagiellońskim) doktor prawa, obrał sobie zawód publiczny w téj Rzeczypospolitej. Jako prokurator przy sądzie appell. w roku 1842 opuścił urzędowanie po zmianach w téj wolnej krainie przez nową organizacją zaprowadzonych.

Tak przeżyła ta zacna i znakomita rodzina do chwili téj okropnej katastrofy, która w końcu Lutego 1846 r. kraj cały i Galicyę żałobą okryła; Ośmiu członków męskich tego szczepu zginęło męczeńską śmiercią. Czcigodny starzec, patriarcha rodziny, dziad 15 wnuków, zanim poległ pod ciosem zbujeeckim, był świadkiem zgonu 4 swoich synów, jednego wnuka, brata i syna, których Szela wynordować kazał. Tak w 19tym wieku rodzina polska, jak niegdyś Machabeuszów, w Polsce wyginęła. *)

MORDERSTWO

dokonane na

**Alexan. Chrzastowskim, X. Wojciechu Cieczkiewlozu,
Kazim. Górskim i jego Oficyalistach.**

w obwodzie Tarnowskim.

Dnia 19 Lutego 1846 r. na wieść że chłopci wszędzie mor-

*) Godnym jest uwagi i przytoczenia ta historyczna okoliczność, iż poprzednik téj samej rodziny, Mikołaj Bogusz, podkomorzy zatorski, odznaczył się w obronie Wiednia pod królem Sobieskim, zginął pod Strzygoniem na Węgrzech w téj samej wyprawie idąc pierwszy do szturmów przeciw pogańcom, któremu także waleczni rodacy i wojsko niemieckie pomnik postawili.

dują i rabują, kazał ś. p. Alexander Chrzastowski na folwarku Szczepanowskim, Lubczy, zaprzęgnąć konie do sanek, na które i mnie zabrał z sobą, ażebyśmy mogli jakim szczęśliwym sposobem ująć tego barbarzyństwa, o którym nas pogłoski zewsząd dochodziły.

A. Chrzastowski był bezbronny i słaby, gdyż po 6 letniem więzieniu w Bernie, niedawno swe słabe nogi z ciężkich wydobył kajdan, ja zaś z dubeltówką i parą pistoletów, w płaszczu chłopskim, ruszyliśmy wieczorem drogą zupełnie zawaloną okropnemi śniegi, przez lasy wiodącą do sąsiedniej wioski (do Lichwina) by uniknąć niebezpieczeństwa i u sąsiada noc spokojnie przepędzić. Lecz zaledwo ujechaliśmy połowę drogi, nagle w zasypany śniegiem wąwóz zapadają konie tak dalece, że im głowy ledwie widzieć można było; czémprędzej jeliśmy się je wydobyć, a szukając innego przejazdu wstąpiłem na wierzchołek poblizkiego pagórka, z którego usłyszałem dźwięk szkła z okien i innych naczyń, wśród przeraźliwego krzyku: „*a bij! bij! bij! tę bestyę Polaka! co nas chciał porznąć, bijcie tylko, a bijcie dobrze, żebyście go i zabić mieli, to to nic nie znaczy, bo nam Starosta pozwolił i jeszcze zapłacić obiecał, jak go zawiezie.*”

Opowiadając to A. Chrzastowskiemu zaledwieśmy zdołali parę set kroków ujechać, aż nam się nagle daje słyszeć głos kilku chłopów pod karczmą stojących, „*Wychodź! wychodź! wychodź! bo jadą*” W okamgnieniu widzieliśmy koło siebie przeszło 600 chłopów, uzbrojonych w cepy, widły sienne, motyki, kosy i siekiery, którzy zatrzymując nas zapytali: „*kajwy jedzicie bestye*”? lecz jeszcze jeden nieskończył swego zapytania, gdy już drugi wydaje wyrok gdzieś tam przez głowy nasze, „*zabić te bestye, będzie więć pieniędzy, konie zabrać i obedrzeć, bo to teraz wszystko pozwoloném jest z cyrkułu.*” — Lecz Wójt czyli tam jakiś ich przewodnik zakazał im tak doraźnego sądu i wydał trochę powolniejszy, ażeby nas zrewidować, broń jeżeli jaką mamy, odebrać, powiązać, i do jakiejsz chałupy zaprowadzić. Zaledwie ten wyrok wyrzekł, już się zajęli jedni postronkami, drudzy rewidowaniem sanek i nas, a trzeci dawali nam uczuć ciętość swój ręki; powiązawszy nas tak doskonale, że łokieć do łokcia przez plecy

dojść musiał, prowadzili nas przez lasy, pola, i różne bezdroża i nicłitościwie kijmi okładali, mówiąc: „a idźcie prędzej, a idźcie wolniej, a nieprzewracajcie się bestyo.“ Zaprowadziwszy nas do owiej chałupy, kiedy postronki na nas z chomont wyciągali, służący nasz odebrawszy parę set suchych razów, dosiadł konia i uciał drapaka do domu szczęśliwie. Lecz nam nieuczło tak pomyślnie, bo nas i chałupę obtoczyli, zaczęli się najokropniej naigrawać i doradzać jeden drugiemu, jaką śmiercią ginąć mamy; jeden mówi: „trzeba im oczy wydłubać“ drugi „członki im poobrzynać“ trzeci: „ręce i nogi połamać“ i właśnie zabierali się do operacyi, kiedy nadchodzi chłop z rozkazem jak mówił od wójta: ażeby nas do karczmy (głównego punktu męczeństw) przyprowadzić. Posłuszni rozkazom wójta wyprowadzają nas ztamtąd jakby z grobu, i my zaś myśląc że to tylko w nicobecności Wójta chłopci takich nadużyć dopuścić się mogli, szliśmy z ochotą rozumiejąc że Wójt każe rozwiązać mocno skrępowane ręce nasze, i nam wolność powróci, jako swym znajomym. Jakże okrutnie zawiedliśmy się na wspaniałości jego, kiedy wchodząc do karczmy, sam Wójt powitał nas grubym kijem po głowach i w drugim kącie swe ofiary posadzić kazał; bo w jednym kącie siedział tamtejszy dzierzawca Kazimierz Górski, z swoimi Oficyalistami i jeszcze wielu innych, których od zbiecia poznać nie mogłem. Co się w ten czas w sercach naszych działo, trudno opisać, bo nie żal, nie bojaźń, lecz jakiś gatunek wściekłości pomieszanej z rozpaczą ogarnął nas, słysząc jęki męczonych a błagających nieubłaganiej dzieczy o miłosierdzie. Siedząc w jednym kącie, patrzeć musieliśmy, jak w drugim mordowali, a to do śmierci, musieliśmy z flegmą patrzeć na konającego z ran jakiegoś młodzieńca i byliśmy pewni że i nas to nie minie, musieliśmy czekać cierpliwie rychło kolój na nas skonanania przyjdzie. I doczekaliśmy się jój; bo gdy tamtych zbili i już kilku zamordowali, przystępuje do mnie jeden z morderców z siekierą w ręku i pyta mnie, czy mam co przy sobie. Myśląc że mu się okupię, mówię iż mam zegarek i że mu go dam, by mi tylko ręce rozwiązał; lecz niepozwolił na to, sam zerwał z piersi zegarek, mówiąc: „ja go teraz nakręcać będę,“ drugi przy-

skoczył i wyciągnął mi pieniądze z kieszeni, których większa połowa nie moja była; chiałem się niemi przynajmniej od śmierci wykupić, przeto wołałem z całego gardła wskazując chłopą, który mi je zabrał, by Wójtowi oddał, lecz ten przyskoczył z kijem do mnie i począł mnie w głowę bić mówiąc: „Ty psia krew, ja ci pieniądze wziął“ wyparłem się więc temi słowy: Oj! nie wy, nie wy, gospodarzu, nie miałem żadnych pieniędzy.“ Lecz żadne wymowy niepomogły, chwycił mnie za włosy, na środek izby pociągnął, gdzie mnie ze wszech stron cepami bito; ukląknęłem przed chłopem który mnie tylcem siekiery okładał, prosząc go na miłość Boga, na miłość żony i dzieci jego, aby mnie ostrzem ugodził w czoło i nie pastwił się nademną: nie wysłuchał jednak głosu mego, bił z całej siły, inni zaś cepami, widłami i kosami, czém który mógł. Blizkim widząc się skonu, padłem twarzą na ziemię, a charcząc udawałem nieżywego; w ten czas mnie cokolwiek bić przestali. Przyszła teraz kolej na nieszczęśliwego A. Chrzastowskiego; pod okropnemi razami cepów i siekier upadł na ziemię jęcząc najokropniej z bólu w błocie, z nanieśionego bowiem śniegu zrobiło się w karczynie bez podłogi błoto. Kiedy wszystkie oprawców ofiary okropnie pokaleczone, po kątach karczmy w błocie leżały, nie z ludzkości, nie z miłosierdzia przestali nas na chwilę mordować, ale dla tego, że na ziemi leżących kaźden a kaźden bić chciał, bili sami siebie, w skutek tego wszczęła się między nimi samymi bitwa; baby, wyrostki i dzieci nawet pastwili się nad nami, mówiąc, że to o nas się tak biją. Między sobą pogodziwszy się przystąpili znów do nas i okrutnie samemi tylko cepami młócili, w sposób taki, jak się w stodołach snopki młóca, z największym porządkiem, w dwójkę lub w trójkę dobijając taktu, z hoku na bok przewracając i mówiąc: „młóćwa, bo oni nam zawsze powiadali, aby do ziarnka wymłacać.“ Młócąc nas tak przez kilka minut, dał się słyszeć głos jakiegoś chłopą stojącego pod karczyną „wychodź! wychodź! wychodź! bo jadą!“ Wybiegli więc z karczyny, kilku tylko pozostało na warcie przy nas. Baby najokropniej poczęły płakać wołając: „bijcie dobrze, jeżeli się tylko który ruszy“ lecz kaźden z nas leżał jak tylko mógł

najspokojniej, jedni udając zabitych, drudzy już zabici, a trzeci z bólu niemogli wydawać jęków; uciszył się i mój ukochany A. Chrzastowski; ciekawy więc czy jeszcze żyje, podniosłem zranioną głowę, i zapytałem jak najciszej: „Olesiu! Olesiu! czy żyjesz ty jeszcze? „Oj żyję! żyję! lecz niedługo żyć będę, odpowiedział mi, i uciszyliśmy się powtórnie; najwięcej w pół godziny wracając chłopci z swęj nocnej wyprawy, prowadząc z sobą mnie znajomego, swego plebana Ks. Wojciecha Cieczkiewicza, w chłopskiej płóciance i z dubeltówką na ramieniu. Pojmali go w jakiejś chałupie, gdzie ukrytym leżał, ale go chłop czyli tam baba, którym on się jedynie powierzył, zdradzili, wprowadziwszy go z wielką uroczystością pokazywali mu nas leżących mówiąc: ten zбитy trochę, ten już zabity, a zaręczając że mu nic złego nie zrobią, posadzili go między sobą na ławie, wprzód dubeltówkę odebrawszy i ręce mu związawszy, nas zaś dla większej przestronności miejsca, jednych (to jest nieżywych) na stół i ławki pokładli; nie wiem dla czego dostąpiłem tego honoru, że mnie na długi i szeroki stół położyli; udając nieżywego musiałem ręce i nogi wyprężone trzymać, tak jak mnie położyli, aby niewydać się z sekretu, lecz długoż tak leżeć wyprężonym mógłbym? Cierpieć dokąd można było, a później pomału, poprawiając się powciągałem ręce do reszty korpusu; spostrzegli to mordercy, że nie tak leżę jak mnie położyli i mówili że muszę jeszcze żyć, skoro się ruszam, jeden przeto przyskakuje z pałką w rękę mówiąc: zaraz ja go tu dobiję, jeżeli żyje i huknął mnie okropnie gdzieś przez plecy, drugi toż samo w głowę, żem aż spadł na ziemię. — Widząc że już nie będę potrzebował udawać nieżywego, odezwałem się do nich, żem nieudawał, tylko że mnie tak zbili, iż mnie krew do piersi zaskoczyła i w skutek tego odezwać się nie mogłem. Niewiem z jakiej łaski i dla czego bić mnie więcej przestali, tylko mocniej ręce związali i moje plecy do plec A. Chrzastowskiego przywiązali, i jednego na drugim w błocie położyli; prosiliśmy ich o trochę słomy, obiecując, że im furę za jeden sнопek lub 5 r. s. damy, lecz to nie pomogło, uapominając jeden z chłopów, leżcie cicho i spokojnie pókiście jeszcze żywi, chociaż

śmierć u nas w ten czas żadnego znaczenia nie miała, ani strachu w nas nierobiła, bośmy wiedzieli że musimy ginąć jak już kilku zginęło, lecz z bólu i obawy leżeliśmy spokojnie niemówiąc słowa jeden do drugiego, ażeby tém nierozgniewać morderców naszych, przysłuchiwaaliśmy się i przypatrywali co się z naszym Plebanem dzieje i dziać będzie. Ksiądz długo nie bili, tylko związawszy mu ręce w tył wykręcone poczęli się naigrawać z niego w najniegodniejszy sposób. Ksiądz słuchał wszystkiego cierpliwie i błagał o rozwiązanie rąk, wtedy uderzył go jeden cepem w czoło, w skutek czego ksiądz krwią się oblał i upadł w błoto, dostał jeszcze kilka set cepów na ziemi leżąc aż do samego rana, gdyż znów chcieli go wszyscy bić i bili sami siebie, co trwało aż się dzień zrobił. Poczęli znów pić i nam kazali się przygotować, gdyż nas do Tarnowa odwieżą; na tę wiadomość dziękowaliśmy gorąco Bogu, prosząc by jak najprędzej pojechać, bośmy nigdy nieprzypuszczali, aby na takie barbarzyństwa rząd opiekuńczy zezwalał. Aż tu wpada do karczmy chłop wykrzykując: To nie wszystkieście pozabijali, dyć co z samego Tarnowa od Starosty idę, który powiedział mi, że wolno fórt zabijać i dwór do szczytu rozebrać, tak żeby ani śladu niebyło gdzie stał; nadto obiecał więcej płacić za zabitego niż za żywego i począł nas wszystkich w ten czas rachować, i wtedy dopiero dowiedziałem się, iż nas było 11 to jest: 5ciu trochę jeszcze żywych, a 6ciu zupełnie zabitych, między żywymi był ś. p. A. Chrzastowski, Ks. Wojciech Cieczkiewicz, Kazimierz Górski, jego gorzelnik i ja. — Między nieżywyimi poznałem tylko młodego Ejsenbacha, z Rychwału, ekonoma i leśniczego z Lichwina, reszty nikt by niebył w stanie poznać. Gdy chłopci byli zajęci pijatyką, ja razem z A. Chrzastowskim związany, postąpiliśmy do kąta za piecem, i od rogu do rogu ławką zastawiliśmy się, stojąc tak ufortyfikowani z pół godziny, przychodzi do nas człowiek w ubiorze chłopskim, około 60 lat mający, wzrostu średniego, rys jego twarzy był delikatny, włos siwiuteńki, i przemawiał do mnie w niemieckim języku bardzo płynnie, abyśmy za nim szli, bo on nas zna, kto my jesteśmy, i chce nas schować do zupełnie osobnej stancyi, gdzie nas chło-

pi wynaleść nie potrafią. Dziękowałem mu za jego łaskę i prosiłem, aby nas całą swą mocą bronił, gdyż zupełnie jesteśmy niewinni i niewiemy, za co nas tak biją. Podczas téj rozmowy nazlatywało się dużo różnych urlopników, przestał więc niemieckim mówić językiem i zagadnął mię po francuzku, na co mu odpowiedziałem, że nierozumię i pokazałem mu obok siebie A. Chrzastowskiego, z którym rozmawiając dosyć długo, spowodował go udać się do téj obiecanéj stancyi, ja zaś prosiłem obudwóch, by się jeszcze zatrzymać, dopokąd przynajmniej połowa chłopów z karczmy niepowychodzi. Biedny Alexander uwierzył złoczyńcy i poszedł za nim, ja do niego przywiązany iść także musiałem; niestety! niezawiodło mnie moje przeczucie, bo zaledwieśmy wyszli, już cała banda rzuciła się na nas, jednak na rozkaz tego starego chłopą, który nas prowadził, musiela ustąpić.

Lecz cóż nas na polu czekało? wolność, albo stancya którą nam obiecywał. — Oj wcale co innego, albowiem wyprowadziwszy nas z karczmy na balkonik, dwa lokcie wysoki od ziemi, chwycił ten stary człowiek Alexan. pod gardło tak silnie, że mu ten nieszczęśliwy na zapytania odpowiedzieć nie mógł. — w drugim ręku trzymając gruby kawał kija, ciągle po nad głową wywijał i w końcu swéj mowy nielitościwie z całej sily bić zaczął. Nie mogąc na to spokojnie patrzeć, zbliżyłem się do tego zbójcy i związaną ręką chwyciłem za koniec jego pasa i tak silnie pociągnąłem, żeśmy oba spadli z balkonu; ja niedoleciałem zupełnie do ziemi, do Alexandra przywiązany, wisiałem w powietrzu tak długo, dokąd bijąc nas chłopci postronka nie przerwali. Alexander został na ganku pomiędzy chłopami, którzy go nielitościwie katowali.

W tém przychodzi wiadomość, ażeby nas czéniprędzěj do Tarnowa odesłali, w tedy przestali nas mordować i ustawili nas wszystkich pod ścianą karczmy, gdzie oczekiwaliśmy podwód po nas przybyć mających. Zniecierpliwieni chłopci przybycia tych podwód poprowadzili nas do miejsca, zkad przyjsć miały. Że zaś wszyscy uwiedzeni nagrodą im od rządu za tak szlachetny czyn obiecaną, jechać z nami chcieli, spiesząc się w siadaniu zabrali

miejsca na wozach tak dalece, że dla nas żadnego niepozostało. Postanowili więc nas do literek poprzywiązywać i tak za wozami ciągnąć, lecz jakiś od Boga zesłany sprzeciwił się temu przedstawiając, że chociażemy Polacy, przecież ludzie jednego Boga i wskazał im między nimi Księdza, żeby choć cokolwiek na niego zważali. Korzystając z téj tkliwéj mowy chłopca, zaczęliśmy ich wszyscy błagać o litość i o miłosierdzie i byliśmy tak szczęśliwi, że prośbami naszymi pomieszanemi z płaczem wzruszeni obiecali, że nas drogą bić niedadzą i sami bić nie będą, nawet zezwolili K. Górskiemu do domu swego posłać po jeden wóz, ażeby ich mogło jak najwięcej na naszą obronę z nami jechać.

O jakżeśmy się okropnie zawiedli! przejeżdżając bowiem przez Pleszno, około folwarku gdzie mieszkał P. Bukowski i gdzie Ks. Cieczkiewicz Plebanem był, wylatuje ogromna massa chłopstwa, bab i dzieci uzbrojonych, jak się powszechnie wówczas uzbrajali, ku drodze którą nas wieźli. Wóz na którym ja z Alexandrem siedziałem jechał najpierwéj, przeto zdołaliśmy wprzód przebyć drogę, nim te dzikie hordy zdążyć mogły, i tylko parę ochotników biegło za wozem obkładając dragami Alex. Chrzastowskiego. Widząc tę dziec ząartą przewróciłem się w wozie i mniej odebrałem razów. Lecz innym wozom za nami nie tak łatwo przejechać było, bo im zaszli drogę, zatrzymali swego Plebana i Kaz. Górskiego i bili pokąd Górski i Gorzelnik Bogu ducha nie oddali. Na prośby nasze wóz, na którymeśmy siedzieli, pojechał nie czekając tamtych i dla tego piérwéj wpadliśmy w ręce drugieój dziewczyny, która wracała z rabunku folwarku Wozniczna, gdzie P. Biało-brzeski mieszkał, przytrzymali wóz z nami i poczęli nas bić jak najokropniej. Udając po raz drugi nieżywego, znosiłem cierpliwie wszystko, w tedy jeden z ciekawych rozbójników uchwycił mnie z tyłu za kołnierz i podniósł w górę, patrząc w oczy, czy jeszcze nie daję znaku życia, lecz Stwórca najwyższy dał mi w ten czas tę moc, żem najmniejszego oddechu z siebie nie wydał. A. Chrzastowski daleko słabszej konstytucyi nie miał tyle siły ani ciérpliwości: ścisnął mnie za średni palec u prawéj ręki i rzekł: „żegnaj cię, bywaj zdrów, jeżeli się ocalić potrafisz“ i skonał z roz-

ciętą na pół głową i z raną w prawym boku. Nadjechały wreszcie wozy, na których ksiądz i Górski wiezionemi byli, nie już więcćj widzieć nie móglęm, bom leżał w wozie pokryty trupem A. Chrzastowskiego, słyszałem tylko jak mówili między sobą; „Oho! już zabity ksiądz, zabity i Górski, i wszyscy pozabijani, poćwa do karczmy; drugi się odzywa, kiedy bestye nieżywe, to ich trzeba na jeden wóz zwalić, a na próżnych wozach to my pojedziemy.“ Zgodzili się na to wszyscy i w ten czas mnie zupełnie przykryli trupami. Kiedy nasz wóz dalćj postąpił, już hez żadnćj eskorty, zrywa się z nóg moich ksiądz, a poznawszy swego woźnicę odzywa się do niego: „Tak! to i ty mnie zabić chciałeś? Wtedy poprawilem się tak, ażeby się nie udusić i żehy można dziurą w półkoszku wszystko widzieć i wolnićj oddychać: widziałem jak woźnica ukląkł na kolana przed księdzem a trzymając czapkę w ręku wołał: Nie ja! nie ja! mój jegomość święty! „Ksiądz zaczął uciekać, woźnica patrząc za nim zawołał na chłopów w karczmie, że mu ksiądz ucieka. Zaraz powylaływali gdyby wściekli i gonili księdza; ten widząc za sobą nieprzyjaciół wskoczył w rzekę Białą, lecz chłop który go na koniu ścigał, uchwycił go, przyprowadzonego powtórnie do wozu przywiązali i okropnie cepami od stóp samych zaczynając bili; ksiądz błagał litości i spowiedzi; po tych słowach skołał pod cepami.

Po zabiciu Księdza mówią: „może ich tu jest więcćj takich, coby uciekali, trzebaby ich zrewidować“ i jeli się wywrócenia wozu. Wtedy uczulem jak moje serce śmierzć mocno ścisnęła i byłem pewny, że żadna moc ludzka od nićj wybawić mię nie może, chciałem więc wzbudzić żal za grzechy swoje i polecić Bogu ducha mego, lecz niewiem dla czego nie móglęm w siebie przywołać żadnćj skruchy serca, tak mnie wściekłość opanowała że m sobie powiedział: nie ma Boga na tym świecie, kiedy na takie barbarzyńskie czyny pozwala; ale w 5 minut przekonałem się o jego istności i żałowałem mocno za świeżo popełniony grzech, leżąc albowiem na samym spodzie wozu, po wywróceniu dostałem się na sam wierzch zamordowanych i pierwszy wpadłem w ręce re-

wizorów. Właśnie trzymał chłop rękę na mém sercu mówiąc że żyję, kiedy w największym pędzie chłop na koniu woła. „Prędzěj! prędzěj! bo jadą i okrutnie dużo ich jedzie!“ Chciwi świeżej krwi i łupu, dali każdemu z nas po kilka razy cepami i do wozu powrzućali, a sami pobiegli tam, gdzie ktoś jechał, z nami zaś spiesznie do Taruowa ruszyli, z trwogi aby nas kto nieodbił i ich nieukarał, jak sobie mówili. Przyjechawszy pod sam Tarnów, gdzie jakiś biórokrat stał, jak się zdaje, aby wpisywać kogo tylko przywiozą, z całego gardła zawołał: Halt! kogo wy wiezete? Na co chłopci oznajmili kogo mają i zkąd, cò ten zapisywał ołówkiem w pugilaresie, wreszcie spojrział na wóz i pyta się kto to jest: Chłopi odpowiedzieli, że to jest Ksiądz z Pleszny Pleban. „Ala! to ten łotr, a czyje te konie? Odpowiedzieli: że dworskie, na co on: Boże chrań ne mówte że to Panckie, mówte że to wasze, i kazał im dalej jechać. W samém mieście powsiadali chłopci na wóz, w skutek czego niezmiernie mi się duszno zrobiło i prosiłem Boga, by jak najprędzej gdzie nas podzieli, bo inaczej przyjdzie się udusić: cztery razy stawali z nami i nigdzie nas przyjąć nie chciano, aż przecie w 5tém miejscu przyjęto, nas i spytano chłopów, czy wszyscy nieżywi, odpowiedzieli, że wszyscy, kazano im więc gdzieś nas powyrzucać: bojąc się aby nie do grobu, począłem wołać z całej siły po niemiecku, aby mnie jak najprędzej wydobyli, bo się uduszę. W tém słyszę, jak mówi jeden do drugiego: „Nie mówił ja, że ta ps..... żyje jeszcze“ równocześnie coś po kościach na mnie leżących trupów trzeszczy, aż tu i mnie dosięga i rani za lewe ucho i w głowę, lecz kto i czém niewiem; ależ przecie ksiądz wojskowy wzbrownił wiecej podobnych mordów i kazał mnie jak najprędzej wydobyć, tamtych na niezmierny stós trupów w kostnicy złożyć. Wydobywając mnie, znowu palnął mnie ktoś za prawe ucho i w kark, pocém zanieśli mię do szpitala wojskowego, w którym 24 godzin leżałem. Nazajutrz to jest 21 Lutego lékarz pułkowy kazał mi się zebrać, gdyż mnie do innego Szpitala odeszle. Wstałem więc i szukałem mojej bielizny, z której mnie wczoraj rozebrano, a która mi żołnierz skradł. Z tego powodu nagutyńskiego mnie na wóz żydow-

ski wsadziwszy do domu p. Kamienobrodzkiego więzli; w drodze żołnierstwo nam assistując przyskakiwało do nas z bagnietami, szydząc i urągając się z nieszczęśliwych ofiar. Dom p. Kamienobrodzkiego znalazłem cały przepelniony rannymi i z ran pomarłymi; tam aż do 5go Września leżałem, a ztamtąd przewieziony do więzienia, po 18sto miesięczném siedzeniu na niby wolność wyszedłem.

Felicyan Szybalski.

MORDERSTWA

dokonane na Marcyanie Żelińskim, Stańskim, jego kuzynie, i jego dwóch ludziach,

w Obwodzie Bocheńskim.

Obywatel Stański przyjechał do Marcyana Żelińskiego jako do swego kuzyna, u którego bawiąc, nie przeczuwał jaki go los spotka; dochodzi nareszcie d. 23 Lutego wieść, że się chłopci skupiają, mając jakiegoś młodego przebranego pomiędzy sobą człowieka, który rolę herszta odgrywa. Dowiedziawszy się o takich tajnych przygotowaniach, kazali dla większej ostrożności bramy domu pozamykać i służącym Żelińskiego, czuwać nad bezpieczeństwem całego domu. Sami zaś jakkolwiek niespokojni, cieszyli i uspakajali żony i dziatki swoje. Nagle słychać z poza bramy najprzeraźliwszy krzyk i szturm, który jak tylko mogli służący Stańskiego wstrzymywali; nareszcie rozbójnicy wyłamali bramę, wpadając z krzykiem hurra! pochwycili zaraz dwóch służących i najokropniej zamordowali. Na takie krzyki wybiegła gospodyni domu na ganek, gdzie ją mordercy jak najnieprzyzwoiciej szkalowali, między siebie porwali i okropnie zbili. Na krzyk swój żony wyszedł Marcyan Żeliński na ten sam ganek, na którym już żona skaleczona leżała, zaczął do zjadłych rozbójników, reflektując przemawiać, poznawszy bowiem kancelistę cyrkularnego Ferdynanda Moschar pomiędzy rozbójnikami przebranego, pytał go o przyczynę tych morderstw, w tém własny służący, który od niego wiele dobrodziejstw odbierał, zarzuca mu postronek na szyję

i zwłóczy z ganku. Widząc to Stański odzywa się do nich, „Upamiętajcie się ludzie, co robicie, lub za co; wtém wystąpił jeden z hersztów i rzekł: „Jesteś to tu i ty ps.....“ uderzył go w czoło cepami, w skutek czego zalał się krwią i upadł na ziemię, gdzie przyskoczyło kilku podobnych rozbójników i najokropnieję cepami bijąc, zamordowali, tak dalece, iż ani jedna kostka w całym jego korpusie całą nie pozostała. Żelińskiego ściągawszy z ganku, powlekli pod okna mieszkania ekonoma Niemca, który z zimną krwią paląc fajkę stał i przypatrywał się z slegmą tym barbarzyńskim czynom; sam jednak daleki od wszelkich napaści. Żona ocuciwszy się, rzuciła się na ciało swego męża, lecz ją ściągnęli, po czém jeden z nich mówiąc iż lubił zgrzytać, odciął mu szczękę siekierą, a w reszcie stróż domowy siekierą głowę rozplątał. — Podług zeznania wysłuzzonego sierżanta z pułku Holle-neck, którego Marcyan Żeliński w swym domu do dzieci dla ćwiczenia tychże w sztuce wojskowej trzymał, po zamordowaniu w zwyż wyrażonych czterech osób, przebrany za parobka, którego Żeliński jako kancellistę cyrku. poznał, przemówił do chłopów: Dostyć! już dostyć macie wynagrodzenia na szlachcie, która dawniej życie nasze pieniędzmi opłacić mogła. Wspomnionego zaś stróża, po upływie 6ciu miesięcy, przy sprzedaży złotego zegarka przytrzymano. Na zapytanie zkąd zegarek ten dostał? odpowiedział, że go ma po ś. p. Mar. Żelińskim, po takiem zeznaniu, zarzuciono mu, że go zabić musiał? „Jam go właściwie nie zabił, tylko mu siekierą szczękę odrąbał, bo do zabijania byli tam przebrani panowie, którzy bijąc, zabijać kazali. —

Szanowna Pnbliczność o prawdzie, jeżeli zechce, przekonać się może w aktach kryminalnych w Wiśniczu.

ZAMORDOWANIE

**Henryka Kępińskiego, jego małżonki,
lokaļa Leona N. i Mieczysława hr. Dębickiego.**

w Nieznanowicach, Obwodzie Bocheńskim.

Henryk Kępiński powróciwszy d. 14 Lutego ze swoją małżonką z Krakowa do wsi Nieznanowic, został oskarżony w Cyr-

kule przez jednego ze swych poddanych, jakoby miał mnóstwo broni z Krakowa sprowadzić. Starosta Berndt, nader przezorny i nikiemny człowiek, połączył te dwa przymioty tak w swę osobie, iż trudno przychodzi odgadnąć, zdradali lepiej, czy podłością Austrii służył. Postyszawszy tę rzecz od denuncyantów, pewnie jego przeplaconych szpiegów, wysłał natychmiast na rewizyę do Nieznanowic C. K. kommissarza Broksza i kancelistę Wojakowskiego, dodawszy im w pomoc 40 żołnierzy pieszych i 20 konnych, a prócz tego dał denuncyantowi rozkaz na piśmie, zalecający wójtowi z sąsiedzkiej wsi Pieszechowa, aby zwołał chłopów jak najwięcej, tej samej nocy pod karczmą Niewiarówką, niby także w pomoc kommissarzowi. Zeszli się chłopci pod karczmą, nadciąęło także i wojsko z trzema oficerami. Po wypoczynku zaczęto naradzać się w karczmie i układać plany do owęj wyprawy, wódka dodała im zapału i ruszyli pełni odwagi, jednak najwolniejszym krokiem i z wszelką ostrożnością ku dworowi w Nieznanowicach. Obstaępiwszy go do koła, wpadli: Kępińskiego nie było, wietrzyli go po wszystkich kątach, jednak prócz trzech strzelb i jednego pałasza, których Kępiński jako myśliwy ciąęle potrzebował, Kommissarz nie znalazłszy, nie wiedział jak wyjść z tego domu i pyta denuncyanta w glos: gdzież jest owa broń, coś to ją widział? a oto na ścianie wisi, odrzekł tenże. — A więc? — więc nie ma. Poczęm opuścił kommissarz dom Kępińskich ze wstydem, a pod karczmą Niewiarowską, pod którą ciąęle chłopci na rozkazy czekali, w te do nich odezwał się słowa: „Przyjaciele, nie wiercie szlachcie waszćej, bo ona was chce zgubić i donosić o wszystkięm do Cyrkułu, co wasi panowie robią lub robić zamysłają.“ Po tej przemowie kazał chłopom do domów powrócić, sam zaś z wojskiem ku Bochni na spoczynek pośpieszył. —

Wróciwszy do domu, Kępiński dowiaduje się od swojej małżonki o rewizyi zaszćej podczas jego niebytności. Zmartwiło go to niezmiernie, zwłaszcza, że ów denuncyant, Karol Sala, był fego własny poddany. Tu już przewidywał okropną śmierć swoją a nawet swę żony i dzieci — i westchnął z rozrzewnieniem i wyrzekł: Boże! żal rozdzięra mi serce, bo kochałem moich pod-

danych jak własne dzieci, wspierałem ich bezustannie w nędzy i kłopotach to datkiem, to radą — słowem byłem ich ojcem, i miałebym teraz paść ofiarą ich zdrady — miałebym skonać pod ciosem morderczym zadany mi przez własnych poddanych?! — Panie! zlituj się! — ratuj mię i moją rodzinę od widocznej zagłady!

Poczém, boleść niewypowiedziana ujęła jego serce — zamilkł — i słowa dalej wymówić nie mógł. —

Wśród tworżliwej obawy i niespokojności oczekiwał on ciągle okropnych wypadków, które koniecznie podług rozmaitych niepomysłnych pogłosek nastąpić musiały. Tak zeszedł czas aż do 24 Lutego. W tym dniu przybył, podług zeznania chłopów, c. k. aplikant sądowy Wictum do Książnic pocztą, gdzie nakazał chłopom uzbroić się, w co tylko który może, gdyż tu o ich własną obronę chodzi, obiecując im zarazem, że to co dziś jest szlacheckiego, jutro wasze będzie, będziecie mieli prócz tego sól i pieniądze w zapomogę od rządu, tylko się dziarsko popisywać musicie. “ To powiedziawszy ruszył ku wsi Marszowice, zkąd wyprawił chłopów do Nieznanowic, a powracając później przez tę wieś i nie zastawszy chłopów pod karczmą, bo właśnie do kościoła na nabożeństwo poszli, wysłał więc chłopaka na koniu od Macieja Kowala kmięcia nieznanowskiego po lud do kościoła, z doniesieniem, że Polacy rzną lud wszędzie w okolicy, żeby się więc czémprędzej ratować spieszyli. Potém udał się do wsi Pieszkowa, gdzie się po chłopsku przebrawszy, stanął na czele oszukanych i rozjątrzonych rozhójników, a połączywszy się jeszcze z bandą z kościoła przybyłą, ciągnęli pod Nieznanowice.

Kępiński ujrzawszy ich z daleka, krzyknął: kochana żono, ratujmy się — siadajmy na bryczkę — umykajmy ztąd, bo inaczej, po nas! — Bryczka już zajechała przed dom, oboje wsiedli i co tylko konie wyskoczyć mogły, umykali. Lecz ich nagle banda chłopów pod przywództwem cesarskich urzędników obokoczyła do koła i cepami biła, a Kępińscy krwią zbroczeni klęcząc w bryczce błagali miłosierdzia. — Co! miłosierdzia? — zaraz je mieć będziesz, odrzekli chłopci bijąc jeszcze mocniej cepami, widłami i czém tyl-

ko który mógł. Następnie porwano ich za włosy, na pół żywych wyrzucono z bryczki i na ziemi okrutnie domordowano. Wśród tego piastunka uniosła z sobą szczęśliwie dwóch małych chłopczyków państwa Kępińskich. — Gdy jedni mordowali, drudzy rzucili się na dom, i rabując znaleźli ukrytych: Mieczysława hr. Dębickiego (brata żony Kępińskiego) i Leona lokaja. Zbito ich zaraz na miejscu bez litości, pastwiono się z wściekłością nad ich ciałami a wywłokłszy za włosy na dwór, cepami dobili. Po zupełnem zrabowaniu domu, wrócili chłopci znowu do tych czterech ofiar pastwili się jeszcze długo nad niemi. Kępińskiemu po śmierci powybijali zęby kijami — po trupie jego żony nogami deptali, po zwierzęcemu najgrawali się z jej ciała okrutnie a nasyciwszy wreszcie przy niem chuć bestyalską, wrzucili wszystkie ofiary na bryczkę, z których (podług zeznania chłopów) po całej żwirówce (szosie) aż do samój Bochni krew strumieniem się lała.

W Bochni zaś, za tę podłą i piekielną przysługę, kazał rząd każdemu z tych chłopów, którzy ciała zamordowanych przywieźli, po trzy cwancygiery wypłacić, — było ich zaś razem 18.

Niektóre obrazy, z wypadków,

w Galicyi, w Lutym 1846 r. przez naoczniego świadka skręślone.

Moto: Infandum dolorem jubes renovare.

Aeneid.

1.

Wieś Izdebki, w Cyrkule Sandeckim, należąca do pana Leona Bukowskiego, (znany to i poważny wiekiem, światły, i wziętością obywatel) napadniętą została dnia 20 Lutego, przez rozbójniczą bandę chłopów łobych, składającą się z urlopuików, uszłych z więzień, i przebranych osób, z muzyką piekielną, i krzykiem szatańskim; banda ta otoczyła dwór w Izdebkach, w którym znajdowali się: pp. Bukowscy, dwaj ich synowie, Bonawentura i Edward, ostatni z żoną z Polski przybyli, zięcie, Józef Kotarski z żoną i pani Szymanczewska w podeszłym wieku wdowa, siostra p. Bukowskiej. — Mężczyźni, wyprowadzeni najprzód zostali na dziedziniec domu, otoczywszy ich przy odgłosie muzyki, zaczęli

bić okrutnie, obdzierać z sukien, i pastwić się w dziki sposób. Kobiety zaś trzymane przez tych zbójów, z ganku wysokiego przypatrywać się musiały tój scenie — nieszczęśliwe ofiary: po kilku-godzinnych mękach, pobite, pokaleczone, i obdarte do naga, złożone zostały na jeden stós powiązane, poczem, kazawszy przygrywać muzyce wesoło, zapraszali kobiety do tańca, słowami: „*Hrabianeczki, magnateczki teraz z nami w taniec*“ Gdy te poidlały, okrutnym widokiem przerażone, iść nie chciały i nie mogły, gwałtem ich ciągniono, z skrwawionemi rękami, z ganku tego, na dół spychane, a potem obwłóczono w koło ofiar pobitych; w końcu zrabowawszy i zniszczywszy wszystko, co tylko było, i dało się zniszczyć i zabrać, mało żywe ciała, pokładli na wozy pańskie i poposadzali na nich kobiety, i w tryumfie z muzyką pieszo i konno zbrojni prowadzili ich do Cyrkuła do Sanoka dwie mile odległego, w drodze kobiety ująć potrafiły z straży chłopów, gdy ci przy karczmach po drodze zapijać się poczęli. — Żydzi wszędzie za łupy dostarczali im hojnie trunku i pieniędzy, pochwalili im, iż dobrze tak z panami robią, za to że ich wiernych rządowi, z karczem wypędzali, doradzili nadto tym zbójcom, aby, gdzie dużo wzięli, za swą *pracę*, (sic) lepiej żywych nie odwozili, bo się mogą o swoje kiedy upomnieć. — Kobiety nocą, bezdrożami, boso, bez dobrego okrycia, w śród zimy, uprzedziły transport i dostały się do Sanoka, tam już zastały podobny transport, i w ruchu wszystkie władze, błagały nadaremnie o pomoc i ratunek dla swoich, władze były głuche, nadszedł na koniec późno w noc ten okropny transport przed Cyrkuł, odebrano go, i ofiary bez opatrzenia, okrycia i posiłku, do piwnic w ratuszu wrzucono; tak, jak z rąk chłopów wyszły, tam przez 48 godzin, w takim stanie zostawały, w końcu słyszane jęki tych co żyli, obudziły uwagę, litość i oburzenie mieszczan Sanoka, na domaganie się których, władze kazały przenieść żywych do innego więzienia, a nieżywych po prostu zakopać za miastem w polu; przez litość lekarzy i mieszczan Sanoka, opatrywano, i żywiono te ofiary długo w więzieniu, bo do amnestyi, po wypadkach wiedeńskich.

2.

W Gdowie, w Bocheńskim Cyrkule, pamiętném miejscu morderstwem powstańców Krakowskich, w części własności Henryków Fichauserów, w czasie napadu chłopów 20 Lutego gromada własna, za rozdane pieniądze, i obiecane korzyści, stanęła w obronie dworu, i odparła po razy kilka napaść zbójczą obcych chłopów, lecz widząc pan Fichauser wzmagając się siłę, z obcych wsi przybywających band, z któremi łączyło się i wojsko, i landwacht austriackie, a nadto, widząc co się w okół nich z dworami i panami dzieje, za poradą chłopów, puściwszy na pastwę swój majątek, i dawszy hojną nadgrode chłopom; kazał się związać, na wóz włożyć, zabrawszy żonę i czworo małych dzieci, i jako zabity, pod eskortą swoich chłopów, wieść do Cyrkułu do Bochni: wśród drogi, okropne spotykali widoki, pomordowanych i pokalęczonych obywateli, wiezionych przez oddziały chłopstwa pijanego przebijając się musieli przez te dzicz i co chwila wystawieni byli na niebezpieczeństwo życia, jak przy karczynach pijane chłopstwo pastwiło się nad żywemi i nie żywemi ofiarami, które wlekli do Cyrkułu z różnych stron. Jak spotykane oddziały wojska, maszerującego ku Bochni, nie tylko nie broniły tych ofiar, ale owszem jakby pochwalały chłopom ich postępek, żołnierze kolbami, a oficerowie szpadami sami bili i ranili. — Przybywszy do Bochni już wieczór, ten wóz na którym byli pp. Fichauserowie zatrzymany został przy rogatkach przez straż wojskową, tylko samego Fichausera, jako buntownika zabitego kazano chłopom zawieść przed cyrkul, a żonę i dzieci wyrzucono, iż kobiet do miasta nie wolno przyjmować, gdy prośby nie pomogły, pieniędzmi które miała przy sobie Fichause-rowa, zdołała ta śmiała kobieta przekupić żołnierzy, i przedarłszy się przez piechotę z dziećmi na rękach, biegła za wozem męża. — Przed Cyrkułem widziała wiele wozów napelnionych półżywemi, i zabitemi ofiarami, których dzikie chłopstwo nabijając na widły, z wozów zrzucało, jak snopki w obec władz, które chłopom zaraz wypłacały pieniędzmi, za odstawę po przeliczeniu sztuk, — z trudnością nadzwyczajną dostawszy się p. Fichauser,

do kancelaryi Cyrkularnej, błagała na klęczkach litości Starosty Berndta, aby męża z rąk zbójceckich, i od więzienia uwolnił, a jęj przytulku w mieście pozwolił.—Lecz ten dziki urzędnik odmówił wszystkiego, i dał rozkaz aby męża, ponieważ żyje, do więzienia, a ją na miasto wyprowadzić, i gdy ta nieszczęśliwa u nóg jego leżała, błagając litości, kopnął ją nogą tak silnie iż omdlała upadła, trzymając dziecko przy piersiach, które rozkrzyczawszy się okropnie z przestachu konwulsyi dostało. Obecny tój barbarzyńskiej scenie Landdragon prosty, niemiec, posługacz kancelaryjny, nie mógł znieść tego widoku, gdy Starosta kazał mu wyprowadzić tę kobietę, krzycząc, iż nikt jęj tu przyjąć nie może: „*Ja ją przyjmę jeżeli wolno odrzekł*“ i nie czekając zezwolenia, zabrał ją z dziećmi do swego pomieszkania, po ludzku opatrzył, i przez 3 dni ukrytą trzymał, samego zaś Fichausera, wtrącono do więzienia, do piwnicy jakiegś wilgotnej, przepchnionej już więźniami, którzy jedni nago, poobdzierani, poranieni ciężko i związani, a drudzy już nieżywi zostawali. Przy odbieraniu Fichausera od chłopów, urzędnicy, na ten cel wyznaczeni, zabrali mu pieniądze do 2000 Złr. C. M. które miał przy sobie i suknie z niego obdarli. W tym więzieniu, była taxa: 3 cwancygicry za konewkę wody, 3 cwanc. za czarny cbléb, inaczéj nie nie dawano. Staraniem żony i przekupstwem, wydobyty Fichauser po kilku dniach z tego lochu, w innym więzieniu osadzony, zostawał.

3.

Jakób Szela. *) — Oslawiony dowódzca mordów galicyjskich, posiadał niezaprzeczenie nieograniczoną, i udzieloną sobie władzę, którą oprócz w własnem Tarnowskiém i w inne rozciągał Cyrkuły. Jest faktum pewne, iż na kilka tygodni przed wybuchem, bywał często w cyrkule i miewał poufne z Starostą Breindl rozmowy **) po czém z gromadami po wsiach umawiał

*) Vide biografią jego w Gaz. Poznańsk. z d. 11 Kwietnia 1846 r. umieszczoną tudzież w dziele: *Archives historiques*. Paryż 1847 r. pod usłupem la famille Bogusz de Ziembliec.

**) Vide zeznanie jego dane wdowom po zamordowanych Boguszałach w czasie trzymywania ich u siebie, ogłoszone w Nr. 3im Orla Białego krak.

się; wybierał do tego tylko zaufanych chłopów i wójtów, tym pod przysięgą udzielał sekretu, organizował w okolicy powstanie chłopów, którzy się do niego schodzili z odległych stron, dowódców nadawał z urlopników, uwolnionych z kryminału i zbiegów. Syn jego Staszek Szela, także urlopnik, zięcie i szwagier byli jednymi z głównych. — On oznaczał miejsca do zebrania i napadów, i po szczególe osoby do wytypowania podawał. — Sam to często powtarzał wiarogodnym osobom później, iż ma taką moc, jak drugi arcyksiążę w Galicyi i że mu wolno było przez 24 godzin robić co mu się podoba ze szlachtą.

Gdy rozkazy wydawał i przemawiał do band chłopów, to im zawsze pokazywał jakieś papiery i druki z pieczęciami, mówiąc, iż to są cesarskie rozkazy. Hasłem jego były słowa „Bóg i cesarz“ podróżującym z jego obwodu, wydawał karty bezpieczeństwa od siebie, które były za dobre i ważne wszędzie przyjmowane od władz krajowych, podpisywał się na nich, jako plenipotent rządowy. Między chłopstwem na jego rozkazy wszystko było posłuszne, dowodził niemi po wojskowemu, każdą niesforność i uchylenie karał zaraz i surowo, z rabunków dla siebie wybierał dziesięcinę, dla tego nagromadził wiele bogactw, nachudził z tém swoim wojskiem miasteczka sąsiedne, i odgrażał napadami, jeżeli mu się nie okupią, z nim się nie połączą, buntowników wyszukiwać i wydawać nie będą *). Żydzi, na czele ich był niejaki Lewek Sztern, ze Smarzowy, których on do pomocy swych zbrodni używał, dopomagali jak wszędzie, jego zamiarom silnie, w nadziei spodziewanych zysków z rabunków, służyli mu za szpiegów, denuncyantów, powierników, utrzymywali jego korespondencye i ułatwiali jego rozkazy do chłopów i raporta do władz. Tak przez dwa przeszło miesiące, posiadał ów łotr władzę dyktatora w okolicę daleko się ciągnącą, zagrożony jednak od własnych współwinnych z wsi, z której on jest, iż ich zdradził, nwiódł do złego, i do nieszczęścia jakie ich czeka, po stracie dobrych pa-

*) Vide rapport urzędowy zdany przed Kam. Mand. miasteczka Brzestka, Strzelbickiego, uszłego rzeci członka rodziny Boguszów; Szela nałożył cenę na jego głowę ZHR. 500 nagrody, ktoby go dostawił.

nów, schronił się z własnej woli, dla własnego bezpieczeństwa do Tarnowa, gdzie honorowo od starosty Breindla i władz był uważany i traktowany, miał wygodne mieszkanie wśród miasta, przechadzał się publicznie, wolny, tylko dla obserwacji miał dodanego policyanta, aby go lud miejski nie znieważał, a gdy się to często i tak trafiało, policya zaraz karała tych, co go lżyli. Widok jego i jego bezkarności są dla każdego oburzające, a okropny dla tych wdów i sierot, których on żałobą okrył, i utrzymania pozbawił. Jest nawet tak bezczelny, iż za spotkaniem znajomych tych ofiar spogląda na nich szyderczo, zaczepia i rady nawet dawać im się ośmiela. Na domiar pogardy, bywa od urzędników cywilnych i oficerów wyższych rang uprzejmie witany, prezentowany różnym osobom, odwiedzany i częstowany. Niemki austriackie, obsypują go prezentami, pamiątkami i przysmakami stołu. Wszelkie prośby i skargi do wyższych urzędników czynione, ażeby ten zbrodniarz był ukarany, otrzymują tę tylko odpowiedź jak n. p. od Starosty Breindl i od wice-prezydenta Guber. Łazańskiego „iż to jest niepospolity i zasłużony krajowi człowiek, i jako zbrodniarz nie może być uważany i karany *). Ten wyrodek, ma przy sobie syna swego, małego chłopca, który uczęszczał do szkół, ale za kradzież wygnany został, umie tylko nieco czytać i pisać, ten mu czytuje książki nabożne i pisuje różne podania i noty które mu ojciec dyktuje. 15,000 Złr. ma zawsze przy sobie, nie tai się z tém, mówiąc, iż ma na przypadek potrzeby troszkę pieniędzy, a gdy mu zarzucano: zkadby przyszedł do takiej sumy jako chłop prosty na zagrodzie, odpowiada: *„Iż sobie uzbierał z handlu trzodą, to jest szlachtą *)*. Ten Szela nienawidził sąsiednie cyrkuły Rzeszowa, Jasła i Śacza, nazywając ich urzędników zpolaczonemi buntownikami, niewiernymi

*) Toż samo oświadczył Łazański vice Gubernator Gall. Jen. Chłopickiemu w Krakowie, gdy tenże zapytał go: a cóż się dzieje z tym zbójcą Szelą?

*) Znaczne kwoty pieniędzy i kosztowności Szela po przybyciu do Tarnowa oddał Staroście Breindlowi jako część łupu. Według wiarogodnych osób, Breindl wywiózł z Tarnowa z sobą przeszło 100000 ZłRęń, m. k.

Cesarzowi. Takich i wiele podobnych dowodów, zebranych było w kraju nawet przez samych urzędników i do Wiednia przesyłanych, ale bez skutku! Jeszczeby wiele i różnych szczegółów o władzy i postępowaniu tego ohydneho człowieka można przytoczyć, ale to później zapewne dopiero historia tych wiekopomnych wypadków odsłoni.

4.

Wśród krwawych wypadków w Galicyi odznaczali się niektórzy z urzędników wyższych austriackich i wojskowi ludzkością; chwalebny jest powszechnie postępek Zastępcy Starosty w Rzeszowie, Komissarzów Bauhoelzel w Jasle i Syktowskiego z Bochni; z wojskowych, oficerowie Chaim, De Gratia Polignac z pułku Kaiser-chvauleger odznaczyli się ludzkością, wydobywając z rąk chłopów matki i dzieci. Godny ogłoszenia postępek porucznika z pułku piechoty Kudełko w Jasle konsystującego, imieniem Offenheim, i dymissyonowanego oficera Zeidel, którzy jeździli z żołnierzami po wsiach, i odbierali nieszczęśliwe wdowy i sieroty, po zamordowanych. Ci to szlachetni i godni noszenia honorowej broni oficerowie, odebrali Szeli, kobiety, wdowy i dzieci, nieszczęśliwej rodziny Boguszów i z troskliwością do Jasła odwieźli, z narażeniem własnem, bo Szela nie chciał wydać tych ofiar i zagroził im, iż zwoła swoich, i każe powiązać, bo to są zapewne Polaki przebrani, z obcego mu cyrkułu. Energia jednak oficera Offenheim i pośpiech z jakim uchodzić musiano, ocaliły ich, za ten jednak postępek ludzki oficer Offenheim, bez rozkazu dopełniony, od swęj władzy surową otrzymał nagane, aresztem został ukarany, i z półku przeniesiony. Były i odwrotne strony tego obrazu, oburzające serce i ludzkość, z strony cywilnej i wojskowej, okazane, n. p. publiczny w Tarnowie poklask i okrzyki radości oficerów wyższych i cywilnych urzędników, na widok pierwszego transportu, przywiezionych ofiar pomordowanych. Klepano po ramionach, krwią niewinną zbrozczonych chłopów, mówiąc „*dobre, dobre*“ Widziano i poznano urzędników i wojskowych, którzy przebrani z chłopami mordowali, między

nimi cytują nawet dwóch komissarzy cyrkułu tarnowskiego, Lesniewicza, Chomińskiego i Trojanowskiego, urzędnika policyjnego, wyrodków imienia które noszą; widziano i to, iż po odprawie za aplatą większą za zabitych, jak za żywych dawano chłopom, ci dobijali wśród miasta jeszcze żywo wiezione ofiary, widziano nakoniec, iż gdy rannych bez opatrzenia i pomocy poskładanych hurtem, w pierwszych dniach, na sali domu Kamienobrodzkiego w Tarnowie, na wydany rozkaz później przeniesienia do szpitala wojskowego, urzędnicy i słudzy wyznaczeni do tego z niesłychaném okrucieństwem, ciągnąc za nogi po schodach, dobijali tych nieszczęśliwych! Niejaka pani Hope Niemka, po mężu urzędniku austriackim, rozwiozłego życia kobieta, rozdawała w Tarnowie publicznie cwancygiery, chłopom przybywającym z transportem pomordowanych, jakby dla zachęcenia.

5.

W szkołach wyższych i niższych, szczególnie w Tarnowie, gdzie oprócz normalnych, są i kursa filozofii, pod nadzorem Starostów zostające, professorowie Niemcy, po wypadkach zaszyłych teraz, czy z polecenia wyższego, czyli z własnej nienawiści, niegodnie i po tyrańsku, obchodzą się z młodzieżą polską, prześladują we wszelki sposób i biją okrutnie te biedne dzieci, oddzielają osobno w klassach niemieckich uczniów, a osobno polskich, i pierwszych z oznaczeniem, drugich z pogardą, nieludzkością traktują, nazywając ich *„To psie polskie buntownicze plemię, które wytepić należy, dobrze wierne chłopcy zrobili, że wam ojców i braci pozabijały, i z wami toż samo się stanie“*. Takie i tym podobne z katedr nauki i principia, objawiają austriaccy nauczyciele publicznie w szkołach.

6.

Wszystkie prawie dobra, po wymordowanych obywatelach w Galicyi. Diskus w imieniu skarbu obciążał tabularnie na koszt wojenne, ogromnemi summami, bez wyrażenia nawet ilości

prenotacye tego rodzaju są tak liczne, iż z dn. 1^o tabuła lwowska, przeszło ich 120 przyjęła. Są i liczne nadużycia fałszowanych wexlów i obligów z podpisami zabitych, które żydostwo, z ułatwieniem wszelkiem, wnosi na dobra do Tabulli. Według instrukcyi daney, sądy krajowe, tak zwane Fora i Magistraty, z niezwykłym pośpiechem z pogwałceniem prawa i sprawiedliwości, i bez wiadomości sukcesorów, przyznają spadki majątków i opieki po zabitych, na obce linie. Szczególnie na kobiety, żony i wdowy, ażeby przez powtórne związki małżeńskie, wyzucić rodziny z ich majątków, do czego fałszywych sepultur z potrzebną datą i chwilą zgonu używają, z rozkazem do parafiiów wydanym iż nie wolno rodzaju śmierci zapisywać, w sepulturach tylko ogólnie, że zmarł.

3.

Po katastrofie w Marcu, wysłano z cyrkulów urzędników na wieś, nie dla porządku zaprowadzenia, tylko dla odbierania od chłopów zrabowanych pieniędzy i kosztowności, ale dla siebie, pobogaciły się przeto, tą zdobyczą, nieczne urzędniki, i komissarz cyrkularny. Obywatelki, wdowy, poznawały na niemkach swoje preciosa, perły, brylanty, futra, szale i srebra, narzekanie na to lotrowstwo, zostało bezskutecznem. Breindl sam, jak wiadomsie rzeczy utrzymują, wywiózł z sobą z Tarnowa, do 100,000 Złr. gotowizny i znaczne srebra, tudzież precioza. Szela, jego przyjaciel, oddał mu 15,000 Złr. m. k. w depozyt. — Zapewne za to Breindl otrzymał order Leopolda i awans.

Wierny przekład Raportu urzędowego.

Wysokie C. K. Praesidium Gubernii Galicyjskiej!

Najuniżenięj podpisany, Kameralny Justyciaryusz i Dominikalny reprezentant z Brzostku, ma zaszczyt przedstawić następujący stan rzeczy o najnowszych politycznych wypadkach.

W dniu 20 Lutego b. r. wieśniak ze Smarzowy, nazwiskiem Jakób Szela, utworzył bandę z wielu wieśniaków, z różnych wsi

cyrkulu Tarnowskiego, aby z temiż rabować i mordować. W tymże dniu w Kamienicy dolnej cyrkulu Jasielskiego, na głównym gościńcu, pięciu lub sześciu podróżnych ze szlachty przez poddanych z Kamienicy, jako podejrzanych o powstanie zatrzymano i powiązano, pomiędzy temi był dziedzic z Siedlisk Wiktor Bogusz, z którym Szela od wielu lat proces prowadził, z przyczyny nieodrabiania pańszczyzny; pałający zemstą, przybył Szela z swoją bandą rabusiów i pomordował wszystkich tych powiązanych, poczem udał się do Gorzejowy na dalsze mordy. Wiadomość o tych morderstwach doszła do Brzostku przez Antoniego z Zmigroda, który z tutejszym raportem wysłany był do praesidium cyrkularnego dla ustnego wyjaśnienia o stanie rzeczy i z prośbą o asystencyą wojskową. Szela tymczasem przybył do Gorzejewej w cyrkule Tarnowskim, pół mili od Brzostku i w tamtejszym szlacheckim dworze wymordował wszystko, co tylko nie było chłopem. Około 6 godziny wieczór, powrócił komissarz cyrkularny P. Stejrowski z komissyi z Demboszyna z asystencyą wojskową i opowiedział w kancelaryi dominikalnej o tych wypadkach, że mianowicie wiele osób przez wieśniaków pomordowanych zostało i że banda rabusiów w koło krąży, która rozżarta jest przeciwko podejrzanym o powstanie. Po odjeździe P. Stejrowskiego, widziano z Brzostku w oddalonym o pół ćwierci mili dworze szlacheckim w Kopalinach cyrkulu Tarnowskiego, chodzących z światłem i słyszano krzyk, był to krzyk w tej chwili mordowanego dzierżawcy Kleina z Kopalin; całe miasto trwogą ogarnięte zostało, wszyscy bezbronni, schronili się do kościoła, gdyż przekonano się z zamordowania Kleina, iż zażartemi są nie tylko przeciw podejrzanym o powstanie, lecz przeciwko wszystkim ciarachom.

W tymże czasie zjawili się słudzy z gorzelni w Kamienicy górnej, Dominium Klecie, o $\frac{3}{4}$ mili od Brzostku oddalonej i graniczącej z kameralną wsią Wołą, donosząc, że pisarz gorzelany Wiktor Górski i tegóż 15letni brat przez chłopów w gorzelni zamordowani zostali, i że całe tam znajdujące się gospodarstwo, wraz z aparatem gorzelanym, zupełnie zniszczone i zrabowane zostało, a to przez tęż Szeli bandę rabusiów, przy przyłączeniu

się chłopów z Kamienicy, wtedy powtórnie przesłanym został raport do C. K. Urzędu cyrkularnego z prośbą o asystencją wojskową.

W d. 21 Lutego b. r. widziano z kościoła, gdzie, jak wyżej powiedziano, wszyscy bezbronni wraz z kobietami i dziećmi bezpieczeństwa szukali, jak banda rabusiów Szeli na zrabowanych koniach jeździła i zrabowaną bronią uzbrojona, krążyła po górach wedle Brzostoku i popełniała dalsze w Kopalinach zbrodnie. Około 9 godziny z rana, banda ta zamierzyła napad na kotlarza Gumińskiego w Brzostku, została jednak strzałami z palnej broni mieszczan odpartą, przyczem zrabowano niektóre naczynia kotlarskie. O godzinie 3½ po południu Szela napadł z całą bandą na miasto Brzostek, dzwoniono i bębnilo na gwałt; w téj chwili przybyło od Opatrzności zesłanych 5 żołnierzy do Brzostku, którzy wraz z 5 ludźmi z straży finansowej i uzbrojonymi mieszczanami sformowali szeregi, i maszerowali pod przywództwem kontroującego pisarza urzędowego Stokłosińskiego przeciwko rabusiom już konno wtargającym do miasta. Za zbliżeniem się tychże mieszczanie pięć razy wystrzelili, a rabusie niespodziewając się zastać tam żołnierzy, przyjęci strzałami, cofnęli się i rozsypali. Przez całą noc patrole utrzymywano, a bezbronni w kościele byli zgromadzeni z postanowieniem bronięcia się.

Jak długo podpisany mógł rachować na wierność, rzetelność i przychyłność obywateli Brzostka i kameralnych poddanych z Nawsia, z pola nie ustąpił; lecz już 21 wieczór zaczęło się rozszerzać głucho szemranie mieszczan i powyższych poddanych, a w nocy tegoż podniosły się nawet jawne głosy, że należy wydać rozjadłym chłopom podpisanego kameralnego justycyaryusza, kameralnego dzierżawcę dóbr Zwolińskiego i dziedzica z Zawadki Flaszkiewicza, którzy się do kościoła w Brzostku schronili, gdyż wydania ich żądała banda rabusiów Szeli, a gdyby to nastąpić nie miało, miasto może być zniszczone. Poddani z Nawsia, napadli na tamtejszy dwór kameralny, zostali jednak odpartymi od straży. Groźby przeciwko Zwolińskiemu, Flaszkiewiczowi, podpisanemu i pisarzowi urzędowemu Stokłosińskiemu stawały się coraz wię-

kszęmi, a tak zostawaliśmy wszyscy od mieszczan i kameralnych chłopów opuszczeni, a nawet słyszano, że i straż finansowa wymordowaną zostanie, gdyż strzedz nas odważyła się; niepozostało przeto nic więcej, jak kazać zaprządz i uciekać do Jasła. Ze świtem 22 Lutego przybyli do podpisanego justycyaryusza zwierzchnicy miejscy z Brzostka, Leonard Łabudziński i Józef Nowak, donosząc, iż nie zaręczają dalej za moje życie, gdyż miasta i Nawsia mieszkańcy, żądają zamordowania mnie; dla tego nie powinienem się dłużej w mieście znajdować. Słuchając tego, chciałem kazać zaprządz konie, spostrzegłem jednak, że poddani z Nawsia wysłali już posłańców do Klecia żądając od tychże pomocy dla napadnięcia na nas; nie czekałem przeto dłużej, na pierwszy lepszy wóz, aby tylko uciec jak najprędzej wziąłem żołnierza, strażnika finansowego i dwóch uzbrojonych mieszczan, inne wozy z strażą finansową i z uciekającymi mieszkańcami, za nami postępowały. W Kleciu zaszli mi drogę poddani z Nawsia mianowicie Chłopowiec i Warchoł z innemi tych wsi poddanemi, prawdopodobnie, napaść usiłując; gdy ich jednak nie było wielu zgromadzonych, i nie mieli bynajmniej czasu zebrać się licznie do napadu, a zresztą obawiając się na moim wozie znajdujących się sześciu strażów, które przeciwko nim były wymierzone, powoli rozeszli się, udając się na rabunek do dworu Klecia. Na dowód rzetelności tych wypadków, powołuje na świadectwo c. k. straży finansowej Respicienta Graff, nadzorcę Fleischmana, dozorców Kippa, Przerosta i Thyre, mieszczan Leonarda Łabudzińskiego, Józefa Nowaka, Białasiewicza i na całe miasto.

Przybywszy do Jasła, ustnie zameldowałem o położeniu rzeczy p. staroście cyrkularnemu i p. kameralnemu radcy, prosiłem zarazem o pomoc wojskową do przewiezienia kameralnej kasy podatków i depozytów, która to pomoc dopiero w dniu następnym daną mi była; pod jej zasłoną przywieziono też kasę do Jasła, i złożono w c. k. kassie obwodowej.

W d. 22 Lutego, Szela, którego banda ciągle się powiększała, pisał do mieszczana z Brzostoku, Jakóba Winiarskiego, iż mu ci, których chce wyszukać w Brzostku, wydanymi być muszą,

odpisano mu napowrót, że wszyscy ci uszli, których on mieć chce. Syn tegóż Szeli przyjechał konno do Brzostku, do Białasiewicza, jako parlamentarz z pewnym żydem; obadwa zostali przez mieszczan zatrzymani, a nawet z razu pobici; z obawy atoli, aby Brzostek napadnięty nie został, prosili o przebaczenie i wolno puścili. Wielka liczba z mieszczan Brzostka i cała kameralna gmina Nawsie, przyłączyły się do bandy rabusiów Szeli. Gromada kameralna z Nawsia, zrabowała Nawsie w dniu 22 Lutego pod przywództwem wójta z Nawsia, Anteniego Ziemby, który zażądał pomocy od Szeli dla ukarania wójta z Woli Brzostku, Józefa Jantona, gdyż ten z swoją gminą chciał powściągnąć rabunek, i ustepił jedynie przeważającej sile.

W Jasle, a szczególnie od mieszczan z Brzostka i poddanych z Nawsia odzywały się pogrozki przeciw mnie, a Szela ciągle wzywał o wydanie mojej osoby. Łatwo tego znaleźć przyczynę: gdy wszyscy dziedzice, mandatarysze i wszyscy urzędnicy miejscowi w całej okolicy przez Szelę wymordowani zostali, podobano się to mieszczanom i chłopom, a przeto jedyną miejscową władzę na przestrzeni 3ch mil w około, w osobie podpisanego, chcieli mieć w swojej mocy, do tego przyłączyła się żądza zemsty pojedynczych osób, jaką w urzędowaniu w pierwszej Instancji, przy postępowaniu politycznem i sądowem łatwo na siebie ściągnąć mogłem, a tak gdy ani mieszczenie ani chłopi bezpośrednio na mnie napaść nie chcieli, zawezwali w pomoc Szelę z jego bandą rabusiów.

Podpisany, przerażony powyższemi okolicznościami, nie powrócił do Brzostku, lecz z Kołaczyc urzędował, Stokłosiański tylko w Brzostku pozostał, a gdy wszystko zdawało się uspokajać, wkroczył Szela w dn. 1 Marca b. r. o godz. 10 z rana do Brzostku przynajmniej w 500 ludzi konno i pieszo, wszyscy uzbrojeni powiększej części w strzelby i szable; reszta zaś w widły i cepy; przyzwał do siebie władzę miejską, która w osobie Leonarda Łabudzińskiego do niego przybyła, i zażądał od tegóż wolnego przez Brzostek przechodu, gdzie chce wybrać niektóre podejrzane mu osoby; Łabudziński ustępując przeważającej sile, zezwolił na

jego żądanie, poczem Szela oświadczył, iż obywatele z Brzostka pomarliby z bojaźni, gdyby przez Brzostek przeriagnął, litując się przeto oddalił się napowrót.

Szela od 20 Lutego aż do dnia dzisiejszego jest jedynym sędzią i władzą okolicznym, ulega mu więcćj jak 15 wsi w okóło, pomiędzy temi także kameralna wieś Nawsie i miasto Brzostek.

W dniu 1 Marca b. r. z Jasła cyrkularny Aptekarz Palchjechał do Tarnowa, został od Szeli zatrzymanym, który powiedział mu, iż każdego komissarza cyrkularnego z Jasła, któryby się odważył wstąpić w terytoryum Cyrkułu tarnowskiego, każe zwięzać i do Tarnowa odstawić, i prosił Palcha, aby o tém p. Starostę zawiadomił. Szela według upodobania gospodaruje we wszystkich dworach, w których pomordował właścicieli; konie, żywność dla bydła i wszystko jeszcze nie zrabowane, jest do jego rozrządzenie. Aż dotąd, utrzymuje on w nocy silne widety we wszelkich kierunkach, które palą ogień; patrole jego dochodzą na pół czterech mili od Brzostku, na jego gwizdanie pospieszają z gór wszystkie gminy, któremi on według upodobania rozrządza.

O wszystkiém tém cesarko-królewski Urząd cyrkularny został zawiadomiony i proszony o pomoc wojskową przynajmniej z 50 kawalerji: wskutek tego wezwania został przysłanym komissarz cyrkularny p. Poh w d. 6 t. m. dla rozmówienia się z Szelą, nie odważył się jednak wstąpić w Tarnowskie, a Szela wzywającemu go komissarzowi na granicę tegoż cyrkulu oświadczyć kazał, iż nie ma nic do czynienia z Cyrkułem Jasielskim i dla tego wcale się nie pokazał; na wezwanie zaś piśmienne odpowiedział, iż mu nieszczanin z Brzostka, Jakób Winiarski wskazał tamże niektóre osoby jako podejrzane, o czém już doniósł do tarnowskiego cyrkulu (są to te same osoby, których wydania zażądał).

Gminy okoliczne oświadczyły, że urząd cyrkularny Jasielski w porozumieniu zostaje z ciarachami, a że w Tarnowskim wszystkich wymordowano, urząd zaś cyrkularny Jasielski takowych wypuścił, muszą przeto te ciarachy być teraz wydanymi cyrkulowi

Tarnowskiemu. Odgróзки te wykonywają, jakoż dziś posiadacz części wsi Czermy, milę od Brzostku, w cyrkule Jasielskim, Kłosiński, przez chłopów związany, do Tarnowa odstawionym został.

W dniu 14 t. m. gminy kameralne, Nawsie i Wola jako i wszystkie inne okoliczne dominia wyraźnie oświadczyły cyrkularnemu komisarzowi Poh, iż nigdy dziedzicom pańszczyzny odrabiać nie będą, dały się nawet głosy słyszeć, iż tём teraz wojnę prowadzili, czём piérwój dziedzicom pracowali, a nawet tak dalece do ostateczności doprowadzą, że i tych wymordują, którzy dotąd wymordowanymi nie zostali.

Ignacy Kapuściński został powołanym na świadectwo tój okoliczności. Na zapowiedzianą pańszczyznę w dniu 16 t. m. żaden z poddanych okolicznych nie przyszedł. Michał Przebięda, kameralny strażnik lasow publicznie oświadczył, iż nie uznaje żadnej miejscowej władzy ani państwa, o czём doniósł Mateusz Bara. Wszystkie gminy udają się teraz po radę do Szeli względem pańszczyzny! ten w obecności deputowanych z gromad, między którymi byli z Nawsia i Brzostku, oświadczył rewizorowi polieijnemu z Kołaczyc, Jarzymowskiemu, że żaden z poddanych nie może się ważyć pańszczyzny odrabiać.

Szela rozdaje karty bezpieczeństwa życia i do podróży, jedną z piérwszych wydał Jakóbowi Hiczkiewiczowi z Brzostku, w której wspomina i o podpisany, iż przeciwko mnie nic złego nie zamyśla, zdaje się jednak, że mnie chce zwabić do Brzostku, a potём zamordować. Karta takowa jest w rękach proboszcza z Brzostku, Mościckiego.

Kartę podrózną okazała żona ekonomia z Smarzowy w przejeździe przez Kołaczycę, którą czytali: podpisany, Józef Boehniewicz i Stanisław Krasuski, było na niéj napisane: „poleca się wszystkim gminom, panią tę przepuścić.”

Wiele piśmiennych dokumentów przez Szelę wydawanych, złożono w c. k. urzędzie cyrkularnym, między innémi kartkę w której tenże pisze, że p. Starosta tarnowski wyrzucał mu, iż p. cyrkularnego komissarza z Jasła, który odważył się przestąpić jego terytorium, nie kazał powiązać i do Tarnowa odstawić.

Szela ma wszystkie zrabowane rzeczy przy sobie, i według upodobania takowe zwraca. Panie Klein, Michalska i Górską otrzymały napowrót od Szeli niektóre z zrabowanych im rzeczy po zamordownictwie osób do famili należących.

Na dn. 14 t. m. wezwano wszystkich poddanych na komisję przez cyrkularnego komissarza p. Poh przedsięwziąć się mającą; że zaś Szela zarządził w tymże dniu oblawy po lasach, większa przeto część poddanych kameralnych z Nawsia i Woli, poszedłszy na takowe, przy komisji obecną nie była. W bandzie tej wyszłej na obławę, był Tomasz Szukała z Woli. Dziś doniósł ekonom z Biezdzie, Brochowski, iż mu powiedział wójt tamtejszy, aby z domu uciekał, gdyż Szela wkrótce nadejdzie, a nawet już wójt z Sowiny wezwany został, iżby najbliższe gromady były w pogotowiu z nim wyciągnąć. Cel tego zwołania nie był wiadomy, domyślano się tylko, iż Szela ma zamiar napasać z wszystkimi gromadami na wieś jeszcze nie zrabowane, a potem na Jasło. Wszystkie sąsiednie gminy uzuchwalone były postępkami Szeli: podczas gdy pozorną była spokojność, poddani z Biezdzie milę od Brzostka, w d. 8 Marca r. b. napadli na mandatarjusza Falkiewicza w Biezdzie, w kajdany okuli, i zbili do kalectwa. Szela udawał, jakoby na żadne gwałty więcej nie wpływał i że już nie chce wejść do cyrkulu Jasielskiego, jednak w d. 1 Marca, jak już powiedziano, w kilkaset ludzi wtargnął do Brzostku, przy której to sposobności niektórzy z jego bandy zrabowali cały zapas tytoniu i wódki z kameralnej oberży w Nawsiu.

Wszystkich poddanych tego cyrkulu podburza Szela przeciw odrabianiu pańszczyzny, za dowód posłużyć może, iż oddalone gminy: Warzyce, Bierówka, Niepla i Chrzastonka pańszczyznę odrabiają, czego odmówiły: Nawsie, Wola i Opacionka, gdyż Szela pod karą 25 kijów zakazał odrabiania, o czém donieśli podpisanemu Andrzej Jajo i Ignacy Sapata. Szela jest Dyktatorem tej okolicy. Następujące osoby zamordowane zostały w swoich domach, bez najmniejszej przyczyny, jedynie na jego rozkaz, a to w około na milę od Brzostku: Górski z swym bratem, osób dwie; Denker 5; Pierzchała 2; Michalski z 12stoletnim synem 2;

Rozkoszny 1; Zabirzewski 1; Stradomski 1; Klein 1; Bogusz 6; Kalita Mandatariusz z swoim Aktuariuszem Bilińskim 2, Kaczowski ekonom z Grudnej Góry 1; Białobrzeski ekonom z Jaworza 1; Towarnicki z Bączalka 1; Pieściński dzierżawca z Gorzejowa 1; Pachorecki z Gorzejowa 3; Bobrownicki w Dobkowie, w raz z 3 osobami i księdzem 5; Łobażewski 3; Wąsowicz 1; Słotwiński 1; Pietrzycki 1; Olszański 1; Nidecki 1; Stojewski 2; Rucki 1; Misiewicz 1; Tabaczyński 1; — Ci tylko podpisanemu są wiadomi, przy bliższem jednak poszukiwaniu jeszcze się więcej wynajdzie. — Że wszystkie te osoby wymordowane zostały pod przewodnictwem Szeli, jest dowodem, iż on w większej części niejesc, w których morderstwa dokonane były, osobiście przywodził. a zresztą, rzeczy należące do zamordowanych, krewni tychże od Szeli odbierali. 14 osób zamordowanych kazał on w jednym grobie pochować w Siedliskach, bez pomocy duchownego, a nawet porąbał zrobioną trumnę dla zamordowanego Kleina, o czém sam doniósł Michałowi Białasiewiczowi i Felixowi Stokłosińskiemu.

Zdaje się, że było poleconém, iżby chłopci wszystkie podejrzane osoby odstawiali do c. k. urzędu cyrkularnego, Szela zaś nikogo z osób, które mu w ręce wpadły nie odstawił, lecz wymordował. O ile jest podpisanemu wiadomo, Szela sam przywodził rabunkom przynajmniej w 20 dworach szlacheckich. Przeciw wszystkim tym gwałtom, gdy bezeccy bandyta Szela z siłą przynajmniej 600 uzbrojonych, o półtęwierci mili od Brzostku, dzień i noc przednie utrzymuje strażę, gdy miasto Brzostek, a szczególnie kameralna wieś Nawsie, z ludnością do 1500 osób, przeciw podpisanemu, jako miejscowej władzy powstały, cyrkularny urząd Jasielski wysłał do Brzostku 6 żołnierzy z c. k. pułku piechoty Br. Kandelki; wszystkie węzły posłuszeństwa, społeczności i uległości, bez których miejscowa władza istnieć nie może, są zerwane. Rabónek jest nicustającym; dzierżawcom tych dóbr kameralnych i innym w tejsze okolicy, codziennie są niszczone kopce z kartoflami, a nawet takowe pod przewodnictwem Wójta rozdzielane bywają, zboże które w dworze za pieniądze młócić się zwykło, zaraz chłopci bez wstydu zabierają.

W d. 3 b. m. w południe, jeden z chłopów uderzył kijem w okno mieszkania podpisanego i zawołał: „Patrzcie, jak tu jest teraz spokojnie, gdzie pierwój bez passportu przejść nie można było.“ Napadają chlōpi na publicznych gościńcach i polach, Myszkowski i Włyński, doświadczyli tego.—Na Jarmarku w Brzostku zrabowane rzeczy, jako to: konie, bydło, srebra odzież, publicznie sprzedawano; temu wszystkiemu sprzeciwić się nie mogłem, nie posiadając żadnej władzy, gdyż nawet sługa policyjny, Tomasz Wojnarowicz jest bandytą, a Szela z swoją siłą stoi tak blisko, a wszyscy go otaczający, są jego pomocnikami.

Co tylko żyje i nie jest chlōpem, drży dzień i noc, a ta bojaźń na samo wspomnienie Szeli lub go otaczających jest powszechną. Tutejsi poddani tak są uzuchwaleni, że gdy 14 b. m. w domach, w których z pewnością można było spodziewać się znaleźć zrabowane srebra i inne kosztowności, rewizyą przedsięwziąć chciano, wprost oświadczyli, iż będą mordować, gdyby to przedsięwzięto, tak powiedział Bartłomiej Leśniak jednogłośnie z całą gminą, co słyszeli Jarzymowski, Kadulski i Kapuściński. C. K. urząd cyrkularny nie uczynił zadosyć prośbie o nadesłanie do Brzostku przynajmniej 50 ludzi kawaleryi, gdy tymczasem szwadron huzarów w Jasle z wielkim trudem i niewygodą pomieszczono, mogąc go w Brzostku zupełnie wygodnie pomieścić, a jeszczeby jeden dom zajezdny próżnym dla podróżnych pozostał. Co do wkwaterowania kawaleryi do Brzostku i to miasto ma poniekąd pretensyą do tego, ile że reskryptem c. k. urzędu cyrkularnego z d. 9 paździer. 1844 Nr 855 polecono dominium przygotować się na 1 listopada t. r. na przybycie 22 ludzi z końmi; poleceniu temu zadosyć uczyniono. Kawalerya jednak dotąd nieprzybyła. Koszta tych przygotowań wynoszące 40 złr. c. m. na zasadzie reskryptu c. k. urzędu cyrkularnego z d. 26 kwietnia 1845 Nr 744 ciężą dom należący do masy Franciszka Wojdysza. Należy tu zrobić uwagę, iż dla tego zażądano kawaleryi, że wszyscy urlopnicy z c. k. pułku piechoty Br. Kaudelki, mieli czynny udział w rabónkach i morderstwach tutejszych n. p. Matysik, który zabił Gurskiego, Wojcik, który przewodził rabón-

się przerażająca chwila zniszczenia, a my widzimy Szelę przywódcą bandy złożonej z 500 chłopów uzbrojonych okropnemi narzędziami męczeństwa, jak pustoszy posiadłość szlachecką, wymordowawszy wprzód znalezionych tam mężczyzn. Jak rozhu-kany wichur, szturmują banda, za niemi kobiety obławowane zrabowanemi przedmiotami i żywnością. Dowódca poleca po-spiech, gdyż idzie teraz do Siedlisk rodziny Boguszków; po dro-dze mieszkał bogaty żyd, który skład gorzałki posiadał. Bez ha-mulca, rzuca się tłuszcza na żyda, zarazem mający przedsięwzięcie rabunek, jeden tylko z nich uczynił obrót, a cała banda odwra-cając się od Szeli, zmusiła do wstąpienia za niemi do karczmy; znaleziono tam okwitość gorzałki w kufach, którą nie mogąc wy-pić na ziemię wypuścili.

Z trudem tylko udało się Szeli całą tę tłuszcza wyciągnąć z domu gościnnego i nakłonić do planu zemsty którego wypełnić pospieszał.

3.

W zamku Siedliskach, w dniu 19 Lutego na uczczenie są-dziwego ojca rodziny Br. Stanisława, odbywała się nroczystość familijna; wszyscy członkowie rodziny, synowie z swęmi małżonkami, dziećmi i z wszystkiemi spokrewnionemi do tejże należeli dla odwiedzenia 80 letniego starca, który cieszył się tak licznem potomstwem, raz jeszcze, zapewne przed blizką śmiercią, zgromadzonem około siebie. Całe jego ubiegle, pełne czynów życie, jak zwierciadło stanęło przed jego wzrokiem, a wyciągając z wdzięcznością ku niebu swoje ręce, błagał o błogosławieństwo Boże dla całego swojego przyszelego pokolenia.

W całym domu panował ruch powszechny. Damy zatrudniały się przygotowaniami na bal, zaproszono na dzień następny przyjaciół i znajomych z sąsiedztwa, a wieczór zgromadzono się w sali w kolo starca Bogusza, gdzie w poufnej rozmowie, udzielano sobie nawzajem wiadomości, co tylko komu było wiadomo. W prawdzie ojciec Boguszków mało się troszczył o polityczne umiemanie zewnętrzný świat zajmujące, lecz był Polakiem, a gromzące burzą chmury, nagromadzone na horyzoncie jego oj-

czynny, zwiastujące zupełne tejże zniszczenie, lub też szczęśliwie nad nią przejść mogące i wskazujące wreszcie nowe odrodzenie się w uroczystej szacie wolności, tak dla Bogusza jako i dla innych synów Ojczyzny głębokie sprawiały zajęcie. — Gdy przeto zwróciła się rozmowa na mające nastąpić niespokojności, na ducha stronnictw i na niejedność rozsiewaną szczególnież z strony biurokracyi, która już wiele razy przeniewierczą się stała i wtrąciła kraj w największe niebezpieczeństwo anarchii, wstrząsnął ojciec Bogusz swą siwą głową z wyrazem troskliwego namysłu, i rzekł do swoich dzieci:

„Wam moje kochane najmłodsze dzieci z mojej rodziny, jest zapewne przeznaczoném, abyście dożyli téj chwili, w której nasza Ojczyzna, przez dokonany podział pomiędzy trzech obcych Monarchów, ulegając obcemu uciskowi i całą swoją narodowość straciwszy, zrzuca to jarzmo i na nowo, jako niezależne państwo zakwitnie, lecz jeszcze chwila ta nie nadeszła, jeszcze wiele polegnie ofiar, i wiele jeszcze krwi za wolność się wytoczy; tak, dopiero gdy wszyscy despoci Europy z swoich tronów straceni zostaną, wtedy dopiero wielkie dzieło zjednoczenia i odrodzenia Polski, do skutku przywiedzioném będzie. Nic ja dobrego nie przeczuwam z obecnego przesilenia; udział, jaki prosta masa ludu na obronę rządu bierze, jego ponure knowania i czatowanie na wszelkie poruszenia szlachty, wszystko to pobudza mnie do smutnych przepowiedni; nawet tu w naszych dobrach widocznym jest duch powstania ze strony naszych poddanych — jak słyszę to u Szeli, nieprzyjaciela mojego domu, odbywają się tajne schadзки, upoważnione przez władze; a nie wiem, moje kochane dzieci, czy my nie dla tego razem się zgromadzili w tym pełnym niebezpieczeństwa czasie, aby być ofiarami zemsty zaślepionego ludu ze strony własnych poddanych.“

Tu zamilkł starzec; głębokie panowało milczenie w całym rodzinném gronie, lekkie westchnienia poruszały usta troszczących się dam, i to trwało tak długo, dopóki wesołość w towarzyskiem zgromadzeniu przez zwrót rozmowy, wywołaną nie została. — Że zaś prorocze słowa starca, spełnić się miały naza-

jutrz i że wszyscy, jako ofiary okropnej śmierci uleść mieli, tego nikt nie przeczuwał, sam nawet ojciec Bogusz nie narzył o niebezpieczeństwie tak blizkiem i tak okropnem.

4.

Opuścmy tę rodzinę dziś jeszcze na łonie szczęścia, nie ostrzeżoną od nikogo, nie świadomą jakie groźne niebezpieczeństwo wre już nad ich głowami, a wróćmy się do okrutnika Szeli i jego bandy.

Przez swoją wyrachowaną chytrą, zastosowaną do chłopskiego rozumu, nie chciał on powstania bezpośrednio we wsi rozpoczynać, gdzie mieszkał, gdyż własnym swoim sąsiadom nie przypisywał tak wiele okrucieństwa, jakiego potrzebował do wykonania swych zamiarów przez wytepienie familii Boguszków, takowe przeto z zewnątrz przysposobił, a gdy przez swoje wszędzie rozstawione posyłki, powziął wiadomości o wybuchu rozdrażnieniu ludu na północy Cyrkułu, udał się bezzwłocznie do swoich sprzyśniętych zewnątrz dóbr znajdujących się, i napadł najpierw dwór szlachecki P. Pohoreckiego. Dzieło najdzikszego barbarzyństwa wybornie się udało, wkrótce miał licznych zwolenników, mógł przeto z obcą siłą, nieużywając współmieszkańców wsi, tém prędzej i wykonalniej, przywieść do skutku swój zamiar zemsty.

Opuściliśmy go w zamiarach wyprowadzenia swęj tłuszczy, gdy właśnie w nocy na czele 500 ludzi z swęj bandy był w pochodzie przeciw Siedliskom, gdzie cała familia zgromadziła się na Zapusty, aby w poufném kole rodzinném, niewinnie się zabawić. Miał on już najpewniejsze wiadomości o ich zebraniu się, a przeto więcej się już o nie nie troszczył, jak tylko, aby mu nieuszyła żadna ofiara.

Właśnie świtało, gdy Szela przekroczył granice dóbr Siedlisk, i swoją dziką, wyuzdaną bandę nieco przywiódł do porządku; wiedział on, że dzień dzisiejszy miał być dniem zabawy, i że jeszcze niektórzy goście przybędą. Dozwolił przeto swęj tłuszczy małego wypoczynku, rozdzielił takową według znajomej sobie miejscowości po różnych kryjówkach, obsadził wszystkie

drogi, i wydał polecenie, aby każdego wpuszczano, do dworu, ztamtąd zaś nikogo, on sam czuwał nad wykonywaniem swych rozkazów.

Jakby w pomoc jego zamiarom zemsty powstała w tym dniu burza, okropna zawierucha z śniegiem i dészczem, każdego z mieszkańców zatrzymywała w swym domu nie troszczących się, co się dzieje na świecie, a z tąd i biędne ofiary rzezi nie nie wiedziały o zbliżającym się ich okropnym losie. O wypadkach na północy żadnej nie mieli wiadomości, gdyż wszelkie związki przecięto. O wypadkach upłynionej nocy, w skutek nastąpionej burzy, żadnego doniesienia otrzymać nie mogli, żaden obrońca, żaden stróż aniół nie zjawił się dla ratowania nieszczęśliwej rodziny, a nawet pomimo przykrój zawieruchy przybyli jeszcze niektórzy goście.

Szela z swoją bandą oczekiwał południa, chciał on wyprawić na tamten świat swoje ofiary, bez troski się bawiące i przy najżywszej radości. Gdy przeto wszyscy goście w największym bezpieczeństwie i spokojności umysłów, toasty wznosili, a nie jedno życzenie dla uczczenia uroczystości połączyło się z życzeniem szczęścia dla Polski, wyciągnął Szela z swoją niejako wygłodniałą bandą z jej kryjówek, obsadził wszystkie wychody domu, a tak pomyślnie spełniały się jego zamiary, że nikt z gości, a nawet ani żaden z służących w domu nie spostrzegł, jak już cały zamek był w koło otoczony i obsadzony uzbrojonymi chłopami.

5.

Sędziwy Bogusz, z przyczyny burzliwej pory był bardzo cierpiący i nie mógł do towarzystwa należeć, będąc przymuszony w łóżku zostawać.

Tytus Bogusz, mężczyzna 30 letni i szlachetny w najściślejszym znaczeniu tego wyrazu, uczciwy i łaskawy dobroczyńca wieśniaków; on, jego małżonka i 14 letni Włodzimierz Bogusz jedną składali rodzinę. — Nikodem Bogusz brat Tytusa, w pełnej sile męskiego wieku, zarówno ojciec rodziny, siedział po prawej ręce Tytusa z swoją wierną małżonką. Wiktor Bogusz trzeci

brat 43 letni, po lewój, i tak dalej w rzędzie po Stanisławie Boguszu czwartym bracie. Wszyscy czterej Buguszowie, prawdziwi przyjaciele ludu i wierni Wazale. W połączeniu z niemi siedzieli przy stole jako sąsiedzi i przyjaciele domu: Adam Pochorecki, Ignacy Zabierzewski, Jan Stradomski, Antoni Terlecki, Sobolewski, Kruczkiewicz i Strzelecki, także ekonomiczny komisarz dóbr, Wojciech Bieliński i Adam Kalita mandataryusz miejskowy, mieli udział z swojemi małżonkami w uciechach tej uroczystości.

Już poginęli! ofiary ślepej zemsty motłochu, ofiary biurokracyi! wszyscy w jednej chwili najokropniej wymordowani; prawdziwi niewinni męczennicy wolności; gdyż ten dziki okrutnik, ten bezbożny krytobójca Szela pierwój wzniósł zabójcze żelazo, nim którakolwiek z nieszczęśliwych ofiar rzezi mogła pomyśleć o tak blizkiem niebezpieczeństwie śmierci.

Jak wściekły wichur, wpadła banda rabusiów, z Szelą na czele do familijnej sali w Siedliskach, obsadziwszy w przód wszystkie wychody domu, a nawet okna swojemi bandytami, wszelka nadzieja ucieczki lud ratunku była niepodobną. Jedynie tylko służba domowa ratowała się ucieczką, najpród spostrzegłszy niebezpieczeństwo napadu i korzystając z chwili gdy Szela całą swoją zwrócił uwagę na zgromadzenie szlachty, stósownie do otrzymanych tajnych poleceń, i z taką przezornością i chytrą chwytał się środków do dopięcia swoich zamiarów, iż wszyscy obecni tam przyjaciele i goście, z wyjątkiem kobiet, padli jego ofiarami. A te nieszczęśliwe kobiety, patrzyły na męczeństwa jakże ich mężowie cierpieć musieli, słyszały ony jęki boleści umierających niewinnych ofiar; blizkie szaleństwa! zaiste! nie sobie nie można okropniejszego wystawić, jeżeli wypadki które co do joty spełniły się w Siedliskach sobie uobecnimy. Gdy ta dzika tłuszcza nagle wpadła do sali tańców uzbrojona w kosy, pałki i okropne narzędzia męczeństwa, w cepy, całe oniemiało towarzystwo, a wiele dam wpadło w omdlenie. Szela podniósł swoją prawicę i groźnym głosem następujące do towarzystwa przemówił słowa: „Wasza godzina już wybiła panowie, wszyscy śmierć ponieście

„spójrzycie około siebie i przekonajcie się, iż każdy opór jest niepodobny, gdyż z tego domu żadna męzka nie wyjdzie dusza!

Szela jeszcze swych straszliwych groźb nie dokończył, a już siedzący u niższego stołu Kruczkiewicz, Strzelecki, Sobolewski i Jan Stradomski, zostali porwani i zaprowadzeni na dworski dziedzieniec, gdzie z związanymi rękami i nogami porzuconych na ziemię wszystkich czterech bito cepami aż do śmierci.

Udało się jednak powyżej przy stole siedzącemu jednemu z Boguszów korzystając z pierwszego zamieszania wymknąć się z sali, a tak Tytus Bogusz ukrył się pierwszy na strych domu, gdzie zaledwo pół godziny nie odkryty pozostał; gdyż barbarzyńiec Szela szukał go i znalazł nieszczęśliwego, który przebity widłami i najokropniej męczony zrzucony z okienka strychowego, roztrąciwszy się o stos kamieni na dziedzińcu ducha wyzionął.

Także i 14 letni Włodzimierz Bogusz przez swoją matkę w piwnicy ukryty, niestety wkrótce wyszukany i zabity został, któremu brzuch rozerznięli.

Nikodem i Wiktor Boguszowie bohatersko oddali się Szeli nie prosząc o darowanie sobie życia, odważnie zakończyli takowe w przedśionku w obecności rozpaczających małżonek, okropnie męczeni razami koss, nawzajem wśród tych męczarni dodając sobie odwagi i zapowiadając Szeli w krótkim czasie nadgrode za jego zbrodnie. Także Adam Pohorecki i Ignacy Zabierzewski z początku widzowie tych męczeństw na Boguszach dokonywanych, ponieśli śmierć w podobnie okropny sposób, powolnym kluciem kosami męczeni, zakończyli bohatersko swój krótki byt nie wydawszy jęku boleści. Strumienie krwi z tych ofiar płynęły po podłodze, gdzie leżały zwłoki pomordowanych.

Podczas gdy te srogie sceny odbywały się wewnątrz domu, udało się mandataryuszowi Kalicie i komissarzowi Bulińskiemu przebiec małą przestrzeń ogrodu zamkowego, lecz krótkim był termin życia, którym się cieszył uciekający, gdyż niebawem ścigany i doprowadzony musiał umierać, a umierać okropnie jak jego niewinni bracia i towarzysze nieszczęścia.

Ostatni z towarzystwa Antoni Terlecki, wykonał przed swo-

ją śmiercią, czyn szlachetny i bohaterski, gdy nie uważając na własne życie, starał się, chociaż na próżno, starca Stanisława Bogusza, ojca rodziny, ratować, który w swoim pokoju leżąc na łożu śmierci, błagał Boga z wyciągniętymi rękami, aby go zabrał do siebie i nie wydał w ręce Szeli. Terlecki wyniósł 87 letniego starca pod czas straszliwych scen w sali, na strych domu, prawie w to miejsce, gdzie już poległy Tytus znalazł krótkie schronienie. Lecz niestety na próżno; postanowiono w księdze przeznaczenia, aby szlachetna rodzina Boguszków spełniła aż do dna kielich boleści śmierci straszliwej, jak Zławiciel na górze Oliwnej.

Jakżeby Szela darował życie swemu mniemanemu największemu nieprzyjacielowi, sędziwemu ojcu Boguszowi, gdy mężczyźni którzy mu zupełnie byli nieznani, poświęcił swój krwawej zemście?

Szela miał dobrze w pamięci szlachetnego starca, jako głównego swego nieprzyjaciela, szukał go i znalazł w objęciach Adama Terleckiego, a tak obadwa, zostali ze strychu zrzućeni i tłuszczy chciwój krwi na najokropniejszą śmierć wydani.

Adam Terlecki prosił o życie starca, nadstawiając swoje i ofiarując Szeli wszystkie gotowe pieniądze w zamku się znajdujące. Lecz Szela nawet nie odpowiedział, według swego zwyczaju, skinął w milczeniu swą ręką, a i te ostatnie ofiary zostały narazie strzałami z flint ugodzone, a że nie były śmiertelne, uzupełniając przeto sceny okropności, mordercy dobili ich cepami.

6.

Małżonkom pomordowanych, darowano życie, które w tymże dniu oddaliły się skołatanę na duszy i ciele, porzucając wszystkie swoje dostatki, Szela zaś objął w posiadłość dobra familii Boguszków, a zwłoki 15 pomordowanych bez pogrzebu zakopać kazał. Ztamtąd to komenderował on zupełnie jako dowódzca masą 3000 chłopów, którzy wszyscy byli na jego rozkazy, które co do joty wykonywali. Aby przeto swoje okrucieństwo dokonane na nieszczęśliwej rodzinie Boguszków, nieco osłonić, zakazał pozornie swojej bandzie mordów w dniach późniejszych, gdy od władz podobnież nadeszły rozkazy — jednak dobra Boguszków, które zdobył w przestrzeni blisko cztery mil w około, zajął jako het-

man i nikomu nie pozwolił przejechać przez swoje terytoryum, kto nie miał od niego karty bezpieczeństwa. Obok tego przyrzekł on wszystkim gminom, które mu wierne pozostały, zupełną wolność i zniesienie wszelkich dziesięcin i pańszczyzny, tak, iż chłopci nie chcieli robić ani dla siebie, ani dla panów; tak przeżyli czas w bezczynności i w dowolném przywłaszczaniu sobie własności dziedziców, jako zwyciężonych. Sam Szela prowadził zupełną połowę kancelaryą i opłacał pisarzy, którzy mu załatwiali korespondencye i żył z tego co wspólnie zrabował, jako pan dóbr Boguszów przez całe cztery tygodnie.

Wiadomo, że rząd meternichowski wynagradzał głównych i gorliwych morderców orderami, awansami i t. p., do liczby tych należy i Szela, któremu wyznaczono ze skarbu publicznego fundusz potrzebny do przesiedlenia się na Bukowinę, gdzie, prócz własności gruntowej, otrzymał wszelką zapomogę gospodarską za zasługi, jakie w kraju położył!!!

Dwadzieścia cztery godzin z mojego życia.

w dniu 19 Lutego 1848.

Wielkie płaty śniegu popędzane od silnego mroźnego wiatru, były w okna naszego samotnego leśnego mieszkania w Machowy, podczas gdy z mym bratem pożywaliśmy obiad, wprawdzie nie książęcy, lecz smakujący nam wybornie. Cała przyroda zdawała się okazywać ogrom swęj sily, jakoby usiłowała zakryć nieprzeniknioną oponą gęsto padającego śniegu, rozpoczynające się czynny okrucieństwa.

Podczas gdy oddani poobiedniemu spoczynkowi, ogrzewaliśmy przy ciepłym piecu skośnięte od mrozu członki, weszło 2ch Gajowych, aby według zwyczaju w domu leśniczego przysposobić opału; brat mój przeto zniewolony opuścić swoje wygodne przy piecu stanowisko, wyszedł dla wydzielenia tymże roboty.

Ja jednak pozostałem w mojem korzystnem położeniu, nie myśląc wcale w dniu tym opuścić ogniska orzeźwiającego moje strudzone członki; inne atoli było zrządzenie Opatrzności. Albo-

wieni w tém położeniu dozwoliwszy wolnego lotu myślom w przestworze wyobraźni, która wystawiała mi przyszłość w najżywszych i najpiękniejszych kolorach, z tych moich marzeń w bardzo nieprzyjemny sposób zbudzony zostałem przez dzikie i pomieszane wielu głosów okrzyki.

Tak niezwykle wrzask w naszej samotni spowodował mnie do śledzenia tegóż przyczyny, wyszedłem w tym celu na podwórzec i spostrzegłem takowy otoczony przez kilkuset chłopów, w kosy, cepy i widły uzbrojonych.

Gdy nieco pomieszany, ujrawszy te blade oblicza, których oczy iskrzyły się żarem chciwym mordu, cofnąłem się za próg sieni, cała ta banda przystąpiła do mego brata na dziedzińcu. Z takowej jeden wystąpił naprzód i na zapytanie brata, co to ma znaczyć i czego od nas żądają, powitał go pochwaleniem Chrystusa, a wtedy jakoby na dane hasło, biedny mój brat w koło obtoczony, nie przeczuwający nic złego, zamordowanym został cepami.

Zanim mógłem coś postanowić i pospieszyć w pomoc bratu, drugi oddział téj tłuszczy uzbrojony w strzelby, zrabowane po okrutném zamordowaniu w Zdziarach księżęcego leśniczego Kłossowskiego, wpadł na mnie z okrzykami: „chodźcie i zabijcie tego drugiego!“ W tém uderzony w piersi przez jednego z tych morderców, byłbym pewnie życie zakończył, gdyby moja przytomność umysłu nie była mnie z tego rozpaczliwego wyratowała położenia.

Często się zdarzać zwykło, iż odwaga i rezygnacya wzrastają w miarę wielkości niebezpieczeństwa, eo się obecnie mnie przytrafiło. Owładnięty myślami, by życie swoje o ile można sprzedać najdrożej, przewidziawszy, że sam nie nie podołam przeciw kilkuset chłopom, których pragnienie krwi i zemsty, przez gorzałkę doprowadzone zostało do najwyższego stopnia, z wysileniem rozpaczę zerwałem się z ziemi, powaliłem stojącego przedemną i ciągle swemi cepami mnie bijącego chłopą, poczem ująć wiszącą za tymże dubeltówkę, takową odwieść i wystrzelić, było dziełem jednéj chwili. — Jeden z tych morderców, Szymański z Zdziar, hynajmniej nie wydawszy krzyku, niebawem upadł

przy moich nogach i na tém krwawém miejscu wyzionął swą czarną duszę.

Drugi z téj bandy, nazwiskiem Kot, także z Zdziar, któremu cały ładunek wpakowałem w rękę, lecz nie wiem w którą, z wielkim krzykiem uciekł za swoimi towarzyszami, a ja ujrzałem się sam w sieni wraz z zabitym. Korzystając z zamieszania, żadnego im czasu do namysłu nie dając, gdyż najmniejszą przewłokę życiem mógłbyń przyplącić, wypadłem z wypaloną strzelbą na dziedziniec zamierzając przez tę tłuszczę przebieć się do najbliższego lasu; lecz z wielkiém niojém podziwieniem, spostrzegłem, iż takowi na mój widok dobrowolnie się rozstępują, a przez to mnie, już za umarłego osądzonemu, drogę utorowali, niezwekając przeto i chwili, korzystałem z przyjaznej pory i pomimo wysyłanych za mną strzałów przez tych, którzy najpierw przyeszli do przytomności, wyjąwszy kilka zranień głowy, zresztą w dobrym zdrowiu, dostałem się do poblizkiego lasu.

Tak może z ćwierć mili idąc przez największą gęstwinę, wyczerpany i opadły na siłach, upadłem bez przytomności. Nie mogę z pewnością oznaczyć, jak długo pozostawałem w tym stanie omdlenia; dosyć na tém, że przyszedłszy nie co do sił i spostrzegłszy, że jeszcze silnie trzymam w zębach kostkę od lulki, którą paliwszy podczas przybycia tych rabusiów, w walce zgubiłem, nie mniej, leżąc wedle mnie strzelba i moje rany, były wystarczającym świadectwem, że wszystko to, co tu opisuje, jest rzetelną prawdą nie zaś próżném marzeniem. Niech się kto postawi w mojem położeniu, a znajdzie, że takowe wcale do pozazdrosczenia nie było: wspomnienia o moim kochanym bracie, którego w tak okropny utraciłem sposób, samotny i opuszczony, bez przyjaciela, oddalony od swoich, w obcym kraju, bez przytułku w tak przykrój porze roku i ciągle w bojaźni być odkrytym od ścigających, lub téż od innych hord chłopskich, czegoż się mógłem spodziewać, jeżeli nie najokropniejszej i męczeńskiej śmierci?

Po krótkim wypoczynku, zagrzebawszy strzelbę pod śniegiem w gęstwinie, udałem się drogą przez Lipiny do Pilzna, dokąd

przy wyiskrzonym niebie, mijając każdą chatę, przybyłem około 8 godziny wieczór i podsluchiwałem, może na 100 kroków oddaloną straż, złożoną z żydów, mieszczan i chłopów. Drżąc od zimna i jak bocian kłapiąc zębami, opuściłem moją kryjówkę i dobrowolnie oddałem się stróżującej bandzie, która zapowiadając mi śmierć na jutro, zaprowadziła do miejskiego więzienia, a tak dała czas przygotować się do mającej nastąpić śmierci.

Zupełnie przekonany, że noc ta jest ostatnią i że nie pozostaje mi więcej życia nad 10 godzin, popadłem w głębokie, ponure dumanie, a błogi sen, przyrodni brat śmierci, zwał mi powieki i wyrwał z trapiącej obecności. Skrzypienie zamku mojego więzienia zbudziło mnie i wczorajsze zapowiedzenie śmierci, przywróciło pamięć.

Wszedłszy tam z 20 mieszczan i chłopów, związali mnie grubym powrozem i wiedli jak sądziłem do miejsca, na którym moje życie, w sposób dreszczem przerażający zakończyć miałem, jednak w księdze przeznaczeń, śmierć takowa przepisana dla mnie nie była. Wóz parokonny, na którym już siedziało powiązanych dwóch towarzyszków wspólnego nieszczęścia, stał przed miejskim więzieniem, gotowy do przyjęcia mnie już prawie umierającego. Wyjechaliśmy z Pilzna pod straż ośmiu z tych synów ciemności, w pośród odgrózek zgromadzonych mieszkańców: zaledwie przybywszy do mostu, napotkaliśmy dwóch pocztylionów z Tarnowa powracających, którzy na zapytanie, coby tamże słyhać było, odpowiedzieli, iż wyszedł wyraźny rozkaz Starosty Breindla, aby każdego natychmiast na miejscu zabijać; objaśnienie to, w pół godziny później, było przyczyną śmierci wielu niewinnych. Nasza szanowna straż chciała nam wyświadczyć, też samą przysługę, której wraz z nami doznać miało z 15 osób na 3ch wozach siedzących, a którzy w tak okropnym położeniu z przyczyny bojaźni męczeńskiej śmierci, korzystając z ostatnich chwil, polęcali swoje duszę Wszechmocnemu Stwórcy. Lecz powtórnie przez kilku tościwszych uratowani mieszczan, jechaliśmy dalej do Tarnowa. Jechawszy zaledwie z kwadrans, podobało się jednemu z moich stróżów zawiazać ze mną rozmowę, której rezultatem było

parę policzków i ściągnięcie ze mnie niektórych części odzieży. Tak przejechaliśmy Machowę, gdzie obdarty z reszty sukien, najprzerażliwsze cierpiący zimno, w Woli podgórskiej ogrzany zostałem dosyć dobrą porcją uderzeń i tak przejechaliśmy austeryą, Ładna nazwaną.

Któż opisze moją radość na widok Tarnowa, gdzie spodziewałem się znaleźć koniec mych wszystkich cierpień; głęboko odetchnęły me piersi na widok forpoczty cesarskich Chevauxlegersów z 6 ludzi przy rogatce stojącej, życie moje zdawało się nabierać nowych sił, słowem, widziałem się być wyrwanym z okropnego położenia. Przybywszy do forpoczty, prosiłem kaprała o obronę przeciw, jak sądziłem samowładności chłopstwa. Leez jakże zostałem oszukany w mojem oczekiwaniu, gdy w miejsce odpowiedzi, otrzymałem od bohaterskiego komendanta uderzenie płazem, za którego przykładem, cały patrol wraz z naszą strażą, mnie na pół śmiertelnie zbitego, przywiązanego powrozem do literki wozu, mnie biédnego Czecha, bez litości tak silnemi obłożyli uderzeniami, że z ust, uszów i oczów krew wytrysnęła. I dla czego? sami nie wiedzieli.

Nie chcę trudzić szanownego czytelnika opisaniem mojej długiej w miasto przechadzki, dodam tylko, że przybywszy przed c. k. szpital, raz jeszcze w obecności bohaterskiego pólkownika Moltke i jego pp. oficerów, nową odbyłem mustrę, z końcem której bez przytomności upadłem, a dzielny dowódzca milczącemi jestami dał do poznania swoje zadowolenie, swym bohaterskim żołnierzom. Później pod inną strażą eskortowany do Kamienobrodzkiego, byłbym pod silnemi uderzeniami jakiegoś oficerskiego służalca, ducha wyzionął, gdyby litościwy landsdragon nie był stanął w mojej obronie.

Człowiek ten zaprowadził mnie do sali, gdzie zastałem karnawałowych gości mimowolnie maskowanych, a których liczba z każdą chwilą wzrastająca nieżywymi, pozornie zabitymi i na pół umarłymi, moją osobą powiększoną została.

Nie mi więcéj dodać nie pozostaje, jak tylko, że musiałem wyglądać nie bardzo zajmująco; gdyż wystawieć sobie człowieka

w koszuli, boso, z czerwoną czapką na głowie, twarz i ciało okryte ranami, z których przynajmniej żadna śmiertelną nie była, wystawcie sobie powtarzam, mnie stojącego w pośród narzekających ojców i synów, z których nie jeden oplakiwał utratę miłej sobie osoby; musiał to zaiste być widok serce rozdzierający.

Lecz łaskawa Opatrzności ręka, zlała zbawienny balsam na rany duszy i ciała cierpiącej ludzkości, gdy ta, w Tarnowa mieszkaniach znalazła pocieszenie i potrzebną pomoc lekarską. Był to poruszający widok gdy delikatna pleć piękna Tarnowa z najczulszą troskliwością obmywała i obwiązywała rany, tak srogo przygniecionych nieszczęściem, nie szczędząc żadnych kosztów w dostarczeniu środków potrzebnych.

I ja biedny, cierpiący Czech, otrzymałem częśćkę tych starań, w których owe pocieszycielki nie uważały że jestem ziomkiem sprawców tych scen okropnych i im tylko jedynie moje obecne zdrowie zawdzięczyć mogę.

Tak więc, mam sobie to za święty obowiązek pismem niniejszym złożyć moje najżywsze dzięki moim opiekómkom, będąc przekonanym że od nich z tymże uczuciem przyjętemi zostaną, z jakim wypływają z mojego wdzięcznością przepełnionego serca.

Uwolniony po czteromiesięcznym więzieniu, udałem się do Machowy, dla odebrania resztek z mych rzeczy, którebym zdołał odszukać; lecz od prowizorycznie tamże mianowanego mandatarjusza, Adapsowicza otrzymałem odpowiedź: iż urząd cyrkularny zakazał bez jego pozwolenia wydawać rzeczy z rabónku pochodzące; z tego się okazuje, że chłopstwo nie z własnej woli, lecz z polecenia urzędu cyrkularnego, dopuszczało się tych morderstw i okropności. Potwierdzenie tego otrzymałem od włościanina z Machowy, Łabudzkiego, który dawniej będąc gajowym, bardzo się czynnie odznaczył przy tych rabónkach. Ten na moje wyrzuty, następną dał mi odpowiedź: „P. komisarz Zmińkowski gdy „jechał przez Zdziary z Zasowa i z Wiewiórki, nakazał nam, „żeby wszystkich pozabijać, a rzeczy wziąć sobie.“ Z tego się okazuje, że p. Zmińkowski, rozpoczynszy krwawą w Zasowie

rzeź, wszędzie ślady takowej w Wiewiórcie, Zdziarach i Machowicy pozostawiając, w Cyrkule bardzo się czynnym okazał, w skutek których podłości, tak wiele ofiar utraciło życie.

Brzeźnica d. 1 Lipca 1848 r.

J. Rzekasz.

Pisarz urzędu leśnego w Borku Brzeźnickim.

MORDERSTWA

dokonane na

**Henryku Milnie, jego małżonce i policyanie, tudzież
na Kazimierzu Bielińskim i jego fernalu,**

w Dąbrowiezu, wsi w obwodzie Bocheńskim.

Dnia 25 Lutego 1846 r. ś. p. Henryk Miln, sędzia policyjny w Żegartowicach, wraz z żoną i policyanem, którego dla swęj obsługi woził, wracał z świąt zapustnych, z cyrkulu Sandeckiego, od swojéj familii, nie wiedząc i nie słysząc o najniniejszych rozruchach, czyli powstaniu chłopskiem, spiesząc do swego zatrudnienia, i tak przejeżdżając przez wieś, Tarnowice i Grabie, spostrzega bandę ludzi na drodze stojącą, która ich zatrzymuje; a znawszy ich bardzo dokrze, z kąd? gdzie? i po co jadą wypytuje: po najdokładniejszój indagacyi, zaczęli rewidować bryczkę i osoby, a nic nie znalazłszy prócz tak nazwanéj pałki do rąbania drzewa, którą policyan dla swojéj wygody zabrał, rzekł jeden do drugiego: cha! acha! „widzisz że te bestye chciały nas zabić, bo już mieli na nas pałkę, wtém nadjechał Kazimierz Bieliński dziedzie wsi Żegartowic: zatrzymawszy i jego poczęli rewidować, a znalazłszy przy nim pałasz, z którym on jako stary wojskowy po 20 latach służby, ciągle jeździł, zaczęli bić najokropniéj a powiązawszy wszystkim w tył wykręcone ręce, raz jeszcze nabiwszy i naszydziwszy się do woli, wieźli do Bochni przez Łupanów, około mieszkania Karola Schlossera, którego na drugi dzień zabito. Pod ten czas, starszy brat z matką wyjrzał oknem i poznał szwagra wraz z siostrą zbitych i powiązanych, których przeszło 200 chłopów uzbrojonych w cepy i kosy, między sobą wieźli,

lecz nie mógł im dać pomocy, lekkim tylko skinieniem głowy, pozdrowili się wzajemnie, bo rozmawiać nie wolno było. Rozbójnicy przejeżdżając koło mieszkania Schlosserowego, mówili między sobą: „poczekajno, niedługo ty tak będziesz wyglądał, poczekaj tylko jednych odbędziewa, to tu i po ciebie trafiwa: słyszała to cała familia Szlosserów. Przywożą nareszcie te zażarte rozbójniki, do Dąbrowicza, sławnego z licznych morderów r. 1846 albowiem tam zginęli: Henryk Miln, jego policyan, Kazimierz Bieliński i jego fornal, Dydeński, Wesołowski 80 letni starzec, Karol Schlosser, ksiądz i wielu innych, kilką tylko osobom udało się życie swe ocalić, które będą opowiadać o owej przydrodze wysoko sterczącej lipie, na której ciągle, jeden z rozbójników siedząc, uważał z której strony inni rozbójnicy niedobitków wiozą, ażeby dobić, dawał w ten moment znaki swoim towarzyszom, którzy się na moście ustawili. Do Dąbrowicza, przywiózłszy Henryka Milna, ze wspomnionemi osobami, dzicz w około obstępła, okrutnie czém który mógł, mordowała dotąd, pokąd, w największych jękach, pod zabójczemi cepami i kossy, Bogu ducha nie oddali. — Żona trzymając i zasłaniając głowę męża swego, odebrawszy siedm ran głębokich w głowę, i bez liczby suchych razów, pół omdlała, pół nieżywa, padła na zabitego policyana, na którą później zabitego fornala od Kazimierza Bielińskiego położono i jeszcze przy życiu do Bochni przywieziono. Zajeżdżawszy pod Cyrkuł, widząc to, przez litość szlachetni mieszkańcy Bochni, nie szczędzili wszelkiej pomocy, ażeby ją do życia przywołać, i żeby się można o przyczynie tego czynu dowiedzieć, bo niktby nie był w stanie, opowiedzieć dokładnie, męczeństw tych niewinnych ludzi. Przyszedłszy do siły ta niewinna męczenniczka, żądała konferencyi z starostą, której jej odmówiono, zaś dla zaspokojenia rozjątrzonego umysłu, odnieśli zranioną do jakiejś kancelaryi w Cyrkule, i tam na sienniku żołnierskim położono, do której to kancelaryi przychodził koncept praktykant Wictum, ten osławiony Wictum w r. 1846 i wypyttywał się z miną drwiącą o męża czyli żyje a widział go zabitego, dowiedziawszy się, niby go to żałował, i mówił: hoście się

musieli państwo bronić. Na takie uraganie się Wictuma nie-szczęśliwa zastała, posłano po lekarza, za którego staraniem odzyskała siły, i do familijnego domu odwieziona została, gdzie bez nadziei życia, za wielkiem staraniem i pilnością lekarza Doliner do zdrowia, chociaż wątłego powróciła.

Cześć takim ludziom, którzy się staraniem podobnych męczenniczek gorliwie zajmowali, cześć im od nas niechaj wieczna będzie! —

MORDERSTWA

dokonane na

**Karolu Kotarskim, Mandataryuszu Grzywińskim i 26
innym osobach,**

w Oleśnie, wsi Obwodu Tarnowskiego, poniższą prośbą do Tronu bezskutecznie zanesioną objęte.

Najjaśniejszy Panie!

Wiele już upływa posępnych, pełnych boleści miesięcy, od czasu, jak najuniżej podpisana, za pośrednictwem poczty przesłała do podnożka tronu Waszój C. K. Mości swoje podanie, błagając w niem o sprawiedliwość za dokonane morderstwo na osobie jój małżonka, Karola Kotarskiego. Podanie to brzmiało jak następuje:

„Z serca kobiety, rozdartego boleścią i zwątpieniem, powstaje głos nieopisanój żalości, wywołanój straszliwém przeznaczeniem, Ohy głos ten poruszył ową stronę serca Waszój C. K. Mości! która nigdy jeszcze nie zostawiła żadnego nędzarza bez pomocy, a bez pociechy nieszczęśliwego!! Prerażające wydarzenia ostatnich czasów, jakie miały miejsce w niektórych okolicach Galicyi; a mianowicie w Cyrkule Tarnowskim, z zupełną okropnością przeszły bezbronne serce najuniżej podpisanej; a gdy takowe wydarły jój małżonka, dzieciom ojca, a całej rodzinie cześć i majątek, wszelki przez to zerwały węzeł, na jakim był tejże materialny i moralny, był umocowanym!

Chwile te fatalne a straszliwe w swych skutkach, rozpoczęły się z dniem 18 Lutego 1846 r. z dniem, w którym wielu do-

mowników Karola Kotarskiego, dziedzica dóbr Oleśna, w Cyrku-
le Tarnowskim, wieczorem samowolnie dwór opuściło.

W dniu tym po południu, doniesiono mężowi podpisanéj,
iż chłopstwo, wszędzie uzbrojone zgromadza się w skutek rozsze-
rzonych wieści: „*że szlachta rozpoczęła powszechną rzeź ludu
wiejskiego.*“ Chociaż mąż podpisanéj wzgardził tą wiadomością i
jéj pochodzeniem, okazywała się jednak potrzeba chwycenia się
wszelkich stósownych środków, dla uspokojenia wzburzonych u-
mysłów. W tym zamiarze udał się Karol Kotarski w d. 18 Lu-
tego, w towarzystwie plebana z Bolesławia, X. Witskiego, do wsi
Ćwikowa, która to wieś jest najludniejszą, i gdzie tłumienie się
uzbrojonego chłopstwa już miejsce miało. Usiłował on całą swo-
ją wymową, prośbami i przedstawieniami, uspokoić umysły, lecz
ponimo tak przekonywających dowodzeń, usiłowania pozostały
bez skutku; chłopstwo zajmowało ciągle swoje groźne stanowisko,
a niedając żadnego namowom posłuchania, aby się w zgodzie i
spokojnie rozeszli, zmusiło swojego dziedzica do powrotu.

Pod czas gdy mąż najuniżeniej podpisanéj traktował z
chłopstwem z Ćwikowa, oddział c. k. straży finansowej prze-
jeżdżał w kierunku ku Tarnowu, a że zebrana tłuszcza uzbrojo-
nego chłopstwa w Ćwikowie, nie uszła jéj uwagi, przeto straż
powyższa przybywszy pod Tarnów, zarapportowała oficerowi od
kawalerji, dowodzącemu tamże widetą, że: „*P. Kotarski zgroma-
dził kilka tysięcy chłopstwa, i na czele tychże, ciągnie przeciw
Tarnowu.*“ Wiadomość ta lotem błyskawicy rozeszła się po mie-
ście cyrkularnóm i bez wątpienia spowodowała owe nieszczęścia,
którym trudno naznaczyć nazwisko, a które tak straszliwie do-
tknęły podpisaną i jéj rodzinę.

Rozinowę straży finansowej z oficerem kawalerji, slyszal
Hubicki, aktywaryusz sędziego policyjnego, państwa Tarnowa, któ-
ry w sprawie urzędowej, powracał z Lisiéj góry.

Dzień 19 Lutego 1846 r. przeszedł spokojnie dla męża
podpisanéj; w dniu zaś 20 t. m. rodzina najuniżeniej podpisanéj
miała doznać okrucieństwa wyuzdanej wściekłości i namiętności
rozpasanych.

W dniu tym pełnym przeznaczeń, około 10 godziny z rana, spokojne mieszkanie małżonką najuniżeniej podpisanéj, napadła niezliczona massa rozjadłego chłopstwa uzbrojonego w pałki, widły, cepy i kosy, oznajmując mu, że ma z nimi iść do Tarnowa. Kotarski odpowiedział, iż jest do tego gotowym, sam do Tarnowa pojedzie, a jako niewinny do nich powróci. Pomimo tych przedstawień, rozjadła tłuszcza wywlekła małżonką najuniżeniej podpisanéj, z mieszkania, ciągnąc go ku probostwie, a z tamąd do austeryi w Oleśnie, gdzie odbywano naradę, komu mają polecieć odstawienie Kotarskiego do Tarnowa.

Po zapadłej uchwale, podczas której narady włościanin z wsi Świebodzina, Grzegórz Mastalerz, nalegał na Karola Kotarskiego o danie mu pieniędzy, czemu tenże w tak groźnych okolicznościach zadosyć uczynił, mąż podpisanéj, jego mandataryusz i pleban wsiedli na wóz przygotowany. Zanim jednak z miejsca ruszono, przyjechało kilku uzbrojonych chłopów z Łukowa i Odporyszowa, z wielkim krzykiem wołając do téj tłuszczy: *„Zabijcie go i zawieźcie do Tarnowa, tam was dobrze nagrodzą, gdyż wyznaczono 1000 Złr. nagrody za głowę Kotarskiego.“*

Straszliwy ten okrzyk, był stanowczym i tenże sam włościanin z Swiebodzina, Masztalerz, który wymógł pieniędzy na Karolu Kotarskim, kozicą od pługa potężnym ciosem uderzył w jego głowę. Na znak ten morderczy, rzuciła się rozjadła tłuszcza na nieszczęśliwe ofiary, wóz przewróciła i tak długo różnemi narzędziami zabójczemi biła niewinnych, dopóki Karol Kotarski i mandataryusz Grzywiński pod morderczą ręką tych złoczyńców ducha nie wyzioneli. Pleban z Olesna, Kaznowski wspólnie bity, lecz nie na śmierć, był naocznym świadkiem tych czynów Kaima i według tegóż oświadczenia, jako i wielu ohecnych z chłopstwa jako to: Sebastyana Koryty, Pawła Kiwior z Oleśna, obydwóch z tejże wsi wojtów i Cwikowa, najwięcej odznaczyli się przy zamordowaniu Grzegórz Mastalerz z Swiebodzina, Szymon Kogut z Swarzowa, Jan Ostrowski z Podkorza i dwóch Rachmaciejów. Ostatnie śmiertelne razy, zadali Grzegórz Mastalerz i Kaczówka z Swiebodzina.

Po dokonaniu tego morderstwa, które wściekłość chłopstwa do najwyższego podniosło stopnia, rozdzieliła się tłuszcza; jedna część uderzyła na plebanią, a druga na dworskie zabudowania.

Wtedy to dopiero rozpoczęły się mordy i rabunki, straszliwe jak Orkan, a okropne, jak z niego powstające zniszczenie. 26 osób z okolicy przybyłych, zostało wyciągniętych z swych mieszkań i pomordowanych w tymże dniu rękami tych oprawców; poczem niezwłocznie, gdy ta rozpasana horda nie miała już więcej krwi do przelévania, rzuciła się na mienie męża podpisanój i wszystko, co tylko posiadał w meblach, srebrach, garderobie, bieliznie, obrazach, naczyniach gospodarskich, dobytku inwentaryalnym i zaprzęgowym, niemniej w dokumentach, aktach, spisach długów, kwitach, wykazach udzielonych pożyczek i t. d. wszystko to zrabowano i zniszczono, a nawet pustoszone same zabudowania, mianowicie drzwi, okna, malatury, słowem wszystko, tak, że podpisana wskutek tego strasznego rabunku, który nawet i drzew nie oszczędzał, utraciła wraz z pożyczką udzieloną włościanom do 20,000 Złr. wynoszącą, a której ślad zaginął przez zniszczenie papierów, do 50,000 Złr.

Wszystkie tu opisane zdarzenia, najuniżeniej podpisana świadkami udowodnić może.

I taki to los okropny spotkał dziedzica i obywatela Stanów Galicyi, a to w XIX wieku, wśród Państwa systematycznie urządzanego, wśród zupełnego i najgłębszego pokoju, wśród jego własnych poddanych, na własnym gruncie, a to z ręki tych, którym z poświęceniem własnego swojego majątku, tak jest, bo nawet z widocznym tegóż uszczerbkiem, podawał rękę pomocy w nędzy i potrzebie, którym nigdy nie dał przyczyny do skargi, a których utwierdzał w wierności i wdzięczności ku Najwyższemu Rządowi, za które to udowodnione ludzkie postępowanie, w skutek Najwyższego rozkazu przez władze c. k. urzędu cyrkularnego w Tarnowie, pochwalnym dekretem mężowi najuniżeniej podpisanój doręczonym, oznajmione temuż było Najwyższe zadowolenie Waszój c. k. Mości!!

W niewinność mego męża, pod każdym względem, wie-

rze tak głęboko, jak w wszechmocną potęgę odwiecznej Opatrzności; a przecież znaleźli się ludzie bez sumienia, którzy, dla dopełnienia miary mych nieszczęść, nie skalane imię mojego męża, już w grobie będącego, piętnują haniebnym nazwiskiem zdrajcy.

Gdy już najuniżeniej podpisana, przedstawiła straszliwe nieszczęścia które ją dotknęły, niech jej teraz najlaskawiej dozwoloném będzie, wyjaśnić szczegóły, które niewinność jej małżonka bliżej wykazać mogą.

Mąż podpisanej, jako człowiek uczciwy, posiadał przez wiele lat bez przerwy poważanie w okolicy, a jako wierny i pewny poddany, zaufanie wysoko postawionych członków rządu. Charakter jego oceniał głos publiczny jednomyślnie, a takowy zjednał mu powszechne zaufanie. Nie podobną jest rzeczą, aby się okazywał innym, jak był w samej istocie, a gdyby przypuszczać i tak było, to przynajmniej jego charakter w domowém życiu, mianowicie przed własną małżonką jawnym by się okazać musiał, z jakinżeby przeto czołem, podpisana mogła występować przed tronem Waszój C. K. Mości, w obronie niewinności swojego męża, gdyby w nim wady spostrzegła? Twierdzenie moje może się wydawać wątpliwém, stronném lub zupełnie nie prawdziwém, a jednak jest prawdziwém, w mojem wewnętrzném przekonaniu. Z resztą wypadek ten uważając z stanowiska praw wypływa ztąd, że ten tylko sądzonym być może, kto jest o jakową przekonany zbrodnią. Małżonek zaś najuniżeniej podpisanej, przeciwnego doznał obejścia; został osądzony, nie będąc przesłuchanym, a ukaranym nie będąc osądzonym. A jakież to sąd straszliwy! jakież to okropne spełnienie wyroku śmierci!... O!. krew ścina się w żyłach, a szaleństwo umysłowi zagraża na te wspomnienia okropne! — Któż jest ten, który w tych pełnych przeznaczeń chwilach, uważał się za najsprawiedliwszy z wszystkich Rządów i spełnił urząd sędziego na najszlachetniejszym obywatelu stanu? Oto włościanin! Ten, co przez długi czas jątrzone fałszywemi pogłoskami i ułudnemi przedstawieniami, zaparł się wszelkich uczuć ludzkości! Któż nadał prawu włościaninowi narzucać się na sędziego w swój sprawie? Żadnego on nie miał

przekonania o niewierności ku Waszej c. k. Mości, gdyż nie miał do tego powodu. Czy potrzeba? takowój nie było, gdyż spokojny, bezbronny, a podczas poruszeń w zaburzeniach w domu siedzący człowiek, nie mógł być niebezpiecznym. Czy uczucie dla prawa? to najmniej, gdyż jak się wyżej powiedziało, żadnego nie było przekonania. Czy rozkaz urzędu cyrkularnego? O potężny Stwórco! jakżeby głęboko w tój chwili ludzkość upadła, gdyby wydała rozkaz podobny!! Jednak jest niepojętą rzeczą, że inordercy, pokaléczone zwłoki swoich powiększėj części niewinnych ofiar, z największém przed karą bezpieczeństwem, sami przywozili do miasta cyrkularnego, a dających jeszcze niejake znaki życia, w obecności władz cywilnych i wojskowych, do reszty dobijali, jak to poświadczają wszyscy mieszkańcy Tarnowa.

W najstarożytniejszém państwie Europy, prawo tylko orzekać może o życiu poddanego, który ma zaszczyt zostawać pod berłem Najjaśniejszego domu Cesarzów Austrii, żadna jednak z wiadomych dotąd ustaw krajowych, nie wskazuje zarazem na utratę życia, czei i majątku. Mąż mój nie był wyjętym z pod prawa, tak zaiste, on, jako człowiek i obywatel stanowy, miał wszelkie prawo do sprawiedliwości za sobą, on swoim postępowaniem zjednał sobie zaufanie, gdyż w całej okolicy rzadkim był spór między szlachtą a włościanami, którego by nie zagodził małżonek mój. Stanowisko jego względem Wysokiego Rządu, nigdy nie było dwóznaczne, lecz jawne, uczciwe i szczére; był bowiem za uczciwego człowieka uznany i poważany. Nawet gdy powszechne pogłoski o zamachach przeciw istniejącemu porządkowi publicznej spokojności zatrważającemi się stały, zaufanie urzędników do męża podpisanój, żadnej nie ulegało zmianie, gdyż nigdy nie nie przedsięwziął takiego, coby takowe naruszyć mogło. Nawet w samych groźnych dniach Lutego, które miały być dla niego ostatniemi, jednakowém było postępowanie małżonka podpisanój, gdyż w wierności ku Rządowi, aż do ostatniej przetrwał chwili. Ufając swój niewinności i opiece praw, których dążność żadnego obywatela nie wydaje na pastwę wściekłości stronnictw, lecz ma być obroną, przed nastąpić mającém niebezpieczeństwem, miał

nadzieję, iż swą obecnością pomiędzy wiejskim ludem spokojność i porządek utrzymać zdoła, lecz niestety! szlachetne to postanowienie przypłacił życiem, czią i majątkiem!... Gdyby był mąż podpisanej opuścił swoich poddanych, w owych chwilach niespokojności i zaburzeń, byłby przynajmniej uratował życie, że zaś zaufał opiece władz, której się nigdy nie okazał niegodnym, i pozostał wśród chłopstwa, utracił wszystko, a to w chwili, gdy słusznie spodziewał się od władz krajowych zabezpieczenia swojego życia i majątku.

W niniejszej najpokorniejszej prośbie wskazane morderstwa i rabunek majątku niewinnego obywatela stanowego, w myśl praw karnych, obowiązujących w państwie Austryackiem, jako zbrodnie są uważane, a których władze, nawet bez poprzedniego zażalenia, z urzędu obowiązane są dochodzić. — Lecz o zgrozo! w wypadkach powyższych prawo to wcale zastosowaniem nie zostało, a nawet z strony c. k. Trybunału Tarnowskiego, pod czas opieczutowania resztek majątku i pomimo zanesionej skargi z strony podpisanej, Sąd nie przedsięwziął przeciwko zbrodniarzom; mordercy i rabusie, tak tu jak i po całym kraju chodzą bezkarnie, zatrzymują dotąd zrabowane przedmioty, a nawet odważają się grozić, że i całą rodzinę wytepią; przed niebezpieczeństwem utraty życia wraz z swemi dziećmi, nie może podpisana odważyć się udać na wieś, nie może ratować reszty pozostałego majątku; największa zagraża jej nędza z biędnemi sierotami; ze zniszczenia papierów bezsumienni ludzie ciągną korzyści, obciążają majątek długami, które może już i pospłacaniami zostały. Według mojego przekonania, zamordowany mój mąż, swoim własnym poddanym w ostatnich latach potrzeby rozdał wsparcia do 20,000 Złr. k. m. lecz przez spalenie papierów, wszelki ślad tych zapomóg zaginął.

Moje położenie jest nie do opisania, dla tego zmuszoną jestem niniejsze przedstawienie strasznego nieszczęścia, jakiemu ulegam bez winy wraz z dziećmi, złożyć w najgłębszej pokorze u stóp Waszej cesarsko-królewskiej Mości i najuniżeniej prosić:

1) Za pomocą stosownego śledztwa pociągnąć do odpowie-

działności sprawców tego nieszczęścia, to jest tych, którzy chłopstwo podburzali i upoważniali do rabunków i morderstw, i takowych przykładnie ukarać.

2) Poszukiwać morderstwa i rabunku, dokonanych na osobie i majątku zabitego mojego męża, morderców ukarać, i takowych wraz z podżegaczami skazać solidarnie na zwrót szkody poniesionej przez to morderstwo i dopuszczenie się rabunku. “

W cierpliwej pokorze i z zupełnym zaufaniem, najuniżeniej podpisana, w swoim nieszczęściu, oczekiwała najwyższej cesarskiej decyzji; gdy jednak tak wiele ubiegło miesięcy, które dla podpisanej w nieustannej upływały trwodze, a codziennie boleśniejsza ogarnia ją niespokojność, wzmocniona troską, że prośba powyższa, czy to wypadkiem lub z umysłu mogła nie dojść Waszój C. K. Mości; chociaż najsilniejsze jej zaufanie w władnącą sprawiedliwość, nie przypuszcza tych myśli, aby prośba bez skutku pozostać miała, przeto nie więcéj niepozostaje podpisanej, jak powtórzyć to jej bolesne wołanie i błagać o sprawiedliwość, która jej pewnie wynierzoną zostanie, skoro wiadomość o przerażających czynach okrucieństwa, dojdzie najwyższej wiedzy Waszój C. K. Mości.

Dla bliższego poznania owéj haniebnéj tkaniny intryg i podstępów, którój ofiarą padł mąż podpisanej, inogą następujące posłużyć okoliczności późniéj zebrane:

a) Jeszcze przed nieszczęsnymi Galicyjskimi wypadkami Lutego, służący w Tarnowie osiadłego starozakonnego Izaaka Luxenberga, wraz z mieszczaninem z Dąbrowy, Tomaszewskim, przybył do parowéj łaźni w Tarnowie i w śród rozmowy zapytał go, czy się obawia rewolucyi; na okazany przestrach zapytanego, rzekł służący Luxenberga: *„nie lękaj się, mój pan już temu zapobiegł, od dawna bowiem przestał listy do miasteczek i do Kahatów, w skutek których Żydzi z tychże rozeszli się po wsiach, zastraszając chłopstwo, iż zamierzają ich wymordować.“*

b) W dniu 19 Lutego, gdy już kilkuset pomordowanych i pokaléczonych do Tarnowa zwieziono, wpadła pewna żydówka w Tarnowie pomiędzy chłopstwo, wołając do nich: *„wszystko już*

„będzie dobrze, gdy jeszcze pozabijacie Kotarskiego, Górskiego i „Prospera Konopkę, i przywieziecie ich do Tarnowa.“ Wielu w Tarnowie znajduje się bezpośrednich świadków, którzy to słyszeli.

c) Rękawicznik z Tarnowa, Hossakowski, może zaprzysiądz, iż starozakonny Izaak Luxenberg w d. 19 Lutego t. r. mówił mu w sklepie tarnowskiego kupca, Antoniego Beyer, że na głowę Karola Kotarskiego nałożono cenę 1000 Złr.

d) Soltys z Ćwikowa jawnie utrzymywał, jako przed komisyją kryminalną wyznał i zaprzysiągł, iż gdy chłopstwo z Ćwikowa wsi należącój do Karola Kotarskiego, w d. 18 i 19 Lutego t. r. przybyło do Tarnowa, najstarszy także w randze wojskowój, z siwym włosem, morderstwo najwyraźniej im polecał.

e) W tymże czasie fatalnym, Tomasz Nidecki i Ostrowski widzieli i słyszeli, jak oddział chłopstwa biegał po ulicach Tarnowa z okrzykami: „spieszmy się, gdyż za głowę Kotarskiego naznaczono 1000 Złr. c. m.“

Gdy przeciw spokojnemu, wiernemu, i bezbronnemu w domu zostającemu poddanemu, takie sidła, takie fałsze i namowy skierowanemi były, uleść im przeto musiał; naprzód był on już przeznaczony na pastwę nieochybnój śmierci; osądzonym bez wysłuchania i w skutek tego straconym, a każde ludzkie uczucie dreszczem się przejmie na myśl, przez kogo i w jaki sposób? Wdowa nieszczęśliwego byłaby także uległa takiemu ogromowi nieszczęścia, gdyby ją niepocieszała myśl, że sprawcy takowego ulegną sprawiedliwości na tym i tamtym świecie i że każdy z tych przed najwyższyni trybunałem sędziego stanąć i rachunek zdać musi.

Głuche pogłoski dochodzą do najuniżeńiej podpisanėj, że, czy to dla zwalenia winy na nieżyjącego, już uszłego ziemskiej odpowiedzialności, czy to z innego jakiego powodu nieznanego podpisanėj, Karol Kotarski po śmierci oskarżonym został przed komisyją śledczą, a nawet niano złożyć kompromitujące papiéry, które od tegoż wyjść miały. Wewnętrzne, na wieoletniem pełniem zaufania wspólnem pożyciu ugruntowane

przekonanie, powoduje najuniżeniej podpisaną do wyznania, że jej mąż jedynie uczciwemi i najwyższemu tronowi wiernemi uczuciami przejętym był i że żadne pisma nie mogły być złożone, któreby przeciwko niemu świadczyły.

Lecz umarły bronić się nie może, łatwo jest przeto spotwarzyć go, jeżeli ściśle śledztwo dochodzić nie będzie początku oskarżenia i rzetelności pism wzmiankowanych; o rozpoczęcie którego to śledztwa jak najspieszniej błaga najuniżeniej podpisaną, gdyż jest jej świętym obowiązkiem oczyścić pamięć jej zamordowanego męża; Karol Kotarski bowiem zarówno i w grobie jest bez plamy, jak był bez plamy i w życiu, będąc powszechnie kochanym i szanowanym.

Wasza C. K. Mość jesteś najwyższym namiestnikiem sprawiedliwości Boga na ziemi; niech więc i w tym razie sprawiedliwość podpisanej wymierzoną zostanie, tak co do oczyszczenia pamięci Karola Kotarskiego, jak co do pociągnięcia do kary zbrodniarzy tudzież wynagrodzenia szkód zrządzonych.

Tarnów d.... Grudnia 1846 r.

Podolecki.

Do Uzupełnienia Rzezi.

Zbierając wszystko, co tylko posłużyć może do wyjaśnienia czynów, i nie czepiąc się żadnego stronnictwa, nie możemy pominąć artykułu wyjętego z czasopisma *Réforme*.

Major Podolecki jest szanownym obywatelem, którego świadectwo zasługuje na zupełne zaufanie. Oto jest jego list:

„Uszedłszy Austriackiej rzezi i więzień, mam sobie za święty obowiązek dla tak wielu nieszczęśliwych ofiar mordów, wiernie opowiedzieć owe okrucieństwa, których byłem naocznym świadkiem.“

„To tylko opowiem, co sam widziałem, bez względu na pogłoski; byłem zaś świadkiem bardzo małej części katastrofy, która w dziejach tych zbrodni jest niesłychaną.“

„Opuściwszy Lwów w d. 16 Lutego, podczas mego prze-

jazdu w d. 19 t. m. przez wieś Jodłowę w Cyrkule Jasielskim, bardzom się zdumiał widząc tam panujące wzburzenie, wywołane pomiędzy mieszkańcami szalonemi pogłoski, z niewiadomego wychodzące źródła, które głosiły, iż *we wsi Demborzynie, szlachta morduje swoich włościan*. Wielu z mieszkańców Jodłowy spiesznie się tam udało, i w krótkce powróciło, nie znalazłszy najmniejszego nieporządku; *lecz pogłoski te były smutnem i wstępnem preludium, do burzy dnia następnego.*“

„Wieczorem tegoż dnia przybywszy do dworu N... którego właściciel był nieobecnym, postanowiłem wspólnie z p. Alexandrem Zdzińskim, który przybył przedemną, tamże przenocować.“

„Następnego dnia, stosownie do celu mojej podróży, musiałem wracać tą drogą którą przybyłem. Przybywszy do Jodłowy, natrafiłem na zgromadzoną tamże zgraję uzbrojonych w kossy, widły i cepy. Z początku sądziłem, iż to będzie powstanie rewolucyjne, które za spiesznie wybuchło, zostałem jednak w krótkce gorzko odczarowany, gdy hufiec z wrzaskiem otoczył mnie, wołając, iż działa z rozkazu rządu. Napróżno żądałem być zaprowadzonym przed dziedzica. Odpowiedziano mi: „Wy jesteście wszyscy łotry, chcecie lud wytępić, jużesiny dwóch z waszych aresztowali.“ Na szczęście, przybył Sołtys, kazał mnie zaprowadzić do Demborzyna przed komissarza cyrkularnego, który tam się znajduje dla przesłuchania podejrzanych. Po krótkiej tamże drodze wielu z chłopstwa, których postawa wojskowa zdradzała urlopników, uczyniło wniosek skończenia ze mną od razu, aby niepotrzebowali mnie dalej eskortować; Sołtys jednak na to nie zezwolił, sam siadł do mnie do sanek i towarzyszył mi do Demborzyna.“

„Tam kilka set uzbrojonego chłopstwa otoczyło dwór i drzwi izby sądowej. Zaprowadzono mnie przed sędziego. Żołnierze trzymali straż przy wchodzie, landsdragony byli w kordegardzie, a w obecności komissarza Hojrowskiego i oficera od piechoty wylamywano komody i szafy, gdyż dziedzic zabrał klucze w czasie ucieczki swojej.“

Po zwykłych zapytaniach o imię, nazwisko, stan, stopień i cel mojej podróży, komissarz kazał mnie zaprowadzić do pobocznej izby, gdzie znalazłem okutych dwóch młodych ludzi. Landsdragony przetrzęśli mój kufer i moje suknie, a jakkolwiek tam nie podejrzanego nie znaleziono, oświadczył mi Hojrowski, iż muszę być zaprowadzonym do Jasła, stolicy tegoż Cyrkułu.

„Po południu udaliśmy się w drogę. Wyprawa ta składała się z wielu wozów i sanek, na których prócz komissarza Hojrowskiego, oficera, 24 żołnierzy z piechoty i około 10 landsdragonów, znajdował się dziedzic miejscowy, Bobrowski, wiele kobiet, dzieci, ksiądz i dwóch owych młodzińców okutych. Ja dostałem się pomiędzy dwóch landsdragonów, którzy na każde moje poruszenie baczność dawali.“

Tak jechaliśmy przez dwie lub trzy wsie, zanieśmy się dostali na gościniec między Siłzywem a Jasłem. Wsie i wszystkie drogi były strzeżone przez uzbrojone tłumy. Co chwila stawał komissarz z landsdragonami, dla dawania tajnych zleceń chłopstwu.

„Przy przewozie pod Jaworzem krwawy widok przejął mnie dreszczem: dwa potłuczone ciała leżały na chłopskich saniach wyprężonych, stojących niedaleko gościńca. Jeden z tych nieszczęśliwych jeszcze oddychał; był to leśniczy z okolicy, Künzel.“

„Przebywszy na drugą stronę rzeki, napotkaliśmy trzech włóścian na bardzo pięknych koniach. Skoro tylko spostrzegli bagnety żołnierzy, niebawem się do nas przyłączyli i *urzędnikom poddawali niektóre srebra i wiele z odzieży*. Ich zakrwawione ręce i suknie świadczyły o właśnie dokonanej zbrodni.“

„Później napotkaliśmy wiele gromad w pobliżu gościńca i z wielu stron ciągnących, które zdawały się kogoś szukać. Skoro nas spostrzegły, zbliżały się dla oddawania swych łupów.“

„Przed austeryą w Kamienicy, wielki tłum był zgromadzony. Pociąg nasz zatrzymał się. Hojrowski zsiadł i wkrótce potem dwie z nieszczęśliwych kobiet do nóg mu się rzuciły, prosząc go o pomoc w ratowaniu pewnego człowieka, który był jedynym synem, a drugim mężem. Wkrótce potem przybył nie-

szcześliwy od kobiet przyprowadzony z austeryi, lecz z twarzą tak pokalęczoną i potłuczoną, iż nie można było poznać jój rysów. Wrzucono go do sanek wraz z jakimś zranionym starcem, których landsdragon do sąsiedniego prowadził dworu; kobiety szły pieszo. Landsdragon wkrótce powrócił, donosząc, że dwór, gdzie pozostawił rannego i kobiety, zupełnie jest zniszczonym i że w tym ani sprzętów, ani okien ani drzwi już nie ma.

„Prócz tój ofiary, znaleźliśmy jeszcze pięć zwłok na dziedzińcu austeryi w Kamienicy. Między temi był jeden z moich przyjaciół, Wiktor Bogusz. Jeszcze oddychał gdyśmy przybyli, wkrótce jednak zakończył. Jeden z morderców głośno przechwalał się przed komissarzem i w obecności całego zgromadzenia, iż zabił Wiktora Bogusza.“

„Tak, panie komisarzu,“ rzekł on, „ja, Tomasz Jardys ze wsi Kamienicy, zabiłem Bogusza własną ręką; ja, który służyłem dziesięć lat Cesarzowi.“ Komissarz i landsdragony rozmawiali z tym bandytą bardzo grzecznie i poufale.

„Już było dosyć późno, gdyśmy do Jasła przybyli. Zaprowadzono mnie do miejskiego więzienia, z dwoma innemi więźniami, podejrzanemi o rewolucyjne zamiary; których, pomimo mocnych więziennych murów i licznej przy drzwiach straży, w łańcuchy okuto.“

„Nazajutrz zaprowadzono mnie do urzędu cyrkularnego. Tam rozpoczęto przez innego komissarza protokół, tyczący mojego aresztowania, a gdy znalezione papiery w moim kufrze przekonywały iż miałem do czynienia w Trybunale Tarnowskim w sprawie processowej, a nareszcie gdy dwóch urzędników osobiście mnie znających poświadczyło tożsamość mojej osoby, zostałem przeto uwolniony i otrzymałem paszport do powrotu w Cyruł Złoczowski, lecz tam udać się niechciałem, *gdyż obowiązek w inne mnie miejsce powoływał*. Starłem się przedłużyć tamże mój pobyt, co mi za pomocą różnych pozorów, dozwolono do 26 Lutego, chociaż Przybylski, Starosta Jasielski, sam mi rozkazał, abym to miejsce opuścił.“

„Podczas rozmowy z tym prostym, krwi chciwym czło-

wiekim, opowiedziałem mu okrucieństwa, których byłem świadkiem w mojej do Jasła podróży, nadmieniałem także o okropnych wyrazach mordercy Tomasza Jardys, i wspomniałem, iż to łatwo jest położyć tamę tym okrucieństwom, gdy chłopstwo ślepe posłuszeństwo przyrzekło urzędnikom, żołnierzom i landsdragonom. Odpowiedział na to prawie wściekle: „Samiście sobie winni, moi panowie; wcale was nie żałuję.“ Napróżno nadmieniałem że to się mnie nie dotyczy, gdyż nie należę do tego Cyrkułu i że pierwszy raz w życiu mam przyjemność go widzieć. Odpowiedział ze wzrokiem Tygrysa: „Pah! Pan jesteś taki jak i drudzy; ja za nadto was znam wszystkich, dla tego udaj się pan w swoją drogę!“ Podczas mego w Jasle pobytu, codziennie dostarczano tamże po kilkanaście zabitych i potłuczonych ciał, prócz wielkiej liczby rannych. Pomiędzy zamordowanymi spostrzegłem dziedzica Denkera z Gogolewa i jego syna, Alexandra Zdzińskiego, Piarskałę, 9 letniego chłopca któremu oczy wyłupano, wielu służących i obcych wyrobników.“

„Między rannymi był Wincenty Pol, jedna z gwiazd naszej literatury, jego brat Józef, Tytus Przenicki, pani Pol, małżonka poety, Jordan z swoją małżonką i Mios niegdyś francuzki oficer za cesarstwa.“

„Wozy z więźniami, rannymi i zabitymi, które od samych morderców eskortowane były, zatrzymywały się ciągle przed urzędem cyrkularnym, gdzie urzędnicy i landsdragony odbierali żyjących, niektórych z tychże uwalniali, a innych wrzucali do więzienia. Trupy oddawano mordercom na powrót, z rozkazem pogrzebania ich na tém miejscu, gdzie mord był dokonany. Widziałem umierających na wozach, przed urząd cyrkularny przywiezionych, którzy żądali N. Sakramentu, przyjmując takowy w obecności swoich morderców, którzy niebawem z zwłokami na powrót odjeżdżali.“

„Pomiędzy więźniami panowała najokropniejsza nędza. Ranni i umierający, bez różnicy razem powrzućceni byli. Dopiero wieczór przed moim z tego miasta odjazdem, piwnice na więzie-

nia zamieniono, przemurowawszy te wielkie podziemne przestwo-
ry na małe cele.

„W czasie tego, miasto szybko się zapełniało chroniącymi
się dla pobliżkości swego mieszkania, a którym częstokroć przy
pomocy własnych włościan, udało się ująć krwawej łaźni. Po-
wtarzam, że swoich własnych poddanych, gdyż tak systematycznie
rzeź tę poprowadzono, iż każda gromada przeznaczoną była do
wyćpienia mieszkańców sąsiedniego dworu, nigdy zaś swojego
własnego dziedzica. Skoro chłopstwo zmiarkowało, iż chcą rato-
wać życie swych panów, niebawem wzywało kilka gromad, aby
w połączeniu działać przeciwko tymże. Jest to fałszem i błędem,
jakoby takowe okrucieństwa popełniane były przez chłopstwo po-
wodowane do zemsty z przyczyny ucisku doznawanego od pa-
nów.“

„Galicyjski szlachcic wiejski był tak odosobnionym, a
wszystkie jego kroki przez wpływ rządu, tak bezskuteczne, iż wło-
ścianinowi ani dobrego ani złego wyrządzać nie mógł. Żaden inny
ucisk nie był możebnym, jak tylko austriacki. Galicyjscy posia-
dacze gruntu, tak byli dalekiemi od ucisku swoich poddanych,
iż po wielokroć razy na zgromadzeniu stanów w Łwowie pod-
noszono głosy o *usamowolnienie włościan*.“

„Nie podpada najmniejszej wątpliwości, iż rząd austriacki
spowodował morderstwa szlachty za pomocą haniebnych jak i
bezwstydných potwarzy, jakoby szlachta sprzysięgła się na wy-
ćpienie chłopstwa. Z początku włościanie nie byli przejęci żądzą
rabunku, *gdyż wszystko, co zrabowali oddawali landsdragonom i*
urzędnikom, byli bowiem przeświadczeni, jako działają w upra-
wnionej konieczności. Równali się pod tym względem ludowi
w Jeruzalem, który w swoim zaślepieniu mordował proroków, i
to tych, którzy usiłowali przywrócić mu wolność, własność i pra-
wa polityczne.“

„W d. 26 Lutego ogłoszono w Jasle prawo doraźne, rozka-
zano także, aby wszyscy podejrzani do godziny 3ej po południu,
miasto opuścili. Niepodobna jest opisać przestrachu i rozpacz-
nieszczęśliwych, gdy z swojego ostatniego schronienia wygnani

zostali, aby oddać się w ręce wściekłego motłochu, który zasmarkował w morderstwach wszędzie rabując i pustosząc.“

„Niektórzy z nich prosili o paszporta do innych austriackich prowincyj, nie zaś do Galicyi, a chociaż Cyrkuł żadnego nie miał prawa do wydawania takowych, zadosyć jednak temu uczynił z przyczyny aby miasto od wszystkich tych uwolnić, których się obawiano, a nie miano dostatecznych powodów do uwięzienia tychże.“

„Rząd wszystkie te okrucieństwa wykonywać kazał, nie biorąc w tém udziału. Każdy jednak szlachcic, którego chłopstwo przywiozło, jak zbrodniarz był traktowanym. Tych zaś, którym udało się ująć rąk morderców, rząd nieodważył się więzić. Gdy ja także w tym smutném znajdowałem się położeniu, prosiłem wraz z innymi o paszport, i otrzymałem do Pragi, gdzie znalazłem sposobność ująć do Francyi, tego.... kraju, który obecnie jest jedynym przytułkiem dla Polskiego nieszczęścia.“

MORDERSTWO

dokonane na

Kasprze Bilińskim.

Kasper Biliński, obywatel i czcigodny starzec siedmdziesięcioletni zamordowany został w sposób podobny jak i inne ofiary tego czasu. Starzec ten nieoszkał w swojej własnej wsi, Raciechowicach wraz z syuem Kazimierzem wysłużonym rotmistrzem, którego morderstwo w podróży do brata swego Ludwika i napadnięcie we wsi Dąbrowicy już wyżej opisaliśmy. Kasper Biliński obarczony wiekiem, rzadko się z kim komunikował i kiedy syn go opuścił na kilka dni odwiedzając brata, on spokojnie podług zwyczaju swego w domu zostawał, nie wiedząc co się na świecie dzieje. Wyglądał tylko rychłego powrotu syna, którego pomocy w swojej starości zawsze potrzebował. Schorzały starzec czuł się w tych dniach lepiej, mógł się przechadzać po swoim pokoju.— Zbliżył się do okna, spojrzął, i kurzawa śniegu dzień pochmurnym robiła. Pomyślał o synie, że podróż ma niewygodną, ale zno-

wu po chwili namysłu rzekł do służącego: może też P. Kazimierz jeszcze dzisiaj nie wyjechał, bo tak brzydko na świecie, prawda miał tylko dwa dni zabawić, wiem że się śpieszy do mnie chorego, ale lepić żeby się zatrzymał do jutra na taką złą drogę. — Tak starzec mówił sam do siebie, myśląc o swoim kochanym synie, niewiedział że ten nieszczęśliwy już jest w oprawców ręk. Przeszedł się wiele razy po swoim pokoju, zażył lekarstwo stojące na biurku, spojrział jeszcze kilka razy w okno; lecz widział co raz większą kurzwę i mroczenie się na świecie i rzekł do służącego „no już pewno P. Kazimierz nie przyjedzie, nie mamy co czekać“. Ja się już położę — i przy pomocy służącego starzec udał się na spoczynek. Rozebrawszy się rzekł jeszcze do służącego. Dobrze zrobił, że nieprzyjechał na tak złą drogę, ja się też dzisiaj mam znacznie lepić i czuję w sobie prawie zupełne zdrowie. I starzec kolysany nadzieją rychłego powrotu kochanego syna, choć go dopiero dwa dni nie oglądał, zasnął spokojnie. Spij kochany Ojcze, pokrzep twoje siły na ciosy jakie cię spotkają po twém przebudzeniu, bo nie tylko nie ujrysz więcej twego ukochanego syna, ale i sam padniesz pod śmiertelnymi ciosami. Nazajutrz obudziwszy się uczuł się jeszcze zdrowszym, rzeświejszym, w nocy tylko miał sen przerywany jakienśi marzeniami jakoby obrazami go, zatrważającymi, — zrywał się kilka razy we śnie, bo mu się zdawało, że jakieś napady widział przed sobą. — Ubrał się nawet w tym dniu staranniej jak zwykle. Rozmawiał wiele ze służącym o gospodarstwie i rzeczach domowych, a potem dodał, no pana K. co chwila się spodziewajny. Lecz za ledwo wymówił te słowa, kiedy słyszy jakiś hałas przed domem, służący wybiega i już więcej niepowrócił, bo został przytrzymany. Była to zgraja nadbiegająca z okolie, która w sąsiedztwie spełniwszy swoje póżogi i mordy — napad uczyniła na R. Wrzawa co raz więcej się wszczyna, starzec spokojny i o niczym niewiedząc stanął i oknem wyjrzał — i z wielkim swoim zadziwieniem zobaczył bandę chłopów uzbrojonych w cepy, kosy i widły. Lecz nim się od okna oddalić zdołał, już tłuszcza ta wszędzie szturmuje: tłucze meble, szkła, porcelany i rozmaite sprzęty, — a znalazłszy

starca w jednyni z pokoi, rzuca się na niego zapamiętała bije bez litości, a wywlokłszy przed dom razy swoje podwaja. Splądrowawszy i zrabowawszy wszystko co tylko było do wzięcia w całym domu, pastwi się jeszcze nad bezbronny starcu, — a potem zbitego i ranami okrytego zawozi do Myślenic i w drodze bije go kijmi i innemi swemi narzędziami, nieszczęśliwy starzec we dwa dni potem z odniesionych ciężkich ran męczeńskie swoje życie zakończył.

Odpis własnoręcznego wezwania

Starosty Breindla,

bez Numeru.

Do pana Langeru komisarza cyrkularnego w Pilźnie.

Oдноśnie do mojego reskryptu z dnia dzisiejszego, wzywam pana, abyś we wszelki możebny sposób był pomocnym pani Bogusz z Siedlisk i Smärzowy w odzyskaniu skradzionych rzeczy, gdy ta wskaże panu osoby i miejsca, w których się znajdują te przedmioty. — Chciéj pan także ekonoma Stefana Wiśniewskiego, któren nie jest skompromitowanym, wspierać na przeciw gromadzie. — *Szeł zaś oświadczyć pan w mojem imieniu, iż spodziewam się tego po nim i oczekuję, że żadnego oporu stawiać nie będzie w prowadzeniu gospodarstwa przez tegóż ekonoma, a raczéj wraz z tymże zachęcać będzie gromadę do wspólnego dobra państwa i gminy.* Gdyby pani Bogusz chciała tam jechać osobiście, chciéj pan wziąć ją pod swoją opiekę i jéj towarzyszyć.

Tarnów d. 20 Marca 1846 r.

Breindl Starosta.

Podniesiono z Akt.

P.....

MORDERSTWO

dokonane na

Karolu Schlosserze

w d. 25 Lutego 1846 we wsi Łapanowie Cyркулу Bocheńskiego, oraz rozmowa jego z Berndtem, Starostą tegóż Cyркулу, na kilka dni przed śmiercią.

Karol Schlosser, rodem z Krakowa, a we wsi Łapanowie

w Cyrkule Bocheńskim osiadły od lat 14 piastował urząd sędziego policyjnego i poborcy podatków z 20 wsi; któremu to powołaniu czyniąc zadość z uczciwością i sprawiedliwością, niał wielu przyjaciół i nieprzyjaciół. Pozostałe od pracy chwile przepędzał na łonie swjej rodziny, to jest, ukochanej małżonki i 6 dzieci, które swemi pieczyotami starały się najlepszemu ojcu osładzać zmartwienia, doznane w czasie urzędowania.

Z końcem Lutego 1846 r. który, przez swe smutne wypadki stał się pamiętnym w dziejach Polski, dochodzi Schlossera wieść, że chłopci skupiają się po drogach, zatrzymują przejeżdżających i dopuszczają się różnych bezprawioów. Schlosser przeto jako sędzia miejscowy, zwołał chłopów i zapytał o przyczynę tego nieporządku; na pytanie takowe odebrał odpowiedź: „taki mamy rozkaz z Cyrkułu, aby każdego rewidować, czyli nie wiezie „broni, a gdyby kto wioził takową, to go mamy prawo powiazać i odwieść do Cyrkułu; a nawet jeszcze więcej nam wolno...!!“ Na takową odpowiedź, Schlosser uniesiony słusznym gniewem, jako sędzia zakazał im odbywania straży podobnych, mówiąc: „Wy zmyślacie, gdyż rozkaz takowy pierwój by mnie doszedł, a „ja nic o tém nie wiem; teraz odejdźcie, a zapowiadam wam, „iż was będę karał, jeżeli nie poprzestaniecie napastować ludzi „po drogach.“ Niespokojny jednak z przyczyny tak niecnego postępku Starosty, pocieszał swą małżonkę przerażoną nadużyciami chłopstwa, a jak gdyby przeczuwał swój skon okropny, najwięcej pieścił się z swojemi dziećmi.

Tegóż samego dnia w nocy, przybyło kilku włościan do kancelaryi Schlossera i pisarzowi tegóż oświadczyło: iż pod dowództwem finansowego strażnika udają się do wsi Sawy na rewizyą broni i ukrytych Polaków. Pisarz reflektując tychże, wzbraśniał im podobnego kroku, lecz gdy jeden z Wójtów pokazał własnoręczny rozkaz Starosty, przeto umilkł, a nie będąc w stanie tego wzbronić, zapytał się jedynie Wójta, wielu ich idzie na tę rewizyą; tenże odpowiedział mu: iż z pięciu wsi wszyscy włościanie pod dowództwem strażnika czekają pod karczma,

a oni zaś jako posłuszni, przyszli się opowiedzieć, — poczem, wyszli.

Aktuaryusz niechęć przerywać spokojnego snu swemu pryncypałowi, udał się na spoczynek, lecz bezsennie przetrwał aż do rana. Nazajutrz, gdy według swego zwyczaju Schlosser przybył do swojej pracy, pisarz opowiedział mu wypadek wczorajszy którego Schlossera zasmucił nie mało, w tém wpada służący, wołając: „już chłopci idą na nas!“ Wszystkich prawie zmysły odstały, gdy ujrzeli wracających rozbójników z nocnej wyprawy: Schlosser zaś, dla dowiedzenia się prawdy, postanowił jechać do Bocheńskiego Starosty.

Przyjechawszy do Bochni, udał się do Starosty Berndta i opowiedział mu co się dzieje w Dominium, jego władzy uległém, jako téż, że chłopstwo zasłania się rozkazem samego p. Starosty, „proszę przeto pana,“ mówił dalej Schlosser, „dla czego pan przez moje ręce tego nie uczyniłeś?“ Starosta na to: „Właśnie był tu wczoraj chłop ze skargą na pana, iż zabraniasz im odbywać po wsiach straży, którą im nakazałem; powiedziałem im przeto, iż gdybyś pan im tego jeszcze wzbraniał, mają prawo pana powiązać i tutaj odstawić. Nauczę ja was buntowniki powstawać przeciw rządowi,“ dodał Berndt z uniesieniem. P. Starosto!“ ozwał się Schlosser, „proszę się pierwój przekonać, jaki jest porządek w moich Dominiach i jaka tam spokojność panowała; ja z méj strony zaręczam, iż tam nikt nie myśli o żadném powstaniu, przecież bym to wiedział i uwiadomiłbym o tém pana Starostę, a gdyby i tak było, to przecież innym zaradzić można sposobem, a nie przez chłopstwo, któremu na daleś pan tyle mocy, iż wolno im robić co się podoba; rozumie się, iż wybić lub zabić swojego pana lub sędziego. Cóż przeto stanie się teraz, lub stać się może ze mną, który mam wprowadzić między niemi przyjaciół, lecz więcéj nieprzyjaciół? Proszę przeto pana Starosty o jaką straż bezpieczeństwa, bez której się nigdzie nie ruszę, a nawet ztąd nie ustąpię, i tém bardziej proszę o takową, gdyż mam u siebie pieniądze podatkowe, różne ważne papiéry Dominikałne, do których sam

„mnie pan upoważniłeś; A mając żonę i 6 dzieci, gdyby mi się
„co złego stało, na czymże by to ciążyło sumieniu, jeżeli nie
„na p. Starosty?”

Berndt słuchał z zimną krwią i odpowiedział mu: „Assy-
„stencyi żadnej nie dam, bo jój mam mało, ale jedź pan do do-
„mu i bądź spokojny, nie się tam panu złego nie stanie; nie
„zjeżdżajcie się zaś do miasta, gdyżby pospólstwo mogło uderzyć
„na takowe.”

Na te zaręczające słowa Starosty, uspokoił się Schlosser, i
odjechał spokojniejszy do domu. Na drodze, chłopstwo z jego
terytorium zastępuje mu drogę, i wypytuje zkąd jedzie, bez
przeszkody jednak przepuszcza. Przyjechawszy do wsi Wieruszyc,
napotkał bandę rozbójników, których jako sędzieja zapytał zkąd
tak tłumem wracają; odpowiedziano mu: „Idziemy z dworskiej
„rewizyi” — „A czegoście tam szukali?” — „Szukaliśmy broni
„i Polaków.” — „Czyście co znaleźli?” — „Nie!” — „Był
„Pan przy tém obecny?” — „O nie! bo go nie ma, uciekł do
„Zegartowic, do swojej córki, ale my go i tam znajdziemy!” —
„Ale głupcy z was! zkądżeby wasz Pan wziął Polaków u sie-
„bie, wszakże to Niemiec; a na was gniewać się będzie, żeście
„podczas jego nieobecności dom zrewidowali.” — „A niech się
„tam gniewa, jeżeli chce, ani się go więcej bojemy, ani go też
„nie myślemy więcej słuchać.”

Po téj rozmowie Schlosser zostawił ich tak stojących, a
sam ruszył ku domowi. Po opowiedzeniu co słyszał i widział w
Bochni i na drodze, zaręczał żonie słowem Starosty, iż nie się
im złego nie stanie, żona jednak nie ufając namawiała męża, aby
z dziećmi do Bochni na kilka dni wyjechać. Schlosser skłonił się
do życzeń żony i właśnie czynili przygotowania do podróży, gdy
zajeżdża 4ch officerów austryackich, którzy w jego terytorium
odbywali konskrypcyą, a których Schlosser w tak groźnej chwili,
jako zbawców powitał, prosząc o jak najdłuższy pobyt. Zostali
przeto do dnia następnego. Nazajutrz zapewniwszy Schlossera, że
wszelkie wolności w tych dniach chłopstwu nadane, już odwoła-
nemi zostały, niebawem rozjechali się; trzech do Sącza, czwarty

zaś z Schlosserem do Sokołowa, w celu skończenia rozpoczętej konskrypcyi. Gdy do takowego spisu włościanie schodzić się nie chcieli, Schlosser jako sędzia, zapytawszy o przyczynę, odebrał odpowiedź: iż *podległość dla szlachty i sędziów już minęła*, przyczém opowiedziano mu, jak w sąsiedztwie wymordowali Kempieńskich.

Wiadomość ta przeraziła Schlossera i nabawiła niespokojności o żonę, dzieci i całe swoje mienie; niebawem przeto wyjechał do domu, przebywszy wiele straży chłopskich. Tam żona wraz z dziećmi, jakby z grobu przybyłego wiatała, wiadomość zaś o morderstwie Kempieńskich zniewoliła ich do niezwłocznego opuszczenia domu. Zaczęli się przeto wybierać, gdy w tém wpada aktuaryusz wołając: „już za późno, to pewno po nas idą, pa-„ trzajcie jaka tłuszcza tu zmierza.“ W samój rzeczy ujrzano z okna do 600 chłopstwa z kijami i kossami, którzy w pośród siebie wiezli rodzoną siostrę Schlossera wraz z jęj mężem i policyanem. Na drugim wozie siedział Kazimierz Biliński, dziedzic Zegartowic wraz z swoim proboszczem. Wszystkie te nieszczęśliwe ofiary były nielitościwie pokaleczone i powiązane. Wiktor Zaręmba, brat Schlosserowój, natenczas u swego szwagra bawiący, na widok swojej pokaleczonej siostry zamierzał rzucić się na jęj ratunek, lecz widoczne niepodobieństwo wstrzymało go od tak nierozważnego kroku.

Któż opisze rozpacz i jęki rodziny Schlossera na widok pokaleczonych swych krewnych? na próżno Schlosser starał się ją uspokoić. Gdy już o wyjeździe i myśleć nie można było, upatrywano jedynie chwili, w którejby ratować się mogli ucieczką. Nareszcie i noc nadeszła, a osłaniając swemi cieniami te okropności, nowe przysposabiała męczarnie dla nieszczęśliwych.

Około 11 godziny, brzęk z 16 wybitych okien wszystkich ze snu przebudził. Rozbójnicy, wyłamawszy gwałtem drzwi do sypialni Schlossera, wpadają z okrzykami: *hurra!* i o Schlossera pytają; ten dowiadyuje się czego by od niego chcieli? „Ciebie bestyjo!“ wrzasnęła rozbestwiona tłuszcza, a porwawszy go pomiędzy siebie, bili i różnemi męczyli sposoby, żądając pieniędzy.

Gdy niektórzy z tychże tłucząc sprzęty domowe i wszystko zabierając, między innemi wzięli i pugilares, w którym było kilka set Zlr. wcale tém niebędąc zadowoleni ponowili męczarnie Schlossera w oczach jego żony, domagając się więcćj pieniędzy. Mąż widząc cierpienia swój żony mówił jój, aby oddała im wszystko co by tylko chcieli, niech tylko zostawia mu życie tak potrzebne dla swój drobnój rodziny. Wszystkie prośby i obietnice nie pomogły, mordercy wszystko mienie Schlossera zrabowawszy, przy nieustanném biciu odprowadzili do kancelaryi, gdzie zastał już zbitych i powiązanych swojego aktuaryusza i Wiktora Zarembę.

Tu rozbójnicy na nowo rozpoczęli katowania swych ofiar, powtórnie ich powiązawszy i pokaższy. Widząc żona Schlossera męczarnie swojego męża, rzuciła się w jego objęcia, prosząc morderców, aby ją wraz z nim zabili; na co ci okrutnicy orderwawszy ją powiedzieli: „Dobrze! zabijemy i ciebie, ale później, „teraz bowiem zawieziemy go do Bochni, ale tu przyjdziemy „i po ciebie.“ Poczém rabując do reszty, wołali o furę i o konie, na którój wieść chcieli swoje ofiary.

Wóz nareszcie zajechał, na który wsadziwszy nieszczęśliwych bez litości przykuli do literek wozu. Gdy zaś Schlosser nie mógł wsiąść o swojój mocy, przyskoczył do niego jeden z morderców a uderzywszy go w głowę siekiłą, mówił: „kiedy ps..... wsiadać nie możesz, to leż tutaj bestyo!“ Drugi zaś nieco litościwszy, dopomógł Schlosserowi, iż zdołał wsiąść na furę. Żona, świadkiem tych okropności usiłowała połączyć się z mężem, prosząc dla niego o litość; lecz ci rozbójnicy odpychając ją mówili pomiędzy sobą: „zabijmy te bestyą, to już się nie będzie „pchała do niego, czy jeszcze mało się z niem nabyła?“ słysząc to nieszczęśliwa, odstąpiła swojego męża, a pożegnawszy go jedynie myślą, poleciała Bogu; chcąc zaś ocalić życie swoje i pozostałej rodziny, zabrawszy dzieci i 60 letnią matkę w ucieczce do lasu szukała ocalenia.

Tak zbitego i do literki przywiązanego Schlossera, który zaledwie słabe dawał życia oznaki, zawieziono do wsi Dąbrowicy, gdzie zatrzymała ich banda rozbójników, która nikogo niezosta-

wiała przy życiu. Poznaawszy Schlossera, swego sędziego, któremu pamiętała, iż żadnego przestępstwa nieprzepuścił bezkarnie, bynajmniej nie oszczędzała dla niego razów morderczych, które dopóty trwały, dopóki mordowany najmniejszego już znaku życia nie dawał. Byłyby nieochybnie wszystkie ofiary na wozie będące z ręki tych katów pozabijane, gdyby nie pomyśl zajadłych rozbojników, by dla większego dogodzenia wściekłości, wjechać z niemi w głęboką rzekę Stradomkę. Myśl ta była uskutecznioną; wjechawszy tak głęboko w wodę, iż się cały wóz zanurzył, pobieli przyszli trochę do przytomności i tak ich nieco żywych do Bochni dowieźli.

Gdy się więc rozeszła po mieście o zamordowaniu Schlossera, każdy był gotowym pomścić się tak wielkiego bezprawia. Staranie o nieszczęśliwych, najbieglejszemu w Bochni zlecono lekarzowi, którego nieoszczędzając pracy i zabiegów, na krótki ich czas przywołał do życia. Z muzgu Schlossera wyjmowano trzaski i słone. Z ran takowych, nie mógł być wylęczonym, żył jednak dni kilkanaście, których mu Bóg użyczył, by ten niewinny człowiek miał tę pociechę przed śmiercią, iż nierozstanie się z tym światem przed pojednaniem się z Bogiem i niezobaczywszy jeszcze najdroższe sobie istoty, to jest żonę i dzieci, które staraniem przyjaciół, przy asystencji 4 strażników finansowych przywieziono. Pobłogosławiwszy żonę i dzieci, coraz w większą słabość zapadał, a naznaczywszy godzinę swojej śmierci, która ani minuty nie uchybiła, w największych mękach zakończył życie.

Pozostała nieszczęśliwa wdowa wraz z 6 dziećmi, bez majątku, bez sposobu do życia, oplakując tak dobrego męża, a ojca tylu sierot, tuła się teraz po świecie, szukając schronienia.

Przy rabunku rzeczy Karola Schlossera, zabrano także krzyż wojskowy do tegoż należący, a otrzymany za waleczność w r. 1831. Krzyż ten przy odwiedzeniu Schlossera do Bochni, jeden z chłopów pokazał w urzędzie cyrkularnym, zobaczywszy go komisarz Wangermann, dał za niego chłopu 40 xr. i zatrzymał dla ozdobienia się nim na sądzie ostatecznym. Według opowiadania Schlosserowej, skreślił Felicjan Szybalski.

Zrabowanie Dóbr Jana Stojowskiego,

pokrzywdzenie tegoż wraz z synami przez chłopstwo, i zamordowanie ekonomy Kaczkowskiego, opisane w następném podaniu do J. C. K. Mości.

Najjaśniejszy Panie!

Najuniżeńj podpisany, od swéj młodości poświęcił się służbie wojskowéj w c. k. armii, a mianowicie w pułku ułanów arcy-księcia Karola. Dla ciężkich ran w bitwach pod Wagram i Ebesburg, po 17 letniéj służbie wojskowéj do takowéj niezdolny, otrzymawszy dymissyą w stopniu kapitana, osiadłem w Galicyi w Cyrkule Jasielskim, w dobrach Potoku, pozostawionych mi przez ś. p. mojego brata c. k. nadwornego radcy sprawiedliwości, Michała Stojowskiego, którego uczciwość i przywiązanie do najjaśniejszego cesarskiego domu, stały się prawie przysłowiem.

Poświęciwszy się wiejskiemu życiu, wszelkie obowiązki wiernego poddanego, obywatela stanu i naczelnika familii tak dla mojej małżonki i dzieci, jako téż dla licznych krewnych i dla dzieci méj zmarłej siostry, bez losu pozostawionych, przez lat 28 z niezmordowaną pełniłem czynnością, aż nareszcie wśród uczciwych i nieprzerwanych usiłowań, osiągnąłem swobodnej starości.

W d. 22 Lutego b. r. w Potoku, gdzie z moimi trzema synami, moją małżonką i siostrą w Potoku jak zwykle spokojne pędziłem życie, zaledwo rano wstawszy, gdy moim dziennym zatrudnieniom oddać się chciałem, zostałem nagle napadnięty przez kilkuset, po większej części do sąsiedniego należących państwa gmin Odrzykonja i Żarnowca chłopów uzbrojonych w długie noże, widły żelazne, kosy, cepy i pałki. Takowi wpadli gwałtownie do mojego domu, mnie i moją rodzinę, wszystkich bezbronnych i żadnego nie stawiających oporu, wśród obelg z pokoju do pokoju przy najeżonych kossach włóczyli, a wreszcie jednogłośnie wołali o wydanie im mojego ekonomy. Takowy gdy wszedł, niebawem go porwali, na dziedziniec wyprowadzili, z wściekłością się na niego rzucili, kalęcząc go stami razów wśród obelg najokropniejszych; poczem rozpoczęli rabunek mojego mienia i całą moją godówkę, srebra, kosztowności, i inwentarze splondrowali, i zniszczyli, zrządziwszy szkody najmniej 30,000 Złr. wynosząc.

Zbrodniarze ci powiązali mnie wraz z synami i w najpędniejszym i najboleśniejszym stanie do miasta cyrkularnego Jasła powieźli, mówiąc, iż: „*wszystko to wypełniają w skutek rozkazu rządu cyrkularnego.*“ Przybywszy do Jasła, bez zwłoki uwolniony zostałem, moi jednak synowie pozostali w więzieniu.

D. 22 Lutego r. b. do Jasła przyprowadzony dowiedziałem się, że już 20 b. m. inne dobra moje, Grudna-górna w Jasielskim Cyркуle na granicy Tarnowskiego położone, przez gromady z Smarzowy, Siedlisk i Grudny dolnej pod dowództwem Szeli napadnięte, zrabowane i poniszczone zostały, a gdzie mojego ekonoma Kaczkowskiego w najokropniejszy zamordowano sposób; naoczni świadkowie Wojciech Klatka, Piotr Czekajski i żyd w Grudnie-górnej zapewniali mnie, że ekonom ten najprzód przez całą noc był bitym, poczem na pół umarłemu, z rozkazu dowódcy Szeli uszy oberznęto, a gdy żył jeszcze, przestrelono go i końmi na śmierć zatratowano.

Takowe to czyny okrucieństw wykonywało w Lutym 1846 w Galicyi—na nieszczęście było wiele takowych, lecz okropności te zapewne niedojdą do wiadomości Waszój C. K. Mości przez organ właściwy władz miejscowych, dla czego jest moim świętym obowiązkiem takowe, o ile mnie dotknęły i o ile byłem takowych świadkiem i ofiarą, podać do najwyższej wiadomości Waszój C. K. Mości.

Rządowi na tém zależeć winno, aby gruntownie dojść wątku owych głośnych wyrażen chłopstwa, przezemnie samego słyszanych: „ *iż okrucieństwa takowe wykonywają w skutek rozkazów urzędów cyrkularnych;*“ a gdyby przyczyna takowych wyrażen była zmyśloną, rząd powtarzam winien odeprzeć takowe na siebie rzucane potwarze; w przeciwnym zaś razie, ukarać władze, które w niepojętém zaślepieniu, przez wprowadzenie w błąd i namawianie chłopstwa do takowych okrucieństw, swojemu rządowi starały się usługę wyświadczyć.

Dochodzenie tego jest potrzebném, aby spokojność w przerażone powróciła umysły i zaufanie w bezpieczeństwo osoby, honoru i majątku, co tém bardziej jest naglącém, gdyż teraz gmi-

ny, które pozostawiły swoich panów przy życiu, żałują tego, ile że w Tarnowskim Cyrkule prawie wszystkich dziedziców wymordowano i zrabowano, a sprawców do żadnej nie pociągnięto odpowiedzialności, a którzy tą bezkarnością będąc uzuchwaleni, głośno się odgrają pomordować pozostałych i podzielić się ich gruntami! Dla tego wszystko co tylko może, do niaszt ucieka, i ja nie ufam mojemu mieszkaniu na wsi, nie chcąc oddać się na pastwę zajadłej tłuszczy.

W przywiązaniu do tronu Waszój C. K. Mości, błagam jak najuniżeniej o najwyższą opiekę, powrócenie strat i o uspokojenie umysłów; w tém przeto celu proszę w najgłębszej pokorze Waszój C. K. Mości o najlaskawsze uwzględnienie następujących przedstawień:

1) Aby prawdę tu wyłuszczonych czynów wysledzić i ukonstytuować przez szczególną kommissyą. Sądy bowiem kryminalne Galicyjskie zupełnie milczą i dotąd nigdzie żadnego nieprzedsięwzięły śledztwa.

2) Aby tych, którzy dopuścili się publicznych gwałtów i rabunków, oddać sprawiedliwości i ukarać ich według praw.

3) Aby wysledzić zrabowane mi rzeczy, a już odkryte powrócić — za resztę zaś szkód winne gromady do odpowiedzialności pociągnąć.

Tarnów d. 15 Czerwca 1846 r.

Jan Kanty Stojowski.

b. kapitan c. k. pułku ułanów.

ZAMORDOWANIE

Antoniego Horodyjskiego,

Dziedzica Wesotowa, w cyrkule Bocheńskim.

Antoni Horodyjski, po stracie ukochanej małżonki poświęcał się wyłącznie wychowaniu dzieci i gospodarstwu. Podwójną troskliwość zwrócił na sieroty — i jako dobry ojciec zastępował teraz miejsce matki. Pieczołowitość ta rozciągała się nie tylko nad sierotami własnymi ale i nad cudzemi. Zawsze nieszczęśliwy w nim pomoc znajdował, bo w każdym bliźniego swego uwa-

zał — kochał wszystkich ludzi jak braci i opiekował się niemi jako ojciec. Wieśniacy szczególniej doznawali jego dobrodziejstw.

Słyszac o napadach na dwory i mordowaniu szlachty, nie uląkł się do ostatniej chwili tych dzikich morderców, lecz postanowił im śmiało stawić czoło. Będąc wysłużonym porucznikiem byłych wojsk polskich, czuł w sobie odwagę odeprzeć tych złoczyńców. Zresztą ufny w swoją niewinność i tyle świadczonych dobrodziejstw, nie mógł przypuścić aby jaka świętokradzka ręka podniosła się na swego dobroczyńcę. Trwał w tém inoćnym postanowieniu aż do ostatniej chwili. Skoro jednak ta dzicz chciała krwi zaczęła się ku Wesołowu zbliżać, pomny na dzieci, miłość ojcowska w nim przemogła. Nie chciał passować się z przemagającą tłuszcą, a to aby zachować dni swoje nie dla siebie, lecz dla biędnych sierot. Przy zbliżającym się niebezpieczeństwie udaje się szybko do mieszkania swego gajowego, nazwiskiem Zawisza, mającego nadzór wikła nad Dumajcem. Tu Antoni Horodyjski uważał się być bezpiecznym, jako u człowieka któremu ufał i jak wielu innym liczne dobrodziejstwa świadczył.

Zgraja zapamiętała wpada do dworu, a nieznałszy Pana, rzuca się na meble, sprzęty, ozdoby — niszczy wszystko co tylko staranna ręka zebrała — dziki jój wandalizm niczemu nie przepuścił. Już Antoniego życie zdawało się być ocalone. — Lecz o czarna zbrodnio! piętno hańby człowieczeństwa! Ten sam któremu Antoni zaufaniem życie powierzył — ten sam wyrodek natury — dobroczyńcę swego na śnierzce poświęca! Już dzika tłuszcza miała się rozejść: kiedy zdrajca gajowy donosi jój o ukryciu się w jego chacie Pana. Zaraz odrywa się część bandy i biegnie po swoją ofiarę. Zwłoczy ukrytego ze strychu i niemiłosiernie katuje, a przywlokłszy go do pozostałych we dworze rabusiów, plądrujących i zabierających wszystko co tylko było do wzięcia — wspólnie z nimi teraz ponawia nielitościwe swoje katowania. Potém postanowili złoczyńcy zaprowadzić go do miasteczka Zakluczyna o ćwierć mili odległego. Prowadząc go bili niemiłosiernie, tak iż z ran odniesionych omdlały upadał po drodze. Przywlokłszy do rzeczonego miasteczka rzucili na pół zabitego przed ratuszem,

tłucze cepami i morduje widłami i kosami. Nie dosyć na tém,— o zgrozo! rozpruwają mu brzuch i wydobywają wnętrzności!! aż Bogu ducha oddał. Po śmierci nawet jeszcze ta dzika tłuszcza, srogość swą wywiera i pastwi się na umarłym męczenniku. Jeden z morderców wtoczył mu widły w usta, mówiąc „kiedys za życia palił fajkę na długim cybuchu, to zapal sobie na wędrowkę.“

Rozkielzana zgraja nie przestaje na jednej ofierze: wójt miejscowy, starzec siednidziesięcioletni, usiłując powściągnąć zło-czyńców przekładając im niesprawiedliwość i zaklinając aby Antoniego Horodyjskiego jako niewinnego nie zabijali — padł równie męczeńską śmiercią jak ten którego chciał uratować. Dzicz ta rozhukana rzuca na niego podejrzenie: że chociaż do panów nie należy, musi jednakże od nich być przekupiony, kiedy za niemi obstaje — Ofiary te, i dwie jeszcze inne których opis morderstwa później będzie podany, na wóz wrzucili i do urzędu obwodowego Tarnowskiego zawieźli.

OPIS MORDERSTWA

na Antonim Leśniowskim dokonanego i rabunku jaki Ludwik Hubicki w Luszowicach górnych

obwodu Tarnowskiego w dniu 20 Lutego 1846 r. poniośt.

Ludwik Hubicki od młodości swój gospodarstwu oddany, trzymał ówczasie dobra Luszowice w dzierżawie sześciolletniej. Miał teraz cieszyć się i używać owoców kilkunastu letniej swój niezimordowanej pracy i zabiegów, kiedy w jednym dniu, jednej chwili 20 Lutego utracą całe swoje mienie, przechodzi przez srogie katusze rozpasanego na wszystkie zbrodnie ludu, a utraciwszy wszystko, zaledwo ocala nędzne życie, zostawszy kaleką na zawsze.

W pamiętnym owym dniu 20 Lutego tylu niewinnych ofiar krwią męczeńską w kronikach Polski uwiecznionym, między godziną 9 a 10 rano widzieć się dał tłum pijanych chłopów uzbrojonych w pałki, cepy, widły, siekiery, drogą od Dąbrowy przez Luszowice konwojujący kilka bryczek z trupami, między którymi poznałem

sąsiada Ludwika Baranowskiego właściciela wsi Swierzy zabitego. inne zaś oliary nieznane mi przewieziono przed saną bramą mieszkania. — Z tłumu owego konwojujących chłopów, na dzielnym koniu siedzący włościanin Marcin Bahiarz z Luszowic wpada na podwórze wołając na mnie: „Panie! uciekaj gdzie możesz, bo gro- „mada chłopów idzie po ciebie; wieziemy zabitych Baranowskie- „go, Ramutta, Górskiego, leśniczego, i wszystką tój okolicy szla- „chę to samo spotka, po ciebie idzie teraz gromada, aby cię „zabić i do Tarnowa odstawić, bo taki rozkaz mamy.“ Przera- żony tą okropną wiadomością, ukrytemu syna mego ośmioletniego w szpalerze ogrodu, a sam przeskoczywszy rów, dążyłem potem ku plebanii mając na celu ukrycie się w grobach kościoła tamtej- szego rodziny Tarłów. — Lecz zaledwie kilkadziesiąt ubiegłem kro- ków, dał się słyszeć najstraszniejszy krzyk kilkuset pijanych, hurra! W tój samėj chwili od nich otoczony ujrzałem się przed przy- wódcą całej tój bandy, Kazimierzem Zuziak, na dzielnym koniu siedzącym, z krucicą w ręku, który w te słowa odezwał się do mnie, „Stój h...., nierychło wybrałeś się na polowanie, wszystka zwierzyna już wypłoszona.“ I na raz jeden, jak gdyby na ko- mendę, wszystkie cepy, pałki, kosy, spadły na mnie; tak iż cio- sami temi obsypany, padłem bez zmysłów. Mordercy długo pa- stwili się nademną, tak że futro które miałem w kawałki na mnie podarli. Tak zbitego porwali, wlekli ku drodze dworskiej i tam porzucili mnie bez zmysłów i krwią zbrozonego na śnie- gu. Tłuszcza ta udała się następnie do domu, i tam ukrytego ojca méj żony, Antoniego Leśniowskiego, starca siedemdziesięcio- letniego znalazłszy, podobnie jak mnie srodze skatowała i na to samo miejsce przywlekła. Jedni dwór, folwark, szpiklerz, stajnie, słowem plondrując wszystko zrabowali, drudzy zaś zaprzagnawszy do sani konie moje, nas nieokazujących żadnych znaków życia, na nie wrzucili. Inni jeszcze na konie moje co ich tylko było powsiadawszy, konwojowali nas ku Tarnowu. Konie te stawszy się łupem chłopstwa już więcej nie zostały zwrócone. Zgraja zale- dwo kilkanaście kroków z nami ujechała, kiedy w tym nowa tłuszcza od Lipin, folwarku także do owéj dzierżawy należącego

nadciągnęła a konwój nasz zatrzymawszy na rozkaz swego przywódcy, Pawła Żaby, włościanina tamtejszego, nowemi razami cepów drągów, pałek nas nieszczęśliwych przywitawszy, do tego stopnia przywiodła nieprzytomności że nie wiem jak przejechaliśmy pamiętne na zawsze krwią naszych braci Pawężów, Lisia góra i Krzyż. Po tylu katowaniach ducha mego jeszcze nie wyzionąłem, bo ciąglem tłuczeniem się sanek po grudzie z tego letargu śmierci zostałem przebudzony i dosłyszałem słowa tłuszczy nas otaczającej „że widzą wojsko idące“ wyrazy te zdawały mi się być zwiastunem jakiejś nadziei, wywołały wszystkie nie siły; podniosłem nieco zbrogzoną we krwi głowę, i do zbliżającego się oficera, w imię Boga o ratunek przemówiłem. Lecz niestety! zamiast pocieszenia i uwolnienia mnie z rąk rozbójników, wspomniony oficer powiedział: „Czemu nie zabijecie tych psów buntowników, wszak za trupów więcej wam zapłaci starosta, jak za żywych.“ Znalazłem więc w oficerze zamiast pomocy okropne wyrazy śmierci. Po tych jego słowach, tysiące pałek znowu na nas padło. Przywieszonych przed szpital na stos trupów już leżących i nas porzucono. Wiadoma czytelnikom owa komissya rozpoznawcza trupów pomordowanych. Teraz to przy rozpoznawaniu tejże, miałem dać jeszcze jakieś znaki życia, i wyłączeni zostaliśmy od trupów ja i ojciec mój żony Antoni Leśniowski. Staraniem lekarza cyркуłowego p. Chryńiewicza, któremu oddając sprawiedliwość publicznie podziękowanie składam, do życia powróciliśmy. Lecz jakie i tu jeszcze katusze fizyczne i moralne znieśliśmy ten tylko pojąć i ocenić może, kto był, lub przejeżdżał przynajmniej, w Marcu lub Kwietniu 1846 r. przez Tarnów. Leżeliśmy cztery tygodnie obydwa bez najmniejszej nadziei życia, w stanie tak okropnym; że dla zboląlego całego ciała nawet koszuli wdziąć niemógł żaden z nas. — Przeszliśmy wszystkie indagacye i po trzech miesięcznym areszcie, ujrzelśmy światło dzienne. Ja pomimo wszelkiej kuracyi i używania kąpiel Trenczyna, zostałem na zawsze kaléką na rękę, a piętnaście ran na głowie mój doskonałą pozostanie pamiętką wściekłości chłopstwa prowadzonego zbrodniczą biurokracją na czele cyркуłowego starosty Braindla i Berndta.

Ojciec zaś méj żony ś. p. Antoni Leśniowski, straciwszy zdrowie w skutek pouięsionych nieprzeliczonych ran na całym ciele, połączył się razem z innemi współnuczcennikami. Na tamtym świecie proszą oni Przedwiecznego o przebaczenie dla tych zaślepionych morderców, jako narzędzi okrutnych krwiożerców, zaciętych naszych wrogów, i naszej narodowości.

Dodać tu jeszcze winienem, że nie tylko przy napadzie 20 Lutego 1846 r. dokonany rabunek w Luszowicach na wszystkim co się tylko mogło znajdować w całym dworze, tak w sprzętach, kosztownościach, jak i w całym inwentarzu, ale nadto w następnych dniach, tłuszcza ta rabusiów, niby to straż wiejska pod pozorem rewizyi stodoł na folwarku Lipiny będących, dla ukrywania się tamże powstańców, przez uchił samych tylko wymyślanych, codziennie po klucze przychodziła do żony, i nieznalazłszy żadnego oporu, gdyż takowy byłby niepodobnym, łurami zajeżdżała i zboże w snopach zabierała. Poszukiwanie to niby powstańców tak długo trwało, dopóki tylko zboża w stodołach starczyło. Na odgłos że wyznaczona została komisya do dochodzenia rabunków i szkód poczynionych, wydałem tylko ostatnie jeszcze kilka reńskich na stęple do podawanych próśb, do dziś dnia bez najmniejszej odpowiedzi i zadosyć uczynienia.

OPIS MORDERSTWA

dokonanego na

Obywatelu Dąbskim,

właścicielu wsi Droginia, w obwodzie Bocheńskim.

Opowiadając krwawe sceny galicyjskie 1846 r. nie możemy pominąć znakomitego obywatela tragicznych wypadków — chcę tutaj powiedzieć o czeigodnym Dominiku Dąbskim. Nie będę wywodził szlachetności jego pochodzenia, bo dzisiaj przywilój ten ustąpił miejsca osobistym cnotom i zasługom. Ale że Dominik łączył je z całą godnością człowieka z pićrwszemi — wspomnę tylko o nich kilka słów dla przekazu historycznego.

Ród Dąbskiego sięga najdawniejszych czasów w Polsce — gdyż za Jagiellonów natrafiamy jego przodków odznaczających się

w częstych bojach odwagą i walecznością, jak równie poświęceniem dla kraju. Szczep ten należąc do najbiedniejszych obywateli — ciągle wzrastał w bogactwa i sławę — jego posiadłości rozciągały się po wielu prowincjach dawnéj Polski. Rodzina ta zamożna, potężna była aż do haniebnego podziału — później wygasła — i została tylko jedna linia téj zasłużonej w kraju rodziny w Galicyi przemieszkiwała — a najznakomitszy jéj członek Dominik Dąbski mieszkał we własnéj wsi Droginia zwanéj. Na pozór zimny na wszystkie ruchy polityczne, lecz wejrzeć w głąb jego duszy, wrzało tam wszystko do postępu czasu; w jego piersi palił się ogień miłości ojczyzny i czekał tylko sposobnéj pory by żar ten płomieniem wybuchnął. Ale Dominik powtarzani był zimny w dyskusjach politycznych, bo wszystko brał na szalę rozumu. Nie unosił się zapalem przedwczesnym swoich współobywateli — zimna rachuba wprzód je poprzedzała. Kochał on Polskę jak prawy Polak, ale pragnął ją zbawić, nie zaś w odmet wtrącać. Piérwsza myśl jego po Bogu była Polska, kochał on ją gorąco z całą swą ognistą duszą, ale chciał ją z grobu wywołać, nie przelewając niewinnéj krwi tylko w potrzebie. I kiedy jego towarzysze wpadłszy w zapal z exaltacją rozprawiali o przyszłym powstaniu, Dominik zbijał ich przedwczesne nadzieje, częstokroć na niczem nie oparte — albo tylko na próżnych złudzeniach. Podawał im środki pewniejsze chociaż na pozor nie tyle odpowiadające — ale z wyrachowaniem wiodące do zamierzonego celu. Przewidywał Dominik jakąś burzę nad głowami grożącą — przewidywał powstanie nie dojrzałe, nie we wszystkich gałęziach ludności rozpowszechnione — a nawet zamiast powstania w jednym świętym celu wyswobodzenia ojczyzny — przeszkodę w własnych rodakach, a może i wszystkiego sparaliżowanie. Jako prawy Polak nie opuszczał nigdy sprawy powszechnéj — i jakkolwiek koniec by wziąć miała, chciał dzielić los braci swoich i wspólnie z nimi kielich goryczy lub przyszłego szczęścia do dna samego spełnić. Przez zimne to wyrachowanie i postępowanie niby wprost przeciwne objawom rewolucyjnym. — Dominik posiadał zupełne zaufanie rządu. Nie uważał on go dla siebie nie-

bezpiecznym widząc jego całą działalność przeciwną ruchom powstania — ale to tylko była ostrożność z jego strony. Poznawszy się dopiero później rząd na jego dążnościach — postanowił je sparaliżować i zgotował mu los równy jego towarzyszom.

Należąc do zamożnych obywateli, dom jego był otwarty dla każdego. Że zaś lubił polowanie jak każdy prawie obywatel wiejski, zbierali się często u niego liczni sąsiedzi. Nadeszła i pora zimowa, okoliczność ta sprowadzała do niego tym liczniejszych gości. Blizcy i dalecy współobywatele zarówno w dom jego witali, pewni będąc gościnności u niego przyjęcia. Przy tak częstych zebraniach następowały i częste łowy. Po powrocie z polowania, po krótkich opowiadzeniach zdarzeń osobistych — wracano się zawsze do zajmującej ich wszystkich polityki. Wyjarczmienie ojczyzny było jej przedmiotem — głównym celem — każdodzienną myślą. Zaprawiali się młodzi towarzysze na trudach łowczych do wybuchnąć wkrótce mających zapasów z srogim nieprzyjacielem, ciemnicą. Narady ich w wolnych chwilach ważnemu temu przedmiotowi zawsze poświęcane były. Dominik dzielił je z towarzyszami, bo te same uczucia, ta sama miłość ojczyzny wrzała w jego piersi — chciał on kraj zbawić, wyjarczyć z poświęceniem własnego życia.

Dąbski ani pomyślał nawet o nieszczęściu jakie go w własnym domu jego spotkać miało. Jego czyste sumienie, godność obywatelska, a nadewszystko moc charakteru z jakiej go znali wszyscy urzędnicy, zapewniały mu bezpieczeństwo osoby i własności choćby nie wiem jakie wypadki zająć miały. Nicstety! jakże się mylił. Właśni jego poddani namówieni i przekupieni od biórokracyi na jego życie czyhali. Ci to urzędnicy co największych przyjaciół jego rolę odgrywali — ci sami poduszczyli chłopów na niego i ich bratnią rękę uzbroili. Rachował w każdym wypadku na starostę cyrkulu, którego usługa była na jego rozkazy — ale ten sam starosta rozciągnął już się i na jego życie.

Na jeden dzień przed wybuchem 18 Lutego panowała największa spokojność i porządek we wsi Droginia własności Dominika. Słysząc tylko było i to niedokładnie o walce Krakowian

z Austryakami, która na nieszczęście drugich wypadła. We wszystkich dworach i zamkach szlachty polskiej obudził się pewny ruch, lecz zarazem i obawa o przyszłość. Niektórzy obywatele z przyległych włości uszli nieszczęścia chroniąc się do Krakowa, inni znowu uciekali do Bochni. Tylko pan Dąbski spokojny i bez żadnej obawy nie opuszczał swojego mieszkania.

Czcigodny Dominik Dąbski pogrążony w myślach siedział w swym gabinecie. — Pośepny rozważał obecne powstanie — rozbiarał każdy promyk nadziei i nowe przeszkody — chciał wszystko znaleźć sprzyjające sprawie powszechniej — zbierał wszystkie środki w swojej myśli, ale zdrowy rozsądek je niweczył, jako nie mające gruntownej podstawy. I znowu wracał do punktu z kąd wyszedł, potrząsnął głową niedowierzając i westchnął głęboko nad niewinnymi ofiarami. Gdy wśród głębokich myśli o świecie zapomnieć się zdawał, służący strwożony, nagle wpada do gabinetu, nie mogąc od prędkiego biegu ani słowa wymówić, nogi się pod nim chwiały, język skołowaciał — położył tylko rękę na piersiach, jakby sobie chciał ulżyć, i zaledwo te kilka słów z największym nateżeniem zdołał wymówić: Panie! ach Panie, ratuj się! — prędko na Boga — bo idą mordować! Kto? spytał Dominik, porwawszy się z krzesła.

Chłopi z téj gminy, Panie, na ciebie idą z postronkami, kosami, widłami — już są na podwórku — już słysząc ich wrzawę i krzyki — spojeni gorzałką jak dzikie zwierzęta na ciebie godzą, łaskawo panie ratuj się! Wyprowadzę cię przez tylne drzwi z zamku do pawilonu w ogrodzie — tam ukryj się pan, aż konie zaprzęgniemy do bryczki, abyś się mógł ucieczką ratować! — tylko prędkiej na Boga — Panie błagam cię na klęczkach — chodźmy — chodźmy — bo nie ujdzieś żywy z rąk tyliż zjadłych tygrysów. Dominik Dąbski na wszelkie prośby wiernego sługi bynajmniej nie zważając — nie rzekł ani słowa, poszedł do kasy i zabrał całą gotówkę jaka się tam znajdować mogła (wielu utrzymuje, że było więcej niż 10,000 Złr.). Ponieważ już chłopi cały dziedziniec obsadzili, a nawet do pokoiów się wdarli, wystąpił z całą mocą charakteru i bez żadnej obawy, w środek téj zgrai. Wię-

ksza część chłopów już przez samo nawyknienie, a inni z samego poszanowania przed swym dobroczyńcą, zdieli czapki z głowy, lecz przywódcy ich złoczyńcy, nie ułękli się imponującej postawy swojego Pana i Dąbski przekonał się dopiero teraz że się w okropnym niebezpieczeństwie znajdował. Nie tracąc jednak odwagi, chciał jeszcze życie swoje ratować.

„Czego żądacie odemnie, zapytał ich śmiałym tonem i kto „wam dał prawo moje mieszkanie jak rozbójnicy nachodzić, żądam od was abyście się natychmiast rozeszli i mieszkanie moje opuścili — inaczej postaram się o spokojność!“

„Tego już dzisiaj nie możesz, odparł zuchwale przywódzca “ „Nie jesteś bynajmniej więcej naszym panem ale tylko naszym „więźniem na mocy władzy nadanej nam i rozkazu od rządu.“

„Od jakiego rządu? zapytał zdziwiony pan Dąbski.“

„Jużci zapewne nie od polskiego, ale od naszego cesarskiego! Tym czasem zrobimy tylko poszukiwania w twym zamku „gdzie są ukryte armaty, proch i broń — a potem tobą się samym zajmimy. — Dalej naprzód bracia, czego się boicie, więzcie waszego pana i okujcie go na ręce i nogi — dalej naprzód, „czego stoicie, macie powrozy i dyby — chodźcie za mną z cepami i widłami, przetrząsnijmy cały dom z gruntu.“

Cóż począć miał p. Dąbski? o oporze nie można było nawet myśleć, bo tłuszcza ta raz z karbów posłuszeństwa i moralności wyszedłszy, wszelki jój opór stawiany byłby próżnym i powiększył by tylko jeszcze jój wściekłość i wyuzdanie na wszystko.

Poddał się więc z rezygnacją Dąbski wręce zapamiętałych, dał się spokojnie wiązać i okuć w kajdany. Wierny tylko jego synowiec Władysław nie opuszczał go nigdy i był świadkiem wszystkich jego cierpień. Okuwszy swoją ofiarę — tłuszcza rzuca się teraz na pomieszkane Dąbskiego, plądruje wszędzie i zabiera co tylko było do wzięcia. — Nic nie jest oszczędzone, kosztowności, obrazy, meble wszystko tyloletnią pracą i znawstwa ręką zebrane w jednej chwili ulega zniszczeniu lub staje się łupem dzikiego ludu na wszystko rozpasanego. Wszystkie ozdoby ścienne poodzierane, kosztowne szkła potłuczone, żyrandole, wielkie ścien-

ne lustra, zegary, porcelany — wszystko barbarzyńców ręka w drobne kawałki rozbija, pościel, suknie na sztuki potargane. I to działo się w przytomności p. Dąbskiego przed jego własnymi oczami. Po splądrowaniu wszystkiego, gdy żadnej broni nie znaleźli — zażądali od Dąbskiego pieniędzy. Teraz to ostatecznie przekonał się, że utraciwszy całe mienie, życie nawet jego własne jest w niebezpieczeństwie. Nie chcieli jednak spełnić swojego morderstwa na miejscu spodziewając się że im się tak lepiej opłaci. Rzucili więc do lochów piwnicznych własnego zamku nieszczęśliwego, gdzie jego synowiec Władysław i wierni jego słudzy razem z nim noc przepędzili. Lecz była to noc ostatnia Dominika! — Jaką ta noc była — ile cierpień moralnych i fizycznych! nie będę opisywał, bo każdy z czytelników wystawić je sobie może. Tutaj to Dąbski przygotowywał się na śmierć swoją i zrobił ostatnie rozporządzenie, zabezpieczając los synowca Władysława i domowników którzy musieli na okrutne męki pana swego patrzeć. Postronkami związany i okuty w kajdany z pilnującą go strażą o ucieczce ani nawet pomyśleć nie można było. Zresztą Dąbski z rezygnacją oddał się w ręce oprawców. Nad świtem zebrali się mordercy i mieli naradę, jedni chcieli zaraz zamordować swoją ofiarę, inni byli zdania, żeby go do cyrkułowego miasta dostawić. Ci którzy się wielkich summ pieniędzy przy nim spodziewali, postanowili go niezabijać zaraz. Ze świtem dnia oddano go w ręce oprawców którzyby go do cyrkułu prowadzili. Udali się więc w drogę. Jakie męczarnie przeżył Dominik z temi złoczyńcami, ile razy odebrał z poprzednich opisów wiemy. Tak zbitego i pokaleczonego prowadzili przeszło dwie mile, aż nareszcie przybyli do rzeki Raby. Tu postanowili teraz cios śmiertelny ofiarze swojej zadać. Uderzyli więc jak wściekli na niego, najniełitościwiej go mordując — potem oderznęli mu głowę od tułowia i ciało w sztuki porąbali. Napastwiwszy się nad szczątkami trupa do rzeki Raby wrzucili. Tak zakończył męczeńskie swoje życie Dominik Dąbski pełen cnót i poświęceń dla kraju.

OPIS MORDERSTWA

dopełnionego na

Józefie Bobrownikiem,

właścicielu dóbr Dobrków w cyrkule Tarnowskim.

Jakie mordercze ciosy spadły na obywateli galicyjskich przy zamierzonym ich powstaniu w miesiącu Lutym 1846 r. dowodzi męczeńska śmierć Józefa Bobrownickiego i jego 70 letniej niešťczęśliwej matki. Przez kogo te barbarzyńskie ciosy patriotom polskim zadane, nie jest już dzisiaj zagadką. Biurokracya paraliżując powstanie w samym zawiązku, posunęła się do najhানiebniejszych środków, nad którymi ludzkość cała trętwieje. Nic dla niej nie było świętego, zdeptała prawo natury, zinazala ręce swe zbrodnicze tylu niewinnemi ofiarami, kwiat obywatelstwa polskiego wymordowała, osierocone rodziny w przepaść zguby pogrążyła.

Józef Bobrownicki w czasie tych strasznych wypadków był właścicielem pięknej majątności Dobrków niedaleko miasta Pilzna. Gospodarstwo to przez swoją pracę i usiłowania postawił na stopie jak można najlepszej, z podnoszeniem się własnego jego gospodarstwa podnosiło się razem i włościan, i można śmiało powiedzieć: że włościanie wsi Dobrków stali się najzamożniejszymi w całej okolicy, i winni byli cały pomysłny swój byt dobrodziejstwom swojego pana. Był on dla nich ojcem w najrozciąglejszym znaczeniu tego wyrazu. Józef Bobrownicki nie mieszkał w swoim własnym dziedzictwie Dobrkowie. Trzymał bowiem rozległą dzierżawę w dobrach hrabiego Reya, i w ostatniej epoce wypadków mieszkał w Przecławie. Rzadko odwiedzał swój własny majątek, nie miał więc bezpośredniej styczności z włościanami, w potrzebie jednak wszystkim droga do niego była otwarta, i zawsze liczne świadczył im dobrodziejstwa.

Czcigodny ten obywatel, ojciec swojego ludu, miał dosyć jeszcze czasu i sposobności ucieczką życie ratować, gdyby był poprzednio wiedział, do czego wieśniacy zmierzają i w jakim już są usposobieniu przez biurokracyą. Ale właśnie pokątne namowy potwornej téj hydry tak misternie się odbywały, że i włościanie i obywatele sami nie wiedzieli do czego zmierzają ich cele, aż

dopiero w ostatnich dniach wybuchu. Przywódcy i urlopnicy w bezpośrednim z urzędnikami porozumieniu, gmin cały na swoją stronę przeciągali, rozsiewając pomiędzy nimi najchytrzejsze wieści, na przykład że chłopów wszystkich szlachta będzie mordować, grunta poodbiera i t. p. kazała im być w pogotowiu na każde zawołanie, robić to co i drudzy, za danym rozkazem, i w imieniu cesarza. Przywódcy więc wszystko wiedzieli o co idzie, chłopci zaś w gotowości na pierwsze wezwanie czekali.

Dwa dni przed nastąpieniem krwawymi scenami Józef Bobrownicki, odwiedził swego sąsiada, gdzie zastał wielu zebranych radzących o nastąpić mającém powstaniu. Tu dowiedział się dopiero dokładniej o trwożliwym położeniu panów względem chłopów. Narada była długa, poznał przeciwności grożące powstaniu, i szatańskie sidła biurokracyi zgotowane na głowę powstańców.

Powróciwszy do domu stał się niezmiernie smutnym i zamysłonym. Żona widząc niezwykle wrażenie na mężu, postanowiła dowiedzieć się przyczyny. Zaraz więc po obiedzie o 2 godzinie udaje się do niego, i z przenikliwością kobiety pyta o wszystko. Bobrownicki należał do umiarkowanej partyi, i chociaż nie na czele powstańców, ani czynnym członkiem nie był, nie ustępował jednak innym w miłości ojczyzny i gotów był każdej chwili cały majątek swój poświęcić dla sprawy powszechnej. Jako z doświadczeniem człowiek nie uważał dostatecznych środków ku przyszłemu powstaniu, a teraz dowiedziawszy się o usposobieniu chłopów, widział tylko przyszłe niewinne ofiary. Tał on swoje powątpiewania przed żoną, znając jej czysty patriotyzm i gorącą miłość ojczyzny, lecz teraz grożącego niebezpieczeństwa zataić przed nią nie mógł. „Nie traciłem nadziei nigdy, rzekł do niej, i teraz nawet nie tracę, chętnie poświęcę cały mój majątek i siebie samego dla sprawy ogólnej, ale ciebie i dzieci chciałbym przy życiu zachować. Dziś z dokładnością wiem o zbrodniczych zamiarach biurokracyi na nasze powstanie i samo nawet życie nasze. Chłopi są już usposobieni i czekają tylko hasła; nasze własne życie jest w niebezpieczeństwie, uchodźmy z tego miejsca które nam zagraża śmiercią. Moje należy ojczyźnie, lecz ty żyć dla

naszych powinnaś dzieci» postanowiono więc zaraz opuścić Przecław i udać się do własnej wsi Dobrków o trzy mile odległej. Żeby zaś ukryć ten zamiar przed podejrzanym ludem, już zapewne czu-
hającym na ich majątek i życie. — Postanowili tajemnie przygo-
tować się do wyjazdu. Na drugi dzień rano udał się J. Bobrownicki z całą swoją rodziną w zamierzoną podróż. Szczęściem nie zostali nigdzie napadnięci ani zatrzymani aż do wsi Dobrków, dziedzictwa przodków swoich. Przybywszy na miejsce zdawał się odetchnąć swobodniej, nabrał więcej zaufania, bo ujrzał się wśród tych któ-
rym najwięcej dobrodziejstw świadczył w swoim życiu. Nie przy-
puszczał on żeby który był niewdzięczny i miał złe zamiary na swego dobroczyńcę. Nieszczęśliwy! nie wiedział jakie mu niebe-
spieczeństwo w własnej jego wsi zagraża.

We wsi Dobrków mieszkała matka jego Żony, Pani Morska, 70 letnia matrona była ona opiekunką wszystkich nieszczęśliwych z pieczołowitą troskliwością ręka jej hojna wspierała potrzebnych wieśniaków — słowem była wzorem cnot chrześcijańskich i miłości bliźniego — wszyscy więc mieli dla niej najgłębsze poszanowanie. Powitała ona dzieci i wnuki i z czułością do serca swego przyci-
snęła. — Nie wiedziała jeszcze nic o grożącym niebezpieczeństwie, bo wiekiem obarczona niewyjeżdżała prawie nigdzie, i resztę życia swego przepędzała tylko na dobroczynnych uczynkach. Po przy-
byciu, Bobrownicki wdał się w rozmowę z oficyalistami, ażeby się od nich wywiedzieć o usposobieniu wieśniaków. Komissarz Wino-
grodzki usłyszawszy powody przybycia, w tę odezwał się słowa: Podług mojego zdania bezpieczniejsz było w Przecławie pozostać, ni-
żeli tu w Dobrkowie. Przecław jako miasteczko jest bezpieczniejsze niż wieś. Tutaj na wściekłość ludu każdej chwili jesteśmy wy-
stawieni i życie nas wszystkich jest w niebezpieczeństwie. Uważam z postępowania naszych chłopów, że od kilku dni każdy krok nasz sledzą, i że nam coś okropnego zagraża. Gdy się dowiedziano o przybyciu Pana, powstał wielki ruch na wsi i zbieranie się chło-
pów. Ratuj się Pan póki jeszcze czas i oddal się z Dobrkowa, my

zostaniemy na obronę Twojego majątku — poświęćmy nasze życie nawet jeżeli tego będzie potrzeba, ale jesteśmy za słabi ażeby twoje ocalić, jeżeli tu zostaniesz.

«Ja już nie mogę się ztąd oddalać, odpowiedział Bobrownicki, chcę się przekonać, chociaż nieprzypuszczam, ażeby niewdzięczność ludu posunęła się do tego stopnia i miała się targnąć na dobroczynię swego. Ja sam pozostanę tu pośród nich... lecz wy kochani przyjaciele ocalcie życie wasze kiedy jeszcze możecie — nie mogę ja przyjąć waszego poświęcenia; wiem że słabi jesteście, aby mnie ocalić. Wasze życie jest mi tak drogie jak i moje własne. Powierzam się Wszechmocności Boga—niech się stanie Jego wola.

Łzami zalani słudzy oddalili się z pokoju pana zajmując swoje stanowiska baczności. Skołatani troską i niebezpieczeństwem własnego życia, udali się na spoczynek.

Noc przeszła spokojnie, dziki wiecher połączony z płatami śniegu zasypał całą naturę; wyjący uragan rozbijał się o ściany, jak gdyby spooczywających z mieszkania tego chciał wypłoszyć.

Zaledwo rozeszła się wieść o dopełnioném morderstwie na Stanisławie Kostce Boguszu w Pilźnie i doszła do Dobrkowa — skupili się wieśniacy, jak gdyby za danym znakiem, i uderzyli na zamki i szlacheckie sioła. W gminie Dobrków szczególnież w dniach tych na zawsze pamiętnych, wściekłość ludu doszła do najwyższego stopnia. Rzuciła się najprzód cheiwa krwi horda na mieszkanie komissarza, i zamordawała tego wiernego rządcę majątku Dobrkowa nim mu w pomoc ktokolwiek mógł przybyć.

Bobrownicki drzwi pokoju jak mógł zabarykadował — postanowił zbrojną ręką stawić opór swoim mordercom, ale napad tak był gwałtowny i zaciekły, że mu wszelką przytomność odebrał. Drzwi do sypialnego pokoju zostały wyważone, i nim zdołał jeden obrot uczynić, już był otoczonym i rozbrojonym. W barbarzyński sposób przez kilka minut mordowany potem z pokoju sypialnego na podwórze mieszkania za nogi wywleczony, gdzie dzika horda zewsząd cisnąwszy się do zamku na rabunek, naigrywała się z

niego, obelgi miotając, aż nareszcie kosą cięty męczeńskie życie zakończył.

Małżonka zamordowanego uszła śmierci szczęśliwie zrazem z swemi dziećmi — i oplakuje podziśdzeń zamordowanego na którego okrótnie męki własnymi oczyma patrzeć musiała; ale nieuszła śmierci 70letnia jej matka, musiała ona równie zginąć, ażeby liczbę ofiar pomnożyć i w lepszym świecie w raz z synem swoim się połączyć. Znaleziono ją w polu uduszoną, którejto zbrodni dopuszczono się dla odebrania jej pieniędzy, które miała przy sobie.

K O N I E C.

Miejska Biblioteka Publiczna
Im. ... go
ul. ... 6; ... 491
~~2-48870~~ 51987

12/1/74

12/1/74







